ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXVI.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.

1892.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Druk ukończono dnia 7 Maja 1892 r.



KILKA SŁÓW

O NASZÉJ KRYTYCE.

Ze wszech stron — od tych, co piszą, jak i od tych, dla których piszą — dają się oddawna u nas słyszéć głośne, chociaż niedrukowane narzekania na wielki upadek krytyki w naszém piśmiennictwie czasowém. Pierwsi, t. j. piszący, zwalają winę tego w części na powszechne jakoby zwyrodnienie ducha prasy, któréj ideałem coraz bardziéj staje się sensacya, a panem wszechwładnym — reporter; w części zaś na publiczność, bardziéj żądną wieści o Zeitungu „nieśmiertelnym“ i jego pace, aniżeli ciekawą zdania kompetentnych wartości i rodzaju nowego kwiatka czy chwastu, pojawiającego się na niwie piśmiennictwa swojskiego. Zarzut pierwszy stał się zdawkową monetą, drugi zaś w ten, mniéj więcéj, sposób bywa odpiérany.

„Dowiedziawszy się z którego z „Kuryerów“ o nowéj podróży Zeitunga, mogę się uśmiechnąć, mam więc coś do wygrania, nic zaś do przegrania, bo gdyby się okazało, że ten krawiec nieśmiertelny zajechał w pace swéj nie do Amsterdamu, lecz do Antwerpii, że nie jeździł wcale, że nie istniał nawet zgoła,—cóż mi to zaszkodzi? Jeśli zaś będąc w stanie nabycia trzech książek przeciętnie na miesiąc, dam wiarę trzem nieprzychylnym ocenom trzech dobrych książek i trzem przychylnym — złych, krzywda nasza będzie wielka. Mówię „nasza“, ponieważ przedemną jeszcze książki niewarte czytania, jako najlepsze przedstawicielki piśmiennictwa naszego współczesnego, przeczytane zostaną przez dzieci moje, a czasem niejednego krewnego i znajomego. A co stąd wyniknąć może? Za błędném pojęciem o pi-

śmiennictwie swojém pójdzie zniechęcenie do niego, lekceważenie a garnięcie się do cudzego. Przekonawszy się, że pisarz X, który według pism A i B i krytyków C i D tworzy same arcydzieła, według pism M i N i krytyków O i P płodzi jedynie makulaturę do zawijania pieprzu lub chlorku, a zaś pisarz Y—odwrotnie; że dla pewnych pism i piszących wydawnictwa pewnych firm wcale nie istnieją, lub téż są bezwarunkowo lichotą i tandetą notoryczną, a znów dla innych téż firmy wydawnicze puszczają w świat same dzieła wartościowe [1]), — postanowiłem sobie nie czytać krytyk i w prasie szukam przedewszystkiém anegdotek z ulic wielkich miast i plotek z gabinetów dyplomatycznych. Unikając zaś podwójnie czasem szkodliwéj straty czasu i pieniędzy, — a my, ludzie pracy ciężkiéj, a dochodów lekkich, ani jednym, ani drugiemi szafować nie możemy—czekam, czy znajomy, z którym łączy nas wspólność upodobań, czego nie doradzi, ale on znów czeka na mnie, a tymczasem księgarz czeka na nas obydwóch i skarży się na stagnacyą.“

Wszyscy my,—wtajemniczeni choć trochę w stronę zakulisową dziennikarstwa naszego, mający pojęcie o organizacyi warszawskich towarzystw literackich wzajemnéj adoracyi, o sympatyach i antypatyach rozmaitych redakcyi i krytyków,—wiemy doskonale, jak dużo słuszności tkwi w téj obronie jednego z tych, dla których piszą. Dodać tylko należy, że krytyka nasza bałamuci nie samą tylko publiczność, lecz i autorów, stając się nieraz bardzo widoczną przyczyną spaczenia talentów. Nasi autorowie ostatniéj doby coraz bardziéj zaczynają rozumiéć, że należenie do którego z wpływowych „towarzystw“ wspomnianych cięższéj zaważy na szali ich powodzenia, aniżeli nocy bezsenne pracy, szczerym zapałem ożywionéj.

Trzeba przyznać, że traktowana iście po macoszemu krytyka, nie stała się j e s z c z e na naszym gruncie sprzedajną w znaczeniu, jakie ten wyraz miałby, gdyby mowa była o Paryżu: nasz producent

---

[1]) Tu miejsce na uwagę, że przy naszych stosunkach literacko-wydawniczych zarzut, iż pewien piszący przemawia tylko przychylnie o wydawnictwach pewnéj firmy, jest zarzutem natury etycznéj, chociaż niekoniecznie tak bywa gdzieindziéj. W Paryżu np. wielkie firmy wydawnicze, jak Hachette, lub Calmann i Levy, utrzymują na stałéj pensyi specyalistów-krytyków dla wszystkich działów, do jakich mogą należéć ich wydawnictwa. Taki doradzca *attaché* firmy obowiązany jest do przeczytania i ocenienia na piśmie każdego rękopisu, nadesłanego mu przez wydawcę, któremu przysługuje prawo wydrukowania każdéj z tych recenzyi, jeśli rękopis zostanie następnie wydany. Naturalnie, wydawca nie opublikuje nieprzychylnych ocen, a w ten sposób okaże się, że dany krytyk o wydawnictwach firmy odzywa się tylko przychylnie.

recenzyi płatnych przez interesowanych, naraziłby się na wielką wzgardę całego warszawskiego gremium zoilów; ale jakże wśród tych ostatnich dużo takich, którzy — jeśli nie za srebrnik, to za czapkę i papkę—fałszują swoje zdania.

Pięć, jak mi się zdaje, przyczyn składa się głównie na wytworzenie obrazu nędzy i rozpaczy, jaki przedstawia nasza krytyka. Dwie z nich — natury ogólnéj, reszta stanowi wyłączną niemal cechę naszéj prasy.

Pierwszą z nich jest zreporteryzowanie się prasy, czyli obniżenie poziomu wykształcenia kadrów dziennikarskich. Do tego dodać należy, że u nas szczególnie każdy „literat“, któremu udało się mniéj lub więcéj szczęśliwie wydzielić z siebie parę nowel lub rymów i wcisnąć je następnie w szpalty jakiegokolwiek z poczytniejszych pism miejscowych, jest już przez to samo uważany — i naturalnie sam siebie uważa—za uzdolnionego i uprawnionego do krytyki, chociaż niewiadomość jego wszystkich rzeczy, jakie jéj są, równie jest najczęściéj wielka, jak miłosierdzie Boże.

Druga przyczyna — importowana wraz z innemi artykułami cywilizacyjnemi z Zachodu — to stałe opadanie poziomu etyki dziennikarskiéj i literackiéj, dzięki czemu dziś tylko niesłychanie rzadkie wyjątki jeszcze pamiętają, iż zarabianie piórem na chléb jest służbą społeczną, że redaktorowie i wydawcy są tylko gorzéj lub lepiéj płatnymi kasyerami społeczeństwa, które od piszących żąda prawdy, światła i ideału; że ukrywający lub fałszujący prawdę w druku wart jest moralnie lokaja okłamującego pana gwoli okradającemu go marszałkowi dworu, lub dla zaszkodzenia nienawistnemu koledze. Przeciętny krytyk nasz, biorąc się do sprawozdania z danego utworu, nie liczy się wcale z publicznością, widząc w niém jedynie rodzaj rozprawy osobistéj z autorem.

Trzecią przyczyną, wyłącznie niemal naszą, stanowi to, że krytycy przysięgli rekrutują się przeważnie z legionu autorów. Jakżeż tu odezwać się nieprzychylnie o najsłabszéj chociażby robocie beletrystycznéj krytyka A, skoro ten ostatni pochwalił naszą powieść lub komedyę i skoro się ma w tece nową? Byłaby to czarna niewdzięczność, która znalazłaby prędką karę w niechybném zmasakrowaniu wzajemném własnego naszego przyszłego dziecięcia ducha. Najśmielszy nawet przed otwartém wypowiedzeniem w takich okolicznościach wojny, t. j. swego zdania, policzy prenumeratorów pism, w których za „niekoleżeński“ czyn cięgi go czekają, bo jeśli ja mogę ogłosić kogoś za nieuka, partacza i deprawatora wobec trzech tysięcy czytelników, a on mnie—wobec trzydziestu tysięcy, to szanse nasze nie równe.

Czwartą przyczyną jest brak wszelkiéj kontroli krytycznéj nad krytyką. Recenzentom naszym nic i nikt nie przeszkadza traktować sprawozdań swoich, jako listów otwartych do autorów, nikt i nic nie zmusza ich do liczenia się z możliwością w prasie jakiéjkolwiek bezinteresownéj oceny ich działalności wogóle, lub któréjkolwiek z dysgresyi poszczególnych. Żadne z pism naszych nie chce pamiętać, że krytyka jest jednym z najznamienniejszych objawów życia społecznego i mogłaby być jednym z najdonioślejszych czynników społecznych; żadne nie poczuwa się do obowiązku systematycznego zaznaczania w tym kierunku wybitnych głosów i karcenia jąkań się niedołężnych. Zapewne, posiadamy pismo, które w jednym ze swych działów łapie od czasu do czasu na gorącym uczynku niesumienności, niedbalstwa lub ignorancyi którego z krytyków „bogobojnych“, ale darmoby kto chciał w tymże dziale znaleść równie szczere uznanie dla przymiotów przeciwnych. Odzywają się téż u nas to tu, to owdzie głosy kukułek i kogutów, wychwalających się wzajemnie, ale to co innego. Wybuchają także wśród nas od czasu do czasu straszliwe polemiki, ale wyłącznie prawie *pro domo sua*. W ciągu roku zeszłego w prasie naszéj nie było ani jednéj, zdradzającéj istotne zainteresowanie się przedmiotem dyskusyi. My nie mamy zwyczaju sprzeczać się o jakąś zasadę estetyczną, jakąś metodę krytyczną, czy téż pewien poszczególny wypadek jéj stosowania, lecz—w najlepszym razie—o to, kto ma racyę, kto bardziéj nieomylny. O tryumf, ale nie prawdy, lecz własny, chodzi naszym stronom polemizującym. Jeśli postępowy tygodnik C złaje „bogobojnego“ krytyka X za grubą jakąś pomyłkę, ten ostatni nie straci zdarzenia i odpowié najpospolitszém wymyślaniem w jedném z pism sobie przychylnych, jakowe bohatérstwo zdobędzie mu jeszcze chlubne miano „ciętego polemisty“; jeśli pewna kronika tygodniowa wyrwie się z uwagą, że pierwsza wersya dramatu pewnego więcéj była warta od drugiéj, jeden z tych, co autorowi przeróbkę doradzili, wyleje niezwłocznie cały szaflik tyrad i dowcipów na głowę nieostrożnego kronikarza. Ale to wszystko téż co innego.

Dzięki współdziałaniu wszystkich tych przyczyn, jak importowanych, tak i miejscowych, widzimy przedewszystkiém to, że wobec nieskończenie długich gawęd o wszystkiém inném, artykuły, mające pretensyą do krytyki, na morzu peryodycznego piśmiennictwa naszego — to *rari nantes in gurgite vasto;* daléj, że znaczny procent tych *rarorum nantium* jest świadectwem ubóstwa dla ich twórców, a niemałą téż ich liczbę cechuje zła wiara zarówno w pochwałach, jak i naganach. O jakimbądźkolwiek systemacie, oprócz dającego się wyro-

zumiéć z zarzutów powyższych, w dziale krytyki pism naszych codziennych i tygodniowych [1]) nader niewiele da się powiedziéć.

Przechodząc od twierdzeń ogólnikowych do charakterystycznych, ilustrujących je szczegółów, pozwolę sobie wytknąć tu punkt, z którego na rzeczy tę patrzę, i określić miarę, jaką będę stosował do piszących, o których wspomnę — z zachowaniem jak najskrupulatniejszém ich *incognito:* chyba że drzewa same się poznają lub zostaną poznane po próbkach owoców. Na dyskrecyę tę zdecydowałem się — niekoniecznie *motu proprio* — dlatego, że, w gruncie rzeczy, chodzi mi nie o pisma lub krytyków, lecz wyłącznie o piśmiennictwo i krytykę. Miejsce tu téż na zastrzeżenie się, że o krytyce utworów scenicznych, zmonopolizowanéj przez sprawozdawców teatralnych i traktowanéj przez nich tylko w związku z teatrem — jako o wymagającéj od piszącego o niéj wyjątkowego znawstwa scen miejscowych, czém pochwalić się nie mogę, mówić nie będę wcale—do czasu.

Ostatecznym celem krytyki utworów beletrystycznych jest ze względu na społeczeństwo, wyrobienie w niém zamiłowania do piękna (dobro jeśli z niego nie wypływa, to w każdym razie w najbliższém z niém pokrewieństwie pozostaje) i smaku artystycznego, ze względu zaś na same utwory — wyróżnienie z szaréj masy efemeryd pospolicie naśladowniczych, zrodzonych przez żądzę rozgłosu lub pieniędzy — utworów prawdziwie pięknych artystycznie, czyli skończenie harmonijnych, oryginalnych, wartości trwałéj, natchnionych przez geniusz i ideał. Stąd krytyk jest niejako wyborcą do Panteonu, a tém więcéj wart, im szczerzéj i świadomiéj głosuje za najlepszymi.

Pierwszym warunkiem, jakiemu krytyk winien zadośćuczynić (oprócz naturalnie szczerości, która we wszystkich rzeczach ludzkich stanowi najpierwszy warunek trwałości i doniosłości czynu) jest wrażliwość na piękno i poczucie intuicyjne jego stopnia. Kto nie zdolny do szczerego zachwytu wobec dzieła sztuki — krytykiem nie będzie; ale znów nietylko sama wrażliwość na piękno krytyka nie tworzy, lecz nawet i poczucie owo o tyle tylko może miéć wartość przed obliczem krytyki, o ile jest nieświadomą syntezą wszystkich wrażeń i myśli, nastręczonych przez dany utwór umysłowi mniéj lub więcéj wszechstronnemu, *ma* zaś wartość — o ile umysł ten przez analizę lub samoanalizę da możność innym przyjrzenia się drogom, jakiemi do syntezy swéj doszedł.

Syntezę swoją intuicyjną krytyk poddać powinien próbie spraw-

---

[1]) O miesięcznikach, pisząc w jednym z nich, nie mówię.

dzianów, stawiąc dane źródło swych wrażeń i myśli wobec ideału, rzeczywistości, nauki, ducha czasu i ducha swego społeczeństwa: przygląda się więc on szkieletowi utworu; dysekuje treść jego; bada preparaty stylu; rozpatruje dany organizm beletrystyczny w związku z jego twórcą i rodzajem, do którego ten organizm należy, poszukuje jego zarodka; studyuje ewolucyę jego powstania w związku z całym rodzajem, sferą stanowiącą niejako tło jego — na danym i każdym innym gruncie, czyli usiłuje go poznać, jako kółko łańcucha w związku z temi kółkami, co poprzedziły i z temi, co się prawdopodobnie zaczną od niego. Intuicya tu gra rolę igły kompasu, pozwalającéj w każdym danym momencie zoryentować się, wskazującéj niezmiennie kierunek, w jakim, lawirując zawile, zmierzać należy; jednak tylko dobre manewrowanie sterem może doprowadzić statek do celu. Porzucając zaś drogę porównań, powiem, że wartość danego utworu krytycznego uważam za wprost proporcyonalną do rozciągłości, w jakiéj w danym wypadku sprawdziany wyżéj wymienione były stosowane.

Czegóż wymaga od idealnego, że tak powiem, krytyka ta metoda? Gruntownéj znajomości języka i literatury swojéj i powszechnéj—w ich przeszłości i teraźniejszości, i ustalonych a samodzielnych i wyraźnych poglądów filozoficznych, społecznych i etycznych. Poglądy społeczne i etyczne, zapłodnione zrozumieniem ducha czasu i znajomością swego społeczeństwa, niezbędne są takiemu krytykowi, szczególnie dla godnego odpowiedzenia innemu, wkładanemu przez głos publiczności na barki jego zadaniu, zadaniu bardziéj pośredniemu, bardziéj publicystycznemu: doradzać, co czytać należy, a czego nie.

Muszę się tu jednak zastrzedz, że chociaż przekonanie wyrozumowane nakazuje mi przyznać berło krytyki tak zwanéj metodzie naukowéj, któréj treść stanowi analiza, nie mam pomimo to zamiaru odmówić wszelkiego znaczenia metodzie (czy téż sposobowi, jeśli kto zechce) przeciwnéj, któréj treść stanowi samoanaliza. Krytycy téj szkoły, wychodząc z zasady, że nic samo w sobie nie jest pięknèm lub brzydkiém, a staje się pierwszém lub drugiém dla tego lub owego dzięki wrażeniom, jakie w nim wywołuje, uważają za zbyteczne tłómaczenie czytelnikowi, że to lub owo p o w i n n o wywołać w nim zachwyt lub wstręt, do czego zdąża analiza przedmiotowa, lecz radzą poprzestać na w y s p o w i a d a n i u się z własnych wrażeń: o ile czytelnik dostrzeże wspólność swych usposobień z usposobieniami krytyka, zgodzi się z nim lub téż nie zgodzi co do wartości lub raczéj sympatyczności utworu. Pierwsza szkoła na pierwszém miejscu stawia wiedzę, druga—w y k s z t a ł c o n ą wrażliwość artystyczną. Jeśli

owa synteza nieświadoma zawiedzie krytyka pierwszéj szkoły,—to co on powié o książce, może miéć pomimo to znaczną wartość, jako materyał krytyczny; jeśli zaś zawiedzie ona krytyka drugiéj szkoły,—opowiadanie jego będzie chaosem. W najlepszym razie o wartości drugiéj metody stanowi całkowicie człowiek ją stosujący. Krytyk taki pokazuje niby innym przedmiot, ale przez pewne szkło: może ono zmniejszać lub zwiększać, może nadawać taką lub inną barwę, jeśli zaś jest pryzmatyczne, przedmiot w rozmaitych barwach i pozycyach innemu oku ukazać się może. Tylko szczegółowość i dokładność samoanalizy nadaje wartość krytyce takiéj. Może ona miéć tę wartość tylko wtedy, kiedy piszący, po zneutralizowaniu aberacyjnych wpływów przypadku, spowiada się dokładnie ze wszystkich wrażeń i myśli — i skojarzeń się tych i owych — jakie w danéj duszy, naturalnie i koniecznie, pewien utwór zrodzić musiał, bo wtedy przynajmniéj czytelnik patrzy na rzecz przez szkło dobrze oszlifowane, o określonych kątach załamywania się w niém promieni, o barwie jednostajnéj i określonéj.

Tu słyszę następujący głos zdrowego rozsądku: o co ci właściwie chodzi? czyż o to, aby efemeryczne recenzye i sprawozdania w efemerycznych świstkach ulotnych, tak pośpiesznie pisanych, jak i czytanych i zapominanych, których życiem — dzień jeden, — nie zawierały w sobie innych krytyk, jak tylko idealne, stosujące „w całéj rozciągłości“ metodę Hennequin'a lub Lemaître'a do każdéj efemerydy literackiéj, podczas gdy stać je zaledwo na tak zwane recenzye i sprawozdania, nie zaś na krytyczne studya właściwe?

Bynajmniéj! Nie utopia, ani téż humorystyka jest moim celem. Myślę tylko jedynie, że wszelka ocena utworu beletrystycznego ma prawo różnić się od krytyki doskonałéj, wszechstronnéj, jedynie rozciągłością, w jakiéj rozmaite wyżéj wymienione sprawdziany w danym wypadku stosowano; wszelka zaś nie stosująca żadnych sprawdzianów, lub téż stosująca sprawdziany, nie mające nic wspólnego z żadną metodą możliwą, nietylko nie zasługuje na miano studyum krytycznego, lecz nawet na nazwę recenzyi lub sprawozdania. To téż chciałbym zaprotestować przeciw gawędom jałowym lub osobiste tylko cele goniącym, a osłaniającym się tytulikami, wymieniającemi świéżo wyszłe z pod prasy książki Nie myślę występować przeciw tym utworom, wkraczającym w dziedzinę krytyki, które mówią nie wszystko, co o danym przedmiocie powiedziéć można, lecz przeciw tym, które nie mówią nic, lub mówią świadomie fałsz. Nie jednostronność mnie oburza, lecz jałowość i zła wiara. Rozumiem, że można uznać za bardzo nawet pożyteczną działalność krytyka, któ-

rego siły zamałe byłyby do wypowiedzenia wszechstronnego zdania o wszelkim utworze beletrystycznym, i chodzi mi przedewszystkiém o pewnik, że każdy, co w druku głos zabiera, powinien miéć coś do wypowiedzenia, a nie miéć do powiedzenia kłamstwa. Nawet podczas obiadów na cześć jubilatów, nawet w salonach — głosy tego rodzaju nudne są lub wstrętne, przy znanéj zaś skłonności ludzkiéj (któréj trudno jest pozbyć się pomimo licznych zawodów) do przywiązywania wagi do słowa drukowanego, jałowość i zła wiara piszących są w najwyższym stopniu szkodliwe, szerzą bowiem w najlepszym razie martwotę, w najgorszym zaś spaczenie pojęć estetycznych i etycznych. Oto jest punkt widzenia, z którego będę rozpatrywał działalność pism i krytyków—pozostawiając naturalnie i pierwsze i drugich na stronie. Chciałbym tu bowiem wymienić jedynie istniejące u nas typy krytyki i obrazując ją, wytknąć główne strony ujemne.

Być może, że przez zbyt ciemne okulary na rzeczy patrzę, wyznać jednak muszę, iż dział krytyczny w jednem tylko, według mnie, z pism naszych (oznaczę je literą A) stoi na wysokości swego zadania. Zapewne „dałyby się i temu pismu, prawdziwie postępowemu“, zarzucić pewne idyosynkrazye natury osobistéj. Robiąc spis wszystkich artykułów krytycznych, sprawozdań, recenzyi i wzmianek bibliograficzno-doradczych, jakie można było znaleść w piśmiennictwie naszém peryodycznem za rok 1891-szy, — i zwracając uwagę na: firmę, jaka wydała każdą książkę, autora jéj, autora artykułu czy wzmianki i pismo, w jakiém się ona ukazała,—dostrzegłem, iż tygodnik, który mam tu na myśli, pomijał w ciągu całego tego roku milczeniem bezwzględném wszystkie wydawnictwa pewnéj firmy, niezależnie od ich treści lub kierunku. Stąd widać, że zarzut mój mniejszego jest kalibru, ponieważ tyczy się tego, czego w szpaltach pisma nie ma, to bowiem, co w nich jest, — zawsze (za nader rzadkiemi wyjątkami) nosi cechę nietylko zrozumienia rzeczy, ale i dobréj wiary. W dodatku o tym tylko tygodniku można u nas powiedziéć, że wychodząc przeważnie z punktów widzenia społeczno-filozoficznych, stara się on systematycznie wypowiadać poglądy ogólne, dające możność zrozumienia głównych prądów literackich u nas i na obczyźnie; że jakaś myśl ogólna kieruje w nim zajmującym nas działem; że nie sam tylko przypadek stanowi o ukazaniu się w nim recenzyi o takiéj, a nie innéj książce, albo téż studyum literackiego takiéj, a nie innéj treści.

Pod wezwaniem ideałów spolecznych, ale nienaukowo skrajnych, prowadzą u nas działy krytyczne jeszcze dwa inne tygodniki — B i C. Dobra wiara pierwszego z nich w podejrzenie podanąby być nie mogła, traf jednak zdaje się często decydować w kwestyi, o jakiéj

książce i jak obszernie ma on mówić. Nie ma tu nic, będącego w niezgodzie z duchem pisma, można jednak napotkać sprawozdania długie i bezbarwne, sam zaś ów „duch“ przemawia czasem o utworach beletrystycznych, lepiéj powiedziéć pod pretekstem ich ukazania się, prędzéj fanatycznie, niż krytycznie. Tak np. jeden z krytyków tego tygodnika kilka szpalt artykułu swego o nowéj powieści, w któréj znalazł zbyt dodatni, jak dla niego, typ szlachcica staréj daty, poświęcił następującéj wdzięcznéj tezie: jeśli kto z naszéj szlachty nieszaraczkowéj nie jest skończonym niedołęgą umysłowym i fizycznym, zawdzięcza to jedynie téj szczęśliwéj okoliczności, że któryś z jego przodków miał zdrowego chłopa, albo szaraczka zaściankowego za kapelana, lokaja lub stangreta.

Jeśli B grzeszy od czasu do czasu wybrykami fanatyzmu, to C cechuje stale pewien oportunizm radykalny. „Górne“, a tchnące naturalnym spokojem i siłą wiedzy i prawdy tony tygodnika A są już tu wogóle znacznie zniżone. Studya treści ogólnéj w tym dziale bywają kwestyą przypadku. Oprócz tego nader często na szpaltach tygodnika rozpoznajemy pod sutą togą haseł społecznych pospolitą metodę stronniczo-podjazdową. W każdym razie, należy tu ściśle odróżniać to, co pochodzi od redakcyi, od tego, co podpisane nazwiskami współpracowników, którzy już sami za siebie odpowiadają, bo pismo nie przedstawia żadnéj gwarancyi etycznéj — takiéjże wartości wypowiadanych w niém zdań. Przyjaciel osobisty kierownika pisma będzie zawsze pisał wybornie, ale niechże się poróżni, — a zejdzie w następnym zaraz numerze na partacza. Kiedy natchnienia osobiste głos podnoszą, — kierunek ogólny pisma milczy. Najpostępowsza nawet książka, niemiła ze względu na autora lub wydawcę — niezależnie od swéj wartości—jeśli nie zostanie pominięta milczeniem, dozna niewątpliwie najfatalniejszego przyjęcia. W piśmie tém Mickiewicz mógłby, przy pewnych okolicznościach, uchodzić za Rozbickiego, a Rozbicki za Mickiewicza. Pozwolę tu sobie przytoczyć przykład jednéj z takich przemian cudownych.

W roku zeszłym ukazała się niewielka książeczka, zawierająca w sobie trzy nowele. Utworów treści wstrętniejszéj, bardziéj trywialnych, płaskich nie znam, ale *de gustibus*..., mówię téż to nawiasem; o stylu zaś i języku autora nowel dam możność sądzenia czytelnikowi samemu, unosząc zlekka rąbek, osłaniający pierwszą z nich. Pewien buchalter „całą siłą swéj organizacyi, całym wytryskiem uczuć pierwszéj męskości, ukochał kuzynkę, któréj, stopień pokrewieństwa pozwalał mu *ją* zaślubić.“ Nie zaślubił jéj jednak, a „poświęcił najwyższe tętno upodobań i celów swego życia“ dla pieniędzy,

żeniąc się z córką pryncypała: „sny z objęć wydarte“ zostały. W rok po ślubie bohatéra do domu jego żony kuzynka „przyszła, jak promień słońca, rozrzucający złocistemi strzały chmurne przestrzenie jego istnienia.“ Pocałowawszy przybyłą, „odskoczył on na kilkanaście kroków“ i zrobił „seryozną minę“, bojąc się wejścia żony. „Proś jéj“, rzekła kuzynka, kochająca go wzajemnie. Trzymany na uwięzi przez wstrętną, a zazdrosną despotkę-żonę, nędznik ofiarował potém ukochanéj bukiet, prosząc, aby jego w nim widziała, i jéj „ta słodka chwila wynagrodziła wszystko niemiłe poprzednio miejsce mające.“ Dziewczyna marzy o kupcu: kiedy brat jéj „wyszedł *za* kupieniem biletów do teatru...“, ona „patrzała duszą swą w tę urwistą dal losu, kędy na stokach rozpadlin przepaści i krętych ścieżyn słaniała się postać jego“. „Są chwile—mówi autor—w których los wypręża się cały pod ogłuszającém uderzeniem dzwonów, obwieszczających godzinę zwycięstwa, lub upadku“: otóż w jednéj z takich chwil do mieszkania stanowczo dodatniéj bohatérki, która brata wyprawiła umyślnie na miasto, ponieważ czekała na żonatego kuzyna, co nie przeszkadzało jéj leżéć w największym negliżu, — wpadł kupiec nasz. Rzucał jéj słówka słodkie i spojrzenia („oczy mężczyzny! pijawki, ssające wszystką krew spojrzeniem!“), ale gdy zaczął się posuwać daléj, napotkał lekki opór, za który obrzucił obelgami i wyrzutami kuzynkę. „Jeśli ukochana osoba ból zada... to jedyném pragnieniem jest otrzymać pieszczotę z ręki, która uderzyła“: więc dziewczyna woła „kocham ciebie“. To daje asumpt bohatérowi do nowych namów: „ona otoczyła rękami głowę“ i „to rozpaczne zajęcie rąk było obrotem tortury, w jaką dostała się wzburzona młodość“. Domyśla się czytelnik, jak się cała ta awantura kończy, autor przynajmniéj daje do zrozumienia, że inaczéj być nie mogło: „same oddechy dwojga ust dyszących powstrzymywaną namiętnością tworzą jakoby most, zarzucony nad przepaścią. Wystarczy sekunda, aby most zerwał się jak pajęczyna i zawisł na tonących i pędził z nimi daléj a daléj.“

O takiéj to książce tak mówi pismo C: „dużo zapału, sporo siły, dar subtelnego analizowania namiętności, akcya żywa, styl prawie zawsze potoczysty i opisowy zarazem, myśli głębokie, poważne, a jak na beletrystykę polską względnie nowe... Śmiałość w wyborze i obrobieniu treści; nie ślizganie się po wierzchu ludzi, jeno spojrzenie przenikliwe w ich głębię duchową.“ Nowości, zapału i śmiałości książce nie przeczę, myśli zaś głębszych i poważniejszych od zacytowanych w niéj nie znalazłem. Styl „zawsze“ jednaki.

Nie mówię tu naturalnie o pismach, poświęconych specyalnie potrzebom religijnym, naukowym, handlowym, romansowo-powieścio-

wym, humorystycznym i sportowym (włącznie ze sportami politycznym, judofilskim i judofobskim); w pozostałych zaś widzimy krytykę tylko partyzancką, obcą metodzie lub systematowi, nie samodzielną i bezbarwną, — jeśli tylko nie zechce kto uważać za barwę liszaja ignorancyi, pokrywającego najwybujalszą gałązkę krzewu naszego wstecznictwa.

Z tygodników dwa jeszcze — D i F — zdają się nie żałować miejsca na krytykę, i to nie spychając jéj na szary koniec, na petit. W tyluż czasopismach napotykamy względną obfitość obchodzących nas sprawozdań. Niewiele w tém jednak pocieszającego. Kropelka słabiuchnéj postępowości, jaką rozprowadzane są często w D najzupełniéj przypadkowe sprawozdania, tak samo nie może sobie rościć pretensyi do systematu, jak gadatliwość nie ujdzie za metodę. Daléj S i F przedewszystkiém, a H wyłącznie, mogą się w dziale krytyki swéj pochwalić owym liszajem, co pierwszemu z tych pism nie przeszkadza celować powagą w innych działach.

Reszta tygodników naszych zaledwo kącik poświęca czemuś w rodzaju wzmianek bibliograficzno-doradczych, czyniąc wyjątek bardzo rzadko i jedynie dla artykułów, sławnemi nazwiskami podznaczonych. Wobec tego trudno się już nawet dziwić dziennikom „literackim“, które zdobywają się zaledwie na wzmianki czysto bibliograficzne, i to nader niekompletne, szczególnie jeśli chodzi o dzieła treści poważniejszéj, lub, broń Boże, naukowe (bo o kalendarzykach humorystycznych nasza bibliografia „codzienna“ nie zapomina).

Zwracając uwagę na wybitne cechy charakterystyczne, możnaby rozróżnić w piśmiennictwie naszém następujące typy krytyki.

Najbujniejszym, najnieznośniejszym i najszkodliwszym chwastem na tém polu jest u nas krytyka, która sama siebie nazwałaby bogobojno-szlachecką, a którą można rozpoznać: po tonie apodyktycznym, tchnącym niesłychaną zarozumiałością i pewnością siebie, po ignorancyi, znacznie przewyższającéj nawet wstecznictwo, po niedbalstwie bajeczném, pozostawiającém daleko za sobą nawet nieznajomość rzeczy, które staje się od czasu do czasu źródłem iście korsarskich wybryków. Dzieląc wogóle zoilów naszych na grupy według typów krytyki, z niejednym musiałbym się obejść tak, jak 40 rozbójników z bratem Ali-Baby, t. j. poćwiartować go, ponieważ ten i ów autor sprawozdań, wypływających ze szczerego wrażenia bezpośredniego, pisuje zarazem od czasu do czasu otwarte listy do przyjaciół, ale co się tyczy grupy wyżéj scharakteryzowanéj, to wypełnia ją jeden tylko człowiek, coprawda niezmiernie płodny (oznaczę go tu literą X).

Pierwsze czytane przezemnie krytyki tego typu, wydawały mi się satyrą jakąś jadowitą a przesadną, jakąś mistyfikacyą, ku większemu pohańbieniu zaściankowo-faryzeuszowskich światopoglądów, w rodzaju téj, jaką ongi urządzili humaniści z mnichami. Wyprowadziła mnie z błędu myśl, że żadna mistyfikacya tak długo trwaćby nie mogła: posłannictwo pohańbienia owych poglądów w obchodzącym nas krytyku jest najzupełniéj nieświadome. Z samozadowoleniem nieporównaném sypie on publiczności naszéj, niby z rogu obfitości, Ameryki nieznane, jak sam mniema, które okazują się niezmiennie zdaniami błahemi, płytkiemi, płaskiemi, niewznoszącemi się nigdy nad poziom pojęć klucznic lub ekonomów. Oto są dwa pewniki, przed oblicze których X stawi literaturę piękną: 1) bajka w utworze beletrystycznym jest tém samém, czém melodya w muzyce; 2) każdego autora poznaje się po pomyśle. Dusza szlachetna, czysta nie wybiera n i g d y przedmiotu brudnego...

Do jakich wniosków może doprowadzić drugi z tych sprawdzianów, nie potrzebuję chyba mówić, pierwszy zaś stosowany jest zwykle w sposób wyraźnie świadczący o zupełném nierozumieniu zarówno muzyki, jak i literatury pięknéj. Wychodząc z téj zasady X jest w stanie uczynić zarzut pewnemu utworowi z ilości stronic lub wierszy, w jakich zecer zdołał go zmieścić i rzucić piorun potępienia na całą—w zasadzie, wogóle — literaturę momentów duchowych, co przy najnieznaczniejszym zasobie konsekwencyi powinnoby go doprowadzić do takiegoż potępienia całéj liryki świata, a daléj wszystkich nie-oper, nie-kantat, nie-symfonii, lub choć nie-sonat.

Takie jednak ubóstwo środków estetycznych nie wpływa zgoła na dobre o sobie mniemanie X-a. „Znamy—powiada—wszystkie metody literackie, umiemy świetnie krytykować, lepiéj od Francuzów i Niemców, bo wiemy więcéj od nich. Jakże tu przy takjéj skromności osobisto-narodowéj nie gawędzić *de omni re scibili, et quibusdam aliis*. Nauki społeczne i naturalne czy nadnaturalne, Bellamy i Heilpern czy Schoffield, przed niczém pióro to się nie cofa. Dla zrozumienia niektórych jego krytyk trzeba wiedzieć, że X jest zarazem i „autorem książek“, niemniéj skromnym naturalnie, jak to łatwo poznać z jego apostrofy *ad usum* krytyków buntowniczych, książkom tym nieprzychylnych: „Mózgi bezpłodne zazdroszczą płodnym iskry Bożéj, a zawiść nie lubi przyklasnąć komuś szczęśliwszemu“.

Unikając zarzutu, iż rzucam kalumnię na naszą prasę, pozwolę sobie usprawiedliwić przykładami zdania powyższe. Otóż w roku zeszłym ukazał się w handlu przekład pewnego dzieła, opatrzony przedmową bezimiennego tłómacza, istotnie świetną. X występuje

z niewolniczém, szkolarskiém jéj streszczeniem, jako ze sprawozdaniem z dzieła. Nie mówiąc już o tém, że punkt wyjścia i wnioski autora artykułu „krytycznego“ i przedmowy są identyczne, że ugrupowanie pośrednich rozumowań jest to samo, ale nawet wyraz każdego przejściowego momentu myśli jest prostą parafrazą odnośnych ustępów przedmowy. Żeby choć trochę zatrzéć uderzające podobieństwo X przypomina sobie znany wybieg szkolarski, polegający na tém, że przepisując wypracowanie u lepszego ucznia robi się zwykle parę błędów, w celu zbicia z tropu profesora: dla określenia miłości nowoczesnéj autor przedmowy posługuje się słowami bohaterki z *Notre-Coeur*, X zaś, cytując naturalnie toż samo (oto jak czasem *les beaux esprits se rencontrent*) dla rozmaitości przypisuje od siebie autorstwo romansu tego Bourgetowi. Byłoby to jednak jeszcze do darowania, ale autor artykułu, wziąwszy wszystko co w tym ostatnim jest z przedmowy, ani się o niéj zająknął: to właśnie korsarstwem nazywam. Zwyczaj streszczania przedmów pod postacią artykułów „własnych“ jest u nas dość rozpowszechniony, i wzgląd na to tylko — skłania nieraz wydawców do opatrywania książek swych w przedmowy, co daje możność krytykom niefatygowania się czytaniem książek, szczególnie poważnéj treści, inaczéj bowiem dziełu grozi albo zupełne milczenie, albo nagana: mszcząc się za trud czytania i pragnąc dać dowód siły swego umysłu i erudycyi, krytyk będzie szukał dziur na całém. Przejdźmy jednak do próbki drugiéj.

„Oto wydał p. (N dajmy na to) — pisze X — taką to rzecz, takiego to pisarza (mówiąc nawiasem sławy niezaprzeczonéj a wszechziemnéj). „Otwieram książkę i oko moje pada na obrazek, przedstawiający dziarskiego, siarczystéj miny landsknechta, rozmawiającego z czarownicą. Jaka pocieszna ta baba z długim nosem i fizyognomią staréj jaszczurki. Ano czytajmy, kiedy wydrukowane (tu idzie 63 wiersze cytaty z 80, w których cała gawęda o książce jest zawarta). Koszałki to opałki, bajdy bez sensu i logicznego związku, bez alegoryi nawet jakiejś, a przecież czyta się te cudactwa z wielką przyjemnością. Człowiek potrzebuje być czasem naiwnym naiwnością dziecka, potrzebuje się zabawić bez trudzenia głowy (w takich chwilach można jak widać, pisywać krytyki). Stąd niezwykłe i słuszne powodzenie opowiadań, opisów podróży, powieści romantycznych z bohaterami, którzy zabijają czasem całe tysiące ludzi, zdobywają miasta i t. d... Nie widzę zupełnie różnicy między baśniami o Guliwerach (!), czarownikach, smokach, a „nauką spirytystów“. Obraziłbym czytelnika, tłómacząc mu, jakiego bezmiaru ignorancyi dowodzi ten ustęp,

postawię jednak punkt nad innėm *i*. Dlaczego krytyk, przyszedłszy do przekonania, iż książka zawiéra same „bajdy bez sensu“, usiłuje wmówić następnie w czytelnika, że „potrzebuje“ on niejako przeczytać te „cudactwa“, które sam krytyk przeczytał „z wielką przyjemnością“. Dlaczego stara się osłabić wrażenie pierwszych „koszałków“ dalszemi dubami smalonemi o Guliwerze, spirytyzmie i t. d. Czy anomalię podobną tém należy tłómaczyć, że p. N. jest stałym nakładcą dzieł p. X? że chodziło tu o to, aby i wilk był syty i koza cała, aby i wydawcy nie rozgniewać, zniechęcając kupców do jego towaru i sumienia (zewnętrznego) na szwank nie wystawić? Ale chodźmy daléj.

X ma zwyczaj drukowania jednobrzmiących recenzyi (z nieznacznėm przestawieniem wyrazów w kilku zdaniach) w trzech pismach z kolei. Otóż na ten raz pozwala on sobie na wyjątek, i w innėm piśmie natrafiamy na jego gawędę o téj saméj książce już jako o „prześlicznéj wiązance“ takiego to pisarza, „wdzięcznym podarku“ p. N dla dzieci. „Ileż tu klejnocików w téj książce, ileż cacek artystycznych! Któż nie słyszał o (tu tytuł innéj „bajdy“, na którą „otworzyła się“ tym razem książka, nazwisko autora i długa, jak przedtém, cytata). W ten sposób w formie przyjemnéj, przemawiającéj do wyobraźni dzieci, uczy (nazwisko pisarza) swoich słuchaczy dobroci, miłosierdzia, szlachetności. Jego rozgłośne w całym świecie (tu tytuł książki) nie potrzebują „reklamy“. Polecają się same“.

„Niewolno—woła X w swéj apostrofie do krytyków o „mózgach bezpłodnych“, którzy śmieli niejednogłośnie uznać książkę jego za arcydzieło skończone: „niewolno dwom sędziom różnić się w ocenie kompozycyi, dykcyi i ogólnéj charakterystyki dzieła!“ Ale jednemu widocznie wolno.

Stosując tę samę zasadę nietylko do utworów beletrystycznych, lecz i do doktryn, X, zalicza „naukę spirytystyczną do rzędu „bajd bez sensu i logicznego związku“, pomimo, iż pisał poprzednio o niéj z powodu dzieła pewnego spirytysty, nawiązującego hipotezę swą do teoryi wielowymiarowości: „są rzeczy na niebie i na ziemi, których jedynie pyszałek lub głupiec nie uznaje dlatego, że ich nie widzi i nie słyszy“. Ale dość już o téj grupie.

Po pismach naszych zdarza się napotykać moc recenzyi, które najlepiéj byłoby—opatrzywszy u góry wyrazami: „kochany Kiziu czy Misiu, a u spodu: „ściskam cię serdecznie. Twój gotowy do usług i t. d.“, przesyłać komu należy w rękopisie, nie bałamucąc publiczności, płacącéj za drukowany papiér prawdziwe a ciężką nieraz pracą zdobywane pieniądze. Oceny tego rodzaju, w zależności od pobudek, z jakich pow-

stały, mogą się różnić pomiędzy sobą tonem, stopniem i stanowczością chwalczych zapałów: kwestya to elastyczności sumienia czy téż czelności krytyka i tego, jak dalece zależy mu na autorze. Małe literaciki, usiłujące zaskarbić sobie lub nie utracić zaskarbionych już trafem łask pewnéj wielkości, nastrajają cymbały swoje krytyczne na ton najwyższy. Między dobrymi znajomymi, współtowarzyszami nieraz licznych bibek koleżeńskich, odbywa się często wszystko prościéj, w każdym jednak razie dwie wyżéj wspomniane funkcye (mówiąc matematycznie) stanowią o tém, czy pochwały krytyka będą wielkie i stanowcze, czy téż pozornie wielkie, lecz chwiejne, nieokreślone, a nawet czasem dwuznaczne; metoda zaś w obu wypadkach zawsze jednaka: wszystko słabsze pomija się milczeniem, czasem się coś łagodnie wytyka, niby w imię prawdy, w rzeczy zaś saméj dla zamydlenia oczu komu trzeba; sama zaś wytknięta strona ujemna utworu używa się dla jeszcze większego uwydatnienia dodatnich, prawdziwych lub rzekomych. Zasadą téj szkoły „krytycznéj“ jest napisać potrzebne sprawozdanie tak, aby w miarę możności zachęcić czytelnika do kupienia książki dającego robotę redaktora, lub chwalącego wzajemnie zoila; co zaś już następnie wyprowadzony w pole — gwoli względom osobistym recenzenta — z książką tą zrobi i co sobie o chwalcy jéj pomyśli — mniejsza o to. Jeśli natchniony szlachetną tą zasadą krytyk najzupełniéj nic stanowczo dobrego nie ma do powiedzenia o danéj książce, jeśli nawet zewnętrzne sumienie (t. j. wzgląd na to, co powiedzą) nie o wiele mniéj od wewnętrznego elastyczne, nie zezwala na nic, oprócz paru pochwał zdawkowych, w rodzaju: „rzecz to dobra, ciekawa (jeśli krytyk nad nią nie zasnął powié: „porywająca“), napisana z werwą i jak zawsze pięknym stylem i t. d.“ — cóż ma począć nieszczęsny, nieraz do muru przyparty, czujący, że wisi nad głową jego miecz damoklesowy zemsty autora, który prosił o „wzmiankę“ lub téż wprost jéj się po dobrym koledze spodziéwa? Ze streszczeniem lub cytatami, które czasami zawiele już mogą o utworze powiedziéć, trzeba być ostrożnie, to téż starczy tego na jedną szpaltę, a tymczasem godność autora i stosunki z nim krytyka wymagają conajmniéj kilku. Wytrawny „krytyk“ puszcza się w takiéj opresyi w jaknajdłuższe i jaknajprzyjemniejsze gawędy o niczém, „zamawiając zęby“ biednemu czytelnikowi. I smutek, i oburzenie bierze nieraz na widok tego lawirowania pomiędzy Scyllą czyjegoś gniewu a Charybdą resztki wstydu. Ideałem takiego sprawozdania jest bukiecik sztucznych kwiatków, obwinięty w papierek ozdobiony nazwą polecanego towaru i fabrykanta t. j. tytułem książki i nazwiskiem jéj autora.

Jeśli powieść (dajmy na to) do polecenia mówi o wielu osobach i wypadkach, pisze się o niéj, że jest „dziełem szerszego zakresu“, „na szeroką skalę rozsnutem“; jeśli porusza ona jakieś kwestye społeczne — staje się dziełem „głęboko pomyślaném“; a autor otrzyma dank przynależny za to, że nie sztuka dla sztuki, lecz dbałość o dobro współbraci do pracy go natchnęła; jeśli czyni ona zadość najpospolitszemu chociażby szablonowi, będzie „umiejętnie skomponowaną“; jeśli występek w niéj znajduje karę, a cnota nagrodę, z czego wyniknie, iż należy być uczciwym, recenzya—czy będzie chodziło o powiastkę dla dorastających panienek, czy téż o „dzieło szerszego zakresu“ dla dorosłych—powié nam coś o „zacnéj tendencyi“.

Wiedząc dobrze, że Sarze Bernhard więcéj dają słuchaczów plotki o spaniu w trumnie i przeróżnych przygodach, jako téż o jéj talencikach: malarskim, rzeźbiarskim, poetyckim i t. d., aniżeli sam talent dramatyczny, krytycy zajmującego nas w téj chwili typu zbywając jaknajkrótszemi frazesami zły utwór, o którym muszą pisać, sypią jak z rękawa najdłuższe o rozmaitych rzeczach, mniéj lub więcéj tyczących autora, chociaż bynajmniéj nie tłómaczących znaczenia lub zrodzenia się rzekomo omawianéj książki.

Pod takiemi listami otwartemi do przyjaciół, jak je nazywam, napotykamy rozpaczliwie wielką liczbę nazwisk naszych autorów (nie mogę dodać: i autorek, ponieważ nie znalazłem na to dowodów). Pozwolę sobie przytoczyć próbkę takiego „zamawiania zębów“, mogącego służyć za wymowny dowód, że prawdziwie nawet dystyngowany i zdolny pisarz, przy szczerych chęciach, może zrobić sprawozdanie, które tak się będzie stosowało do doskonałego w swoim rodzaju, jak zero do nieskończoności. Wybrałem ten przykład z pośród wielu innych dlatego tylko, że chodzi tu o człowieka niewątpliwego talentu i wykształcenia, obdarzonego niezaprzeczoném poczuciem piękna w utworach cudzych, usiłującego wogóle zrozumiéć książkę, o któréj ma pisać, nie zaś sądzącego o niéj jak X z okładki, lub kilku wierszy, na jakie się odkryła. Otóż taki nawet krytyk-autor, którego żadnéj nagany o cień złéj wiary posądzić nie można, dzięki powszechnéj a zgubnéj tolerancyi prasy popełnia od czasu do czasu takie „listy“. Oto jeden z nich.

Dają się w nim rozróżnić następujące części składowe, połączone w jedno, przy pomocy dowcipnéj jak ta pozycyi, sposobem używanym przez kronikarzy tygodniowych, chcących bez zbyt nagłych i widocznych przeskoków mówić z kolei o pogodzie, teatrzykach ogródkowych, świeżém bankructwie i t. d.: 1) wstęp — koszyczek pięknie wyrobionego kwiecia stylowego z paru cytatami, mniéj lub więcej

céj wzruszającemi (półtoréj przeszło szpalty); 2) opowiadanie o całéj działalności autora literackiéj i dziennikarskiéj, jak się to praktykuje we „wzmiankach“ pośmiertnych lub jubileuszowych (prawie dwie szpalty); 3) streszczenie powieści z uwydatnieniem „zacnéj tendencyi“ naturalnie „jak zawsze“ (jedna szpalta); 4) sąd o świeżéj powieści, wymienionéj w tytuliku sprawozdania, czyli wiązanka zdawkowych pochwał (w kilku wierszach). Przejście od pierwszéj do drugiéj części tak wygląda. „Czy Sully-Prudhomme nie jest dla wielu, nie głębokim, poważnym filozofem-poetą, ale autorem — zadziwiającego popularnego wierszyka *Le vase brisé?* Czy po Reissigerze“ i t. d. „A Karpiński?“... i t. d. „Jest to pewna dystynkcya miéć coś wspólnego z wielkimi tego świata. Dystynkcyą taką poszczycić się może“ pisarz „znany“, „zwłaszcza damom“, jako autor pewnego wierszyka ulotnego, pomimo, iż „dorzucił do całokształtu piśmiennictwa naszego“ „tomy felietonów, luźnych dziennikarskich artykułów, szeregi krytyk teatralnych, pracę redaktorską, pracę reżyserską“ w pewném towarzystwie amatorów, „kilka tomów powieści i nowel, studya, poezye, utwory sceniczne i t. d.“

Chociaż porównanie to nie mówi wyraźnie nic, każe się jednak domyślać czytelnikowi, że pisarz ten, jeśli nie w „krytykach teatralnych“ lub „pracy reżyserskiéj“ to przynajmniéj w „poezyach lub utworach scenicznych“ jest téż „głębokim, poważnym filozofem-poetą“ lub czémś w tym rodzaju, stoi jednak w każdym razie na poziomie „wielkich tego świata“, niewielu bowiem przyjdzie do głowy przypuszczenie, iż krytyk zewnętrzne jakieś, powierzchowne podobieństwo (napisał wiele rzeczy obszernych, a znany z drobiazgu) wydać chce za „dystynkcyą“ „zaszczytną“.

Daléj krytyk, udając, że niesłychanie go powieść obchodzi, wdaje się w polemikę z innėm z niéj sprawozdaniem, tak samo chwalczém a twierdzącém, że ona dopiéro jest istotnie „poważnym, szerszego zakresu“ utworem tego pisarza. Niezwykle zabawny ten ustęp, stanowiący przejście od części drugiéj do trzeciéj imituje, niezupełnie trafnie, Falstafa, który broniąc honoru swego brzuszka mówi gdzieś: „jeśli tusza zasługuje na nienawiść, to należy kochać chude krowy Faraona“. „Zatém wszystko, co dotychczas napisał, na miano drobiazgów zasługuje?... W takim razie musielibyśmy uznać np. „Przechodnia“ Coppée'go za drobiazg, a kilkutomowéj powieści Montepin'a przyznać wyższość, jako dziełu „szerszego zakresu“, w takim razie działalność publicystyczna Veuillot'a ustąpićby musiała kroku bibliotece powieściowéj Fevala“. Tu znowu krytyk nie twierdzi

niby stanowczo, pozwala się jednak domyślać, że wśród „materyału duchowego“, jaki zajmujący go pisarz „do całokształtu piśmiennictwa naszego dorzucił“ są rzeczy wartości „Przechodnia“ lub utworów publicystycznych Veuillot'a. Naturalnie w artykule nietylko brak dowodów „wielkości“ lub téż wyjątkowéj wartości jego utworów, ale nie ma nawet pozytywnego, wyraźnego twierdzenia, dowodzącego że recenzent sam wierzy w to, czego pozwala się domyślać czytelnikowi.

Streszczając powieść krytyk mówi, że „postacie jéj zdawałoby się, żywcem są wykrojone z tła ulic i salonów warszawskich“. Zdanie to doprowadza do odkrycia cechy „specyficznéj“ danéj powieści i wogóle twórczości samego pisarza: „warszawskość“. Artykuł, o którym mówię, każe wierzyć prawdzie tego odkrycia na słowo; w innem jednak piśmie tenże sam krytyk występuje z następującym jéj dowodem, mówiąc naturalnie o téjże saméj książce: „Wyjrzyjmy oknem na ulicę, na Marszałkowską, Nowy Świat, Królewską, bądź na którą z ulic Warszawy. Co to za szykowny młodzian pomyka w kabryolecie, dotykając lekko własnoręcznie batem ślicznych parę koni? Znamy go tu wszyscy, to młody *** (niby ujemny bohatér powieści).“ Smutne to, ale pewne, jak myślę, że połowa czytelników conajmniéj uwierzy w doniosłość tego „dowodu“ tak, jak gdyby „szykowny młodzian“ był istotnie zjawiskiem, które, jak Eskimos w Grenlandyi lub nad zatokami Hudsona i Berynga, może być oglądane tylko „na ulicach Warszawy“, jakgdyby po Praterze, Corso, Pod-lipami i na Polach Elizejskich, złota młodzież jeździła na słoniach lub renach.

Takie to eteryczne emanacye uczuć i interesów osobistych co-krok muszą pochłaniać nasi czytelnicy pism peryodycznych, cierpiąc na duchu za to, że sprawozdawcy zbyt wygórowane mają pojęcie o obowiązkach wdzięczności, grzeczności towarzyskiéj, koleżeństwa lub miłości dla własnéj kieszeni.

Dotychczas mieliśmy do czynienia z samemi imitacyami krytyki teraz zaś przejdziemy do następnych trzech grup, czyniących już etycznie przynajmniéj zadość wymaganiom niezbędnym. Punktem wyjścia krytyków tego rodzają są wrażenia bezpośrednie, naturalnie szczere. Do pierwszéj z grup tych zaliczę recencenzentów, w których duszy mnogie wrażenia bezpośrednie układają się w mniéj lub więcéj harmonijne a jednolite poczucie tego, co w danym utworze jest rzeczywiście. Sprawozdawcom téj grupy brak: albo znajomości metody, albo zdolności do analizy i samoanalizy lub téż wprost, krótko mówiąc, odpowiedniego wykształcenia. Oceny téj

kategoryi w ścisłém streszczeniu mówią: „to mi się podoba, a to nie“. Nie szukaj w nich, czytelniku, odpowiedzi na pytania: dlaczego i w jakim stopniu dany utwór się podoba? lub dlaczego jest w rzeczy saméj piękny? czy i dlaczego utonie on w niepamięci jutro lub za rok, albo téż przetrwa kilka pokoleń? Należy przyznać, że wielka liczebność téj grupy winna być skwapliwie zapisana na kredyt w księdze skarbów duchowych naszego społeczeństwa: łatwiéj szczeremu nauczyć się metody, niż znającemu metodę—szczerości, krytyk jednak tego typu na każdym, żądnym wszechstronnego a jednolitego zrozumienia danego utworu, zrobi takie wrażenie, jakie zrobiłby na kimś, chcącym dostać się na pewien punkt, kapitan okrętu, gdyby wskazał tylko stronę widnokręgu, w którym punkt ten leży, nie mogąc do niego dowieźć. Kapitan ów nie zaszkodziłby podróżnemu, ale pomógłby mu mało, lub téż nic, szczególnie gdyby mu wiary nie dano. Niekrytyczna krytyka tego rodzaju stron ujemnych nie posiada, brak jéj tylko dodatnich. Najszkodliwszą jéj właściwością jest to, że bardziéj, niż jakakolwiek inna narażona jest ona na falsyfikacye, mniéj lub więcéj świadome: i wilk z pierwszéj grupy, i lis z drugiéj—w téj właśnie owczéj skórze paradują.

Każdemu, co nie żałował trudu na przyglądanie się własnéj duszy, wiadomo, że wrażenie bezpośrednie w ścisłém znaczeniu tego wyrazu — jest punktem ruchomym, często pomimo woli i świadomości naszéj. Stąd usiłującemu z niego na coś patrzéć, jedno i toż samo rozmaicie w różnych chwilach przedstawić się może—w zależności od stanu pogody, trawienia, niewyspania się, a nawet szansy w wincie. Umysł — niekrytyczny zawsze, a mało krytyczny często — skłonny jest do wzięcia takiego wrażenia bezwartościowego za prawdziwe poczucie intuicyjne, o jakiém mówiłem na wstępie, na niém budując biédny i znikomy gmach swoich zdań o rzeczy. O téj części sprawozdań czwartéj grupy mówić niewarto, zatrzymamy się zaś trochę nad drugą jéj kategoryą; zaliczę do niéj utwory tych, których punkt widzenia — owo wrażenie bezpośrednie — stale w stosunku do utworów pewnego typu zajmuje pewną określoną pozycyą, w zależności od skrajnych przekonań i poglądów społecznych, etycznych lub religijnych. Tacy recenzenci umieją już neutralizować, jak nazwałem to wyżéj, aberacyjne wpływy chwili, nie są jednak w stanie, dzięki, że tak powiem, dogmatyczności swéj, uczynić toż samo z wpływami innéj natury, które zdają się im czémś przyrodzoném i nieomylném. Wyobraźmy sobie, że trzéj różni sprawozdawcy w ten sposób mówią nam o świéżo otwartém muzeum.

Pierwszy. Przedewszystkiém wiedzcie, że wzniesiono je za

złoto przeklęte, wytopione z krwi i potu nieszczęsnych pracowników—przez tę bestyę apokaliptyczną, milionera-fabrykanta. Te świetne mury, sale i madonny — wszystko to wstrętne, wszystko to czuć ową krwią i potem nędzarzy...

D r u g i. Gmach cały w stylu odrodzenia, a fronton skłania się gwałtownie ku *rococo*. Obejrzałem z obowiązku sprawozdawcy wszystkie sale, ale to odrodzenie z *rococo* wciągnęły do swéj kłótni w moim umyśle każdy portret, deptały śnieg czy trawnik każdego krajobrazu...

T r z e c i. W przedsionku zaraz ujrzałem... nagą kobiétę. Wszeteczny bogacz, wystawiający na widok publiczny wszeteczne dzieło wszetecznego sztukmistrza od barw, — zarówno z tym ostatnim potępienia jest godzien. Poszedłem daléj, ale ta nagość bezwstydna wciąż stała mi w oczach, przesłaniając nawet wizerunki świętych i męczenników...

Od pierwszego z tych sprawozdawców dowiemy się, co myśli on o obecnych stosunkach społeczno ekonomicznych, od drugiego, że woli odrodzenie czyste, niż skombinowane z *rococo*, od trzeciego, jakiém jest stanowisko jego wobec malowanéj nagości kobiecéj, ale o zbiorach muzealnych?...

Tak samo krytyk drugiéj kategoryi czwartéj grupy uczyni zarzut pisarzowi, który wydał za prawdziwego szlachcica kogoś, nie dotkniętego *delirium tremens*, rozrzedzeniem mózgu lub skłonnością do wyciągania chustek z cudzych kieszeni. Tego rodzaju *libelli*, jak powiedzieliby: krytyk wzmiankowany grupy drugiéj i Terentianus, *habent sua fata pro captu lectoris*—i słusznie. Utwory, krytyczne jakoby, tego rodzaju mogą mieć w a r t o ś ć p u b l i c y s t y c z n ą, krytycznéj jednak żadnéj. Krytyk téj kategoryi, jako taki, przypomina najczęściéj byka, nie widzącego na dziewczynie wiejskiéj nic, oprócz chustki czerwonéj.

Tak ktoś, wychodząc z wzniosłéj skądinąd zasady, że tylko czyny pożyteczne nadają wartość życiu człowieka, że drzewo poznaje się po owocach, nabiéra wstrętu nieprzezwyciężonego do bohatéra pewnéj powieści, mającéj na celu zobrazowanie tragedyi sceptycyzmu wszechrozkładającego, ponieważ ten babrze się we wnętrznościach własnéj duszy poto tylko, żeby nic nie robić: „wałkoń, próżniak, gnus"! Niebacząc na wysilki autora, stawiącego duszę swego bohatéra wobec wszystkich zagadek, tyczących się Boga, świata, duszy ludzkiéj, społeczeństwa—krytyk, mniemający, że sam posiada słowo ich rozwiązania i niemogący pojąć żadnych wątpliwości na tych punktach, nazywa powieść opowiadaniem o b y c z a j o w o - psychologiczném i traktuje ją

ciągle, jako satyrę ku większemu pognębieniu „wałkoniów“, dając zarazem do zrozumienia, że jeśli autor nie to miał na myśli, to niech go gęś kopnie. Przedmiot idyosynkrazyi etycznéj wszystko mu przesłania, i w powieści widzi on tylko to, co zdaje się mu potwierdzać prawdę pierwotnego wrażenia bezpośredniego. Tak np. w pewnym ustępie wypowiada on przypuszczenie, że prototypem bohatera powieści był Amiel, tak samo niezdolny do czynu marzyciel szwajcarski, oderwany od wszelkich interesów egoistycznych ziemskich, o duszy przedziwnie pięknéj, wrażliwéj niby harfa Eola, ale choréj, jak powiedział Caro, „na ideał“, marzyciel, którego wszystkie marzenia i zwątpienia nawet przez filozofią zawodową zostały opatrzone stemplem najprawdziwszéj i najwyższéj filozoficzności. Krytyk wytyka dużo rysów wspólnych pomiędzy zajmującym go typem i prototypem, ale porównywa tylko mechanicznie. Ignorując myśl autora, że bezczynność może też wypływać z niepewności w każdym danym wypadku, jaki z wielu nastręczających się czynów jest istotnie najlepszy, wymagany przez obowiązek i ideał, nie chcąc wiedzieć o niczém, oprócz własnego dogmatu — powraca on natychmiast do swego *e pur si muove*: z miłości tylko wypływa czyn pożyteczny albo też, z miłości wypływa tylko czyn pożyteczny, brak zaś czynu — z egoizmu, *ergo* niezdolność do czynu bohatéra powieści dowodzi „hipertrofii egoizmu“. Krytyk nie chce wierzyć bohaterowi, że własny sceptycyzm jest dlań źródłem mąk, że chciałby on czynić i czynić dobro; pomija, jako rzecz nić nieznaczącą—chociaż przytacza go—fakt, że kiedy—w młodości—gnusowi temu zjawiała się pewność, co zrobić należy, nie wahał się on z największą energią, chociaż niczém nieprzymuszony narazić na najoczywistsze niebezpieczeństwa, największe trudy i niewygody, a narazić bezinteresownie — w najszerszém znaczeniu tego wyrazu — natchniony jedynie zapałem dla idei. Z przytoczenia tego faktu, jakoteż i z porównania z Amielem, możnaby wywnioskować, iż krytyk się domyśla, że autor ma swego bohatéra, za człowieka o duszy z gruntu dobréj, a wyjałowionéj przez zbytnią swą wybujałość — chorobliwą jak myśli prawdopodobnie, — że opisuje gruszkę, niezdolną do wydawania owoców, z winy zbyt żyznéj ziemi czy też liszaja co się na nią rzucił; nie stara się on jednak dowieść autorowi, że ten jest w psychologicznéj czy też jakiejkolwiek sprzeczności z samym sobą, uwydatnia zaś jedynie sprzeczności z nim, krytykiem; nie dowodzi, nie twierdzi nawet, że autor opisując owo drzewo dał mu liście gruszy, a korzenie wierzby, ale powiada wprost: drzewo niezdolne do wydawania gruszek jest wierzbą, mimo faktu zaś, że na drzewie tém było kiedyś parę gruszek, przechodzi, zaledwie go zanoto-

wawszy, nie powiedziawszy nawet, że to autor sam dla facecyi na wierzbie je zawiesił. Wciągnąwszy nienawistny sobie typ na grunt własnych poglądów etycznych, krytyk masakruje „wałkonia“ bez wytchnienia w tysiącach wierszy, ani na chwilę nie wychylając się na pole widzenia bohatera, a przypuszczalnie i autora.

Piątą grupę tworzy mimowolna a nieświadoma oscylacya owego ruchomego punktu widzenia w umyśle, ani dość jednostronnym, ani dość w swéj wielostronności syntetycznym. Oscylacya ta w umysłach niewykształconych płodzi tak częste u nas jąkania się pseudo-krytyczne, o których mówić nie warto. W przeciwnym zaś razie daje początek rodzajowi krytyki, którą nazwę estetyczną, ponieważ w imię estetyki zdaje się ona u nas głównie przemawiać. Estetyczność jéj jest mówiąc nawiasem czysto formalną. Usiluje ona rozwiązać kwestye, czy dany utwór, w myśl wymagań szablonu, w odpowiednią do treści swéj ujęty został formę, czy nie jest zadługi, lub zakrótki w stosunku do idei swéj przewodniéj, lub objętości fabuły.

Jedyną, jak mi się zdaje zasługą niewątpliwą krytyków téj grupy jest to, że baczą oni pilnie na język i styl, dając przykład autorom czystości pierwszego i piękności drugiego. Brak ścisłéj metody kapłani téj krytyki zastępują sztraszliwą wielosłownością, obciążając prócz tego czytelnika ponad siły masą cytat i streszczeń, co stało się już jedną z cech charakterystycznych maniery szkoły. Objaw to naturalny, ponieważ ktoby chciał wcisnąć do jednego pudełka wiele ciał mineralnych, które przy zetknięciu odpychałyby się wzajemnie na mocy prawa przyrody, musiałby je dobrze w bawełnę obwinąć: otóż bawełna frazesów niezbędna bywa estetykom naszym w ich sprzecznéj choć pięknéj gmatwaninie wyrazów i pojęć. Krytyk taki najczęściéj robi krok naprzód po to tylko, żeby się zaraz cofnąć o dwa kroki, lub odwrotnie. Jeśli na jednéj stronicy rzuci jakieś twierdzenie stanowcze, to na następnéj wyrwie mu się drugie, gwałtownie pierwszemu przeczące, tak, że co chwila się wydaje, jakoby krytyk nie o jednym i tym samym przedmiocie mówił: igła jego kompasu wciąż drga i nie może się zatrzymać ani na kierunku bieguna, ani téż wulkanu.

Jeden z najwybitniejszych — uznany za taki — okazów krytyki tego rodzaju, zrodzony téż z powodu wspomnianéj wyżéj powieści z „wałkoniem,“ zająłby conajmniéj 30 stronic tego formatu, było więc gdzie rozeprzéć się nawet gdyby chodziło o Hamleta lub Werthera, dokoła których powstała już cała literatura, zmuszająca krytyka do liczenia się ze sobą, do wytykania w zdaniach swych punktów z nią stycznych lub sprzecznych; ale jak powiedziałem, estetykom naszym obcą jest oszczędność w wyrazach, w których rozprowadzone nie-

zgodne ze sobą przeczenia, nie tak się jakoś widocznie kłócą. Wykształcony krytyk rozumié, że powinien dać czytelnikowi ogólną charakterystykę stylu, tonu, formy, treści, bohatera i innych osób działających, wreszcie zawyrokować, czy powieść jest piękna harmonijnie i czy jest dziełem trwałém lub znikomém — i wszystko to uzasadnić; że prócz tego, dobrzeby było ze względu na wybitność typu głównego znaleźć jego zarodek przynajmniéj w umyśle autora. Ale, niestety! z tego dość szerokiego stosunkowo zrozumienia zadań krytyka czytelnik pożytku nie odnosi. O ile tyczy się stylu, tonu, formy i jéj stosunku do treści — wystarcza bagaż pojęć estetyczno-formalnych; z charakterystyką osób drugorzędnych może sobie dać radę zwykły zdrowy rozsądek, ale kiedy zaczyna chodzić o bohatera, to niesłychanie różnorodne wyrazy najzłożeńszéj z natur co chwila inne budzą w duszy szczerego krytyka wrażenia bezpośrednie, co chwila zmuszają go do stawania mimowolnie a nieświadomie na coraz to nowych punktach widzenia, nastręczają mu coraz to nowe kojarzenia myśli i porównania, które z kolei coraz daléj na manowce umysł jego prowadzą. Zabłąkanemu w tym labiryncie pojęć brak nici przewodniéj, nie jest on w stanie ująć w syntezę całéj rozmaitości wrażeń bezpośrednich, sprzecznéj często w sobie — czasem pozornie tylko. Tak naprzykład zwraca uwagę jego na siebie cała jałowość samoanalizy bohatera, nigdy nie prowadząca do czynu, a skojarzenie się myśli popycha go do określenia jego istoty (ogólnie) słowami pisarza francuskiego o innym typie, którego odrębność nie rzuca mu się w oczy na razie. „Dobre i złe, piękno i brzydota, cnoty i występki wydają się mu przedmiotem prostéj ciekawości... Duszę człowieka uważa on za mądry mechanizm, którego rozbieranie zajmuje go jako interesujące doświadczenie.“ To dociąganie swego typu do cudzego określenia innéj osobistości nie pozwala mu nawet zwrócić uwagi na to, że pierwszy sam wielokrotnie mówi o sobie, iż wszechburząca jego analiza tylko do krainy piękna wstępu nie ma, iż tylko poczucia piękna sceptycyzm jego nie tyka, iż tylko z tego poczucia wypływa jedyna niechwiejna w nim zasada etyczna: nie można robić tego co brzydkie. Niebawem znów krytyka uderza namiętne pragnienie w bohaterze wiary nietylko filozoficznéj, ale i etycznéj, i powiada on: „na progu każdego zwątpienia zatulony gdzieś w kąt duszy kryje się jakiś dogmat „ideał.“ Daléj wzruszony skargami na męczarnie téj w najwyższym stopniu świadoméj siebie wiecznéj niepewności, mówi: „Impotencya ducha jest u niego wewnętrzną tragedyą.“ W cóż się więc obraca owa „prosta ciekawość“ co do „interesującego doświadczenia“ wobec tego pragnienia dogmatu-ideału, wobec „dogmatu-ideału“ w stanie

ukrytym, wobec téj „tragedyi wewnętrznéj,“ która dowodzi, że kwestya „dobrego i złego“ dla danego osobnika jest kwestyą życia lub śmierci.

Przyglądanie się nieustanne robocie rozkładowéj umysłu bohatera każe krytykowi powiedzićć: „sceptyk bezwzględny;“ ale w tém uderza go pewien ustęp, w którym ów sceptyk mówi o miłości, jako o czémś wiecznêm, silniejszém nad śmierć, i dobrém. „Ten człowiek ma jeden dogmat — miłość,“ woła krytyk, zadając jednocześnie kłam sobie i autorowi, nie bacząc na to, że ostatni chciał tylko przedstawić jeden z niezliczonych aktów „tragedyi“ rozkładu, że ów hymn do miłości rodzi się tylko z natchnienia przelotnego, że o parę kartek daléj, tenże sam „człowiek“ pastwi się w sposób najokrutniejszy nad chwilowym tym swoim dogmatem, w którym mu ścisła analiza odkrywa całą bezdeń zła najnienawistniejszego. „Dogmacik“ mu robi autor coprawda, ale z kobiéty ukochanéj, nie zaś z miłości, jako zasady etyczno-filozoficznéj.

Najnieszczęśliwiéj udała się krytykowi dysgresya embryologiczno-ewolucyjna w celu odnalezienia prototypu danego bohatera w innych postaciach tegoż autora. „Człowiek bez dogmatu oddawna nie dawał autorowi spać“ powiada krytyk i na dowód tego wskazuje dwa typy, nawskroś według jego własnych słów dogmatyczne, nieznające żadnych zgoła zwątpień. Wyobraźmy sobie naturalistę, któryby w taki sposób tłumaczył się z tego, że widzi zarodek słonia w jajku wróbla: wróbel mały, słoń ogromny; wróbel lata w powietrzu, słoń stąpa ociężale po ziemi; wróbel ma pierze, słoń nawet w uwłosienie niebogaty; wróbel jest egoistą nawet względem własnych piskląt, słoń dla swoich małych do największych poświęceń jest zdolny. Otóż tak samo poczyna sobie zajmujące nas studyum krytyczne: Prototyp „miał temperament i działał,“ typ dany „także przegląda się w swojém ja (słoń także ma coś przy głowie, ale trąbę, nie dziób), ale nie poto, żeby z téj refleksyi wyniknął czyn, tylko dla saméj przyjemności kontemplacyi (gdzieindziéj jak mówiłem krytyk spostrzega, że ta samokontemplacya jest źródłem męki nie zaś przyjemności); prototyp „jest potężnym zapaśnikiem w walce o byt,“ typ „nieudolny życiowo,“ „zmęczony bezczynnością;“ prototyp „miał wolę,“ typ „niezdolny jest chcićć,“ prototyp „miał charakter, zły, ale charakter,“ typ „ma sceptycyzm „w kwadracie,“ który wszystko rozkłada, myśl i uczucie, wolę i charakter;“ prototyp jest dogmatykiem — deterministą, negującym sumienie, „z tysiąca głosów natury podsłuchał on i powtarza jedno tylko wołanie: „śmierć słabym, zwycięstwo silnym,“ ma on nienawiść stanowczą i zdecydowaną dla przeszłości, którą mniema, że rozumie

dokładnie, „uważa uczucia za objawy patologiczne, powodzenie jest dlań wszystkiém,“—typ zaś wątpi o własnym nawet sceptycyzmie, „nie wspiera się nawet na żadnych zasadach artystycznych“ (?). „Wiem“ było hasłem pierwszych, „niewiem“ to dewiza drugich.“ Cóż wspólnego mają ten słoń z wróblem, „których na pozór dzieli cała przepaść?“ Ano, przecież obaj mają po cztery nogi: „w gruncie rzeczy każdy z nich (skrajny materyalista i sceptyk bezwzględny! wyobraża tylko pewien moment rozwoju krytycyzmu“ [1]).

Trzeba przypuścić, że ustęp ten zrodziło znów pewne przypadkowe skojarzenie się myśli, wywołane jakiémś podobieństwem—albo powierzchownem, albo zbyt ogólném — pomiędzy dwoma typami analizowanemi, podobieństwem, które mogłoby lub musiałoby połączyć wszystkich ludzi zarówno, tak jak np. nietylko słoniowi i wróblowi byłaby właściwą cecha, że ani ten ani ów nie mógłby żyć bez powietrza, wody i słońca.

W jedném miejscu krytyk twierdzi, że bohater „przechodzi, ponieważ zanadto stał się typem,“ w drugiém zaś, że tę powieść-pamiętnik, którą bohater ów sobą wypełnia pod wszystkiemi względami, — czeka trwała sława „Werthera.“ Otóż jest w tém sprzeczność kardynalna, ponieważ odtworzenie typu „przechodzącego“ mogłoby być tylko musztardą po obiedzie. Nieśmiertelność, o ile mogą być nie-

[1]) Krytycyzmem nazywa się systemat filozoficzny, zakreślający granice poznania ludzkiego i dowodzący drogą właściwéj sobie metody, że wszelkie możliwe pojęcie rozumu ludzkiego — pozytywne czy negatywne — o czemś zewnętrznem względem myśli saméj w sobie, transcendentalném — jest samo ze sobą sprzeczne, a więc nieprawdziwe, że jedyną rzeczą samą w sobie, o któréj istnieniu wiemy, o któréj wogóle coś pewnego wiedziéć możemy — jest myśl. Materyalizm nietylko o granicach poznania, lecz nawet o myśli, jako o rzeczy saméj w sobie, słyszéć nie chce, uważając ją za zjawisko, wywoływane w materyi,—która sama tylko jest,— przez pewne procesy chemiko-mechaniczne; w owéj zaś sferze, transcendentalnéj dla krytycyzmu, którego metodę, punkt wyjścia i wnioski zarówno ignoruje, jest on nawskroś dogmatyczny. Przeciwieństwo tych systematów na wszystkich punktach jest tak stanowcze, że materyalizm możnaby nazwać reakcyą przeciw krytycyzmowi (lepiéj: wyprowadzającemu się od niego idealizmowi), lecz nigdy „jednym z momentów jego rozwoju.“ Zresztą zdanie to stanowi rażący anachronizm, ponieważ zarówno materyalizm (atomistyczny), jak i sceptycyzm (bezwzględny), jako systematy filozoficzne istniały na 2000 lat z górą przed przyjściem na świat twórcy krytycyzmu. Gdybyśmy nawet przypuścili, że pod wyrazem „krytycyzm“ rozumiano tu: duch krytyki (niekoniecznie Kanta), zdanie straciłoby na pretensyonalności, lecz nie zyskałoby na prawdzie znaczenia, ponieważ materyalizm powstał z potrzeb ducha ludzkiego czysto dogmatycznych, nie zaś krytycznych. Żadne pojęcie ludzkie nie istniałoby bez pewnego stopnia krytyki, lecz materyalizm stawi właściwą sobie nawet krytykę w zależności od dogmatów swych, nie zaś odwrotnie

śmiertelnemi dzieła nasze, staje się udziałem utworów ducha ludzkiego o tyle, o ile są one odtworzeniem wyraźném wiecznych pierwiastków tego ducha: Hamleci — powiatowi i wszechświatowi — istnieją dziś i będą pewno istnieli wiele setek a może i tysięcy lat, i dziś jak i za setki lat, każdy, dążący do uszczęśliwienia ludzkości przez czyny z mrzonek utopijnych płynące, będzie Don-Kiszotem. Każdy z takich wiecznych pierwiastków istnieje w stanie ukrytym w duszy wszelkiego człowieka, lecz świadomość jego wyraźna ujawnia się naprzód w umyśle geniusza. Na zaklęcie słowa twórczego odkrywają w sobie pierwiastek ten i inni, zwracając na niego uwagę, każą mu wzrosnąć, często na koszt innych pierwiastków swego ducha, nie tak w danéj chwili uwyraźnionych: stąd niezmierny wpływ na ludzkość tworów geniuszu. Uwspółcześnionego Hamleta Goethego nie za to zwiemy wielkim i trwałym utworem, że poeta odtworzył „typ przechodzący," lecz że miał moc stworzenia tłumu Wertherów, nie cofających się nawet przed samobójstwem, — nie dlatego, że Goethe zaszczepił swemu bohaterowi znikającego mikroba *weltschmerzu*, lecz że zdołał mocą geniuszu i artyzmu przeszczepić go całemu, współczesnemu sobie, młodemu pokoleniu, a nawet do pewnego stopnia wielu późniejszym. Jednem słowem złą drogę wybrał krytyk do dowiedzenia, że dana powieść kryje w sobie taki zasób nieśmiertelności, jak „Werther."

Zdaje mi się, że całéj téj kaszy nawarzył fatalny przypadek, dzięki któremu umysł krytyka uderzony został przez aforyzm znany, iż „co ma ożyć w pieśni, winno umrzéć w rzeczywistości." Nie zwróciwszy uwagi na to, że w myśl poety niemieckiego, stosuje się on tylko do osobistości i zdarzeń, lecz nigdy do typów i idei, które pieśń właśnie winna odgadywać i stwarzać niejako, krytyk, biorąc go za jakieś ścisłe prawo, w rodzaju matematycznych, chciał do niego nagiąć wyniesione z czytania powieści wrażenie piękna mniéj lub więcéj nieśmiertelnego. Rozumowanie jego, jak przypuszczam, mogło być takie: czuję, że powieść ta nie może utonąć w niepamięci, jak inne efemerydy, a więc, na zasadzie prawa z aforyzmu, „ożywający" w pieśni a stanowiący treść jéj typ musi być przechodzącym (bo że jeszcze nie „umarł w rzeczywistości" teraźniejszéj — krytyk nie mógł wątpić). W taki to sposób w naszéj krytyce estetycznéj, o ile ją rozumiem, grają główną rolę skojarzenia się przypadkowe myśli, przeplatane z różnorodnemi wrażeniami bezpośredniemi, wywoływanemi przez rozmaite strony jednéj i téj saméj rzeczy.

Teraz dopiéro wstąpimy na grunt krytyki właściwéj, którą, według określenia Hennequin'a, jako zajmującą się jeszcze przedewszystkiém utworami i autorami, nie zaś ogólnemi prawami ducha osobników

i plemion, należałoby nazwać „literacką.“ Ta krytyka stanowi w każdym razie grunt na którym może wyrosnąć i wyrasta prawdziwa krytyka naukowa. Utwory krytyczne grup, o których mówić z kolei będziemy, różnią się już pomiędzy sobą tylko rozciągłością w jakiéj w każdym danym wypadku ścisła metoda analityczna lub samoanalityczna była stosowana. Z krytyk tych jeśli niezawsze dowiadujemy się wszystkiego, co w pewnym utworze jest, dowiadujemy się w każdym razie, co w nim jest rzeczywiście, lub jakie rzeczywiście musi on wywołać wrażenia w danéj duszy.

Przechodząc stopniowo od niższych do wyższych rodzajów krytyki, do grupy szóstéj zaliczyłbym sprawozdania, których autorom niebrak ani owéj syntezy nieświadoméj, ani téż zdolności do samoanalizy. Wśród ogromnéj masy makulatury, wyrzucanéj na świat z naszych drukarni w ciągu ostatnich lat kilku, napotkałem kilka zaledwie utworów krytycznych tego rodzaju, przypominających sposoby pisania analogicznéj szkoły z nad Sekwany i tchnących sympatyami — to prometeistyczno-kainowskiemi, to dekadencko symbolistycznemi. Grupy powyższe wymieniłem dlatego, że wszelkie wybitne zjawisko w piśmiennictwie naszém, niezbędnie znajduje ocenę w każdéj z nich, wspominam zaś szóstą — grupkę zaledwie lub mniéj jeszcze — dlatego jedynie, że bądź co bądź, pomimo całéj swéj egzotyczności, stanowi ona rys dodatni i pożądany. Krytyka ta, odzywając się wyłącznie o utworach, mową bogów pisanych, zbyt dorywczo, niestety! i zbyt rzadko, daje do zrozumienia, że poeci nasi — przeważnie i ponad możliwą do usprawiedliwienia miarę — na jednostrunnéj a trzechtonowéj bandurze drumkają, podczas gdy w innych krajach powszechnie już w użyciu są u takiejże dziatwy Apollina liry wielostrunne, zdolne do wydawania pod umiejętną dłonią nawet szesnastych części tonu.

Jeśli grupa szósta tyczy się wyłącznie utworów rymowanych, to znów dla siódméj nie istnieją one prawie wcale, dlatego może, że poezya utraciła wszelki wpływ na społeczeństwo. Na utwory téj grupy składają się zwolennicy metody naukowéj, czyniący zadość innym wymaganiom niezbędnym, a których niestać na wszechstronność naukową. Jeśli poprzedzającą grupę nazwałem egzotyczną, to charakteryzując tę, użyłbym wyrazu: międzynarodowość, gdyby nie był on najczęściéj w języku potocznym przeciwstawieniem wyrazu: patryotyzm. Zdanie to, w znaczeniu, jakie jabym mu tu chciał nadać, byłoby usprawiedliwione tém, że w krytyce zajmującego nas w téj chwili rodzaju stanowczo przeważają sprawdziany natury ogólnoludzkiéj, wchodzące w zakres psychologii, socyologii, filozofiii i najrzadziej — etyki. Stopień swojskości téj krytyki,

ogranicza się wyłącznie do stawienia zdarzeń i typów wobec naszéj rzeczywistości współczesnéj, ewolucya zaś typów i pojęć w życiu i piśmiennictwie naszém, jakotéż ewolucya w tém ostatniém form literackich — są to rzeczy jéj obce. Dla krytyków téj grupy przeszłość nasza literacka, to *tabula rasa*, na któréj widnieją zaledwo nazwiska tych co stali się własnością całego świata; już Kraszewski i Korzeniowski dla nich nie istnieją; zdają się oni wiedziéć coś tylko o Mickiewiczu, Krasińskim i Słowackim.

Oto w streszczeniu próbka sprawozdania tego typu z téj saméj powieści, która stała się powodem do przeanalizowanego wyżéj „listu do przyjaciela". Krytyk stosuje tu dwa tylko sprawdziany: rzeczywistość i nauka, ale co się nazywa *à fond*. Uprzedza on na wstępie, że powieść zwróciła uwagę jego tłem, którém są stosunki fabryczno-przemysłowe, a zakreśliwszy sobie w ten sposób granice, nie przekracza już ich nigdzie, ale téż nietylko nie wytwarza w nich pustki rozmyślnie, lecz jest wyczerpującym w swéj, że tak powiem, dwustronności. Od pierwszych słów stanąwszy w stosunku do autora na wręcz przeciwnym biegunie pojęć społeczno-ekonomicznych, krytyk ani na chwilę nie przestaje pomimo to traktować powieści z całą bezstronnością i dobrą wiarą. Rozumowanie jego tak wygląda.

1) Z analizy dziejów i charakterów postaci dodatnich widać, iż autor „opromienił je blaskiem wszystkich cnót"; 2) cnota ich idealna znajduje nagrodę, występek zaś uosobiony — postać ujemna — ponosi karę; 3) powieści posiada parę scen w rodzaju następnéj: robotnicy, dowiedziawszy się o zachwianiu się fabrykanta — postaci dodatniéj — gremialnie ofiarowują się spełniać dawną robotę za połowę płacy, co w rzeczywistości jest niemożliwe. Stąd wniosek: powieść cechuje idyliczność.

Widzimy tu zastosowanie sprawdzianu, który określiłem jako postawienie wobec rzeczywistości. Jeśli czytelnik będzie pewny, że tłum takich idealnie dobrych—dla pracodawców swych — robotników można spotkać w życiu, że możliwąby u nas było rzeczą dla robotnika przeciętnego poprzestać z rodziną na połowie zwykłego zarobku, — może się on nie zgodzić na wniosek krytyka, dowiaduje się w każdym razie, co j e s t w treści książki, co—i dlaczego—myśli o tém krytyk, i urabia sobie własne wyrozumowane przekonanie. Daléj:

1) Autor zawsze i wszędzie przyjmuje stronę idei małomieszczańsko-cnotliwych (*„mit Gott und Fleiss"*), wcielonych w słowa i czyny postaci dodatnich, idealizuje skromne „pragnienia małéj produkcyi", potępiając poglądy wielkokapitalistyczne postaci ujemnéj, stawiane zawsze w rzędzie jego stron najgorszych i podawane za źródło

bezpośrednie jéj klęsk i upodleń; 2) robotnicy występują w powieści w roli dzieci, a pracodawca w roli ojca. Stąd wniosek, że ideały społeczne autora są „feudalno-patryarchalne“. Ten drugi sylogizm jeszcze bardziéj dowodzi prawdy pierwszego, co do idyliczności. Prowadzi on do postawienia ideałów, jakie natchnęły autora wobec nauki, czego wynikiem jest następujący wniosek: powieściopisarz nie rozumié naukowo „zawiłych stosunków dzisiejszego życia“, nie pojmuje „dążności, ani szerokich widoków wielkiego kapitalizmu“, który, mówiąc nawiasem, krytykowi niemniéj sam w sobie jest nienawistny, niż autorowi, tylko że pierwszy z dwóch wié i pamięta, iż panowanie tego „wielkiego kapitalizmu“ jest nieuniknioną formą przejściową ku innym formom sprawiedliwszych stosunków społecznych.

Jak widzimy, całe to sprawozdanie opiéra się na rzeczywistości i nauce, i tylko w tych podstawach może być kwestyonowane. Krytyk nie ukrywa, że tendencya powieści, jako niezgodna z nauką i wymaganiami życia, nie podoba mu się, jest ona jednak zobrazowana tak bezstronnie, że każdy, co stoi na gruncie wspólnych z autorem poglądów i sympatyi, może, na zasadzie słów krytyka, nabrać najlepszego o powieści wyobrażenia, ponieważ dowiedział się dokładnie, co w niéj jest, a czego nie ma, a dowiedział się napewno, ponieważ w artykule nie ma ani jednego najdrobniejszego zdania gołosłownego.

Grupa ósma, niezbyt bogata liczebnie, ale omawiająca bądź co bądź prawie wszystko wybitne, odróżnia się jedynie od poprzedniéj większym stopniem swojskości, polegającéj na pamiętaniu o naszéj przeszłości, literackiéj.

Nie chcąc się powtarzać, ani téż wychodzić po za granice, wskazane w jednym z odnośników, zakończę na tém, dodając tylko, iż nie mam bynajmniéj zarozumienia, że kwestyą wyczerpałem, że niczego nie przeoczyłem. Pisząc to, cel praktyczny miałem na widoku: może choć w minimalnym jakimś stopniu te „słów kilka“ zmniejszą tolerancyą naszéj prasy, co — zmniejszyłoby natychmiast ilość sprawozdań niesumiennych, czy bałamutnych, a szkodliwych, zwiększając w takimże stosunku ilość znośnych i dobrych. Słowa te nie mają téż najmniejszéj pretensyi do naukowości, stąd téż o krytyce naszéj prawdziwie naukowéj nie probuję tu mówić wcale.

Józefat Nowiński.



PROMETEUSZ.

Fragment dramatyczny

J. W. GÖTHEGO.

O genezie fragmentu tego, który powstał między latami 1773 i 1774, lecz drukowany był dopiéro w r. 1830, sam Göthe tak się wyraża w księdze XV-éj swoich wspomnień, zatytułowanych „Z mego życia. Prawda i zmyślenie“:

„Od lat kilku popęd mój twórczy nie opuszczał mnie ani na chwilę. Wszystko, com spostrzegał na jawie, przeobrażało się nieraz nocą w sny, a skorom otworzył oczy, ukazywała mi się albo nowa, dziwaczna jakaś całość, albo część tego co już istniało... Rozważając ten dar natury i spostrzegłszy, że jest on osobistą moją właściwością, któréj nic obcego ani wzmocnić, ani powstrzymać nie zdoła, pragnąłem oprzéć na nim całą moją istotę myślową. Idea ta zamieniła się w obraz: stanęła przedemną mitologiczna postać Prometeusza, który niezależnie od bogów, z wnętrza swéj pracowni świat nowy zaludniał..... Bajka o Prometeuszu odżyła we mnie. Starą szatę Tytana przykroiłem sobie według własnego wzrostu i zacząłem, bez dalszego namysłu, pisać rzecz, uwydatniającą przeciwieństwo, w którém Prometeusz staje z Zeusem i nowszymi bogami, kształtując na własną rękę ludzi, obdarzonych życiem z łaski Minerwy, i tworząc z nich trzecią dynastyę..... Tytani są uwydatnieniem politeizmu, tak samo, jak za podkład monoteizmu uważać można szatana; ten jednak, zarówno jak Bóg jedyny, któremu go się przeciwstawia, nie jest postacią poetyczną. Szatan Miltona, choć dzielnie narysowany, pragnąc zburzyć dzieło wspaniałe istoty nadziemskiéj, pozostaje zawsze w roli podwładnego; gdy tymczasem Prometeusz ma tę wyższość, że wbrew woli istot boskich tworzy i oświéca. Przytém piękna to myśl, podatna bardzo dla poezyi, że rodu ludzkiego nie stworzył najwyższy władca świata, lecz jakiś pośrednik, który jednak, jako potomek najstarożytniejszéj dynastyi bogów, godnym jest tego. W ogólności mi-

tologia grecka przedstawia nieprzebrane bogactwo symbolów boskich i ludzkich“...

Z téj spowiedzi wielkiego poety widzimy, że główną „Prometeusza“ jego podstawą jest wiara w potęgę własnego geniuszu — bardzo naturalna zresztą w dwudziestoczteroletnim autorze „Götza“ — głęboko wszczepione przekonanie, iż twórczość prawdziwa, bez względu na wpływy zewnętrzne, czerpać powinna wszystko sama z siebie. Nie bajka mitologiczna wywołała w nim obraz tytana, wyzywającego Zeusa do walki, ale przeciwnie, poczucie własnéj siły stawiło mu przed oczy bajkę — wskrzesiło postać szlachetnego krzewiciela oświaty, dobroczyńcy rodu ludzkiego i hardego bojownika za prawdę.

„Nie wykowałże mnie na męża — C z a s wszechwładny — Mój pan i wasz?... mówi Prometeusz do Merkurego, wytykając bogom ich zależność od Kronosa i stawiając się tym sposobem z nimi na równi. A daléj znów takie rzuca im wyzwanie: „Cóż wy możecie? — Możecie-li mnie oddzielić — Od méj istoty — Albo téż rozdąć — Do rozmiarów świata?“...

Objawy te buntu trwają przeważnie przez cały akt pierwszy, uwydatniając się w rozmowach Prometeusza z Merkurym, Epimeteuszem i Minerwą. Epimeteusz przypomina, że bogowie ofiarują bratu jego osobny zakąt Olimpu, z którego panować ma nad ziemią; lecz Prometeusz odpowiada z oburzeniem: „Mam być ich burgrabią — I bronić ich nieba?“... Nawet do uspakajającéj go Minerwy mówi dumnie: „I jam potężny!... Czém oni są, czém ja?... Jestem wieczysty, bom jest!“...

W akcie zato drugim Prometeusz występuje w roli nauczyciela i dobroczyńcy ludzkości. Piérwszym czynnikiem kulturalnym, jaki Göthe tu wskazuje, jest w ł a s n o ś ć. Mężczyzna jakiś, pod kierunkiem Prometeusza, wystawił sobie chatę i zapytuje, czy ma obowiązek podzielenia jéj z braćmi, na co mu Prometeusz odpowiada: „Tyś ją zbudował... jest twoją“.

Dwaj inni sprzeczają się o złowione w górach przez jednego z nich kozice. Prawy właściciel odmawia towarzyszowi podziału; lecz ten zabiéra przemocą jednę z kozic, odepchnąwszy jéj posiadacza, który padając, rani się w głowę. Prometeusz każe mu hubką krew zatamować, a w końcu tak się odzywa o przestępcy: „Jeśli dłoń jego przeciw wszystkim będzie, — To i dłoń wszystkich będzie przeciw niemu“... Mamy tu więc dwa dalsze czynniki cywilizacyjne: l e k u ś m i e r z a j ą c y i w y m i a r s p r a w i e d l i w o ś c i.

Daléj opowiada Pandora o spotkaniu się w gaju jéj córki Miry z Arbarem i błaga Prometeusza: „O powiedz, ojcze, co tak silnie — I ją i mnie wstrząsnęło?“... Prometeusz rzuca jéj na to jedno tylko

słowo wyroczne: „Śmierć“. W ustępie tym, zdaniem mojém, Göthe wyrazić chciał myśl, że każdy popęd ziemski nosi w sobie zaród śmierci, że chwila, w któréj „uczucie najosobistsze ogarnia świat nowy“,—głąb' życia przechodzić już zaczyna w stan przeciwny, w stan znicestwienia.

Aktem trzecim i ostatnim tego fragmentu jest szyderczy monolog Prometeusza, nowy szturm do Olimpu. Tytan każe w nim Jowiszowi „powlec niebo kirem chmur, bo musi pozostawić mu ziemię, chatę i ognisko domowe“— a kończy zuchwałém wyzwaniem: „Jestem tu, tworząc ludzi — Na podobieństwo swoje, — Ród razem zemną — Cierpiéć mający i płakać,— Radować się i używać -- I niedbać o ciebie,--Jak ja!“... Po monologu tym raz jeszcze wystąpić miała Minerwa, jako pośredniczka.

Bajka o Prometeuszu, którego Jupiter, za wykradzenie z nieba ognia i udzielenie go ludziom, przykuć kazał do skały na Kaukazie— podobnie jak o puszce Pandory, z ktoréj wylecieć miały na ziemię wszelkie zdrożności — tak powszechnie są znane, że powtarzać ich tu nie ma chyba potrzeby. Göthe jednak w urywku niniejszym, istnym wybuchu wulkanicznym nadmiernéj siły geniuszu, nie wszędzie trzymał się podania. Owszem, jak sam powiada: „starą szatę Tytana przykroił sobie podług własnego wzrostu“ i nadał jéj kształt taki, jaki mu był najdogodniejszy. Ścisłości też rodowodów mitologicznych nikt zapewne w fantazyi takiéj szukać nie będzie. Formę przekładu zastosowałem do oryginału, który jest nierymowany.

Akt piérwszy.

Prometeusz, Merkury.

Prometeusz.

Nie chcę, powiédz im to!
Krótko mówiąc: nie chcę!
Ich wola przeciw mojéj!
Jedno przeciw jednemu,
Sądzę, że walka równa.

Merkury.

Mogęż to rzec Zeusowi,
Ojcu twojemu,
I twojéj matce?

Prometeusz.

Co ojciec! matka!
Czy wiész, skądeś przyszedł?
Stałem, gdym spostrzegł raz piérwszy,
Że nogi moje stają;
Sięgałem, gdym uczuł,
Że ręce me sięgać umieją,
A pilnowali mych kroków
Ci, których zwiesz ojcem, matką.

Merkury.

I nieśli ci
Konieczną pomoc w dzieciństwie.

Prometeusz.

Toć za to mieli posłuszeństwo dziecka,
Kształcili swego potomka
To tak, to owak, według zachceń własnych.

Merkury.

I strzegli cię.

Prometeusz.

Czy przed niebezpieczeństwem,
Przed którém drżeli sami?
Czyż zachowali to serce
Od wężowych zawiści ukąszeń?
Czyż pierś tę zestalili
Do oporu tytanom?
Nie wykował-że mnie na męża
Czas wszechwładny,
Mój pan i wasz?

Merkury.

Niegodny! Tak śmiész mówić
O bogach wiekuistych?

Prometeusz.

O bogach? Jam nie jest bogiem,
A przecież niegorszy-m od nich.
Wiekuistych?... Wszechmocnych?...
Cóż wy możecie?
Możecie-li przestrzeń niezmierną
Nieba i ziemi
Wcisnąć mi w pięść?
Możecie-li mnie oddzielić
Od méj istoty?
Albo téż rozdąć
Do rozmiarów świata?

Merkury.

Los...

Prometeusz.

Uznajesz jego moc?
I ja!...
Idź, nie służę wazalom!
(Merkury odchodzi).

Prometeusz
(zwrócony do swych posągów, rozrzuconych po całym gaju).

Chwilo niepowrotna!...
Z towarzystwa waszego
Wyrwał mnie ten głupiec.
Dzieci moje!...
Cokolwiek pierś waszę porusza,
(zbliżając się do posągu dziewczęcia)
Pierś ta ku mnie ma się wznosić,
Oko przemawia już teraz.
Przemów i ty, luba wargo!
O, gdybym wam mógł dać uczuć
To, czém jesteście!
(Wchodzi Epimeteusz).

Epimeteusz.

Merkury gorzko narzekał...

Prometeusz.

Gdybyś nie podał ucha jego skargom,
To byłby wrócił i bez narzekania.

Epimeteusz.

Bracie, bądź sprawiedliwym!
Życzenie bogów
Tym razem słusznem było.
Chcieli Olimpu kraniec ci przeznaczyć,
Byś tam zamieszkał
I rządził ziemią.

Prometeusz.

I był ich burgrabią,
I bronił ich nieba...
Żądanie moje o wiele słuszniejsze.
Chcą dzielić się ze mną, a mniemam,
Że nie mam czém z nimi się dzielić.
Co *ja* mam, tego zabrać mi nie mogą,
Co *oni* mają, niechaj strzegą sami.
To moje, to ich.
Rozgraniczeniśmy z sobą.

Epimeteusz.

Lecz ileż twego?

Prometeusz.

Krąg, który moja działalność zapełnia.
Ni mniéj, ni więcéj...
Te tam gwiazdy na niebiosach

Jakież mają prawo do mnie,
Że się na mnie tak gapią?

Epimeteusz.

Osamotnionyś w swym uporze,
Nie baczysz jakaby to rozkosz była.
Gdyby bogowie, i ty,
I twoi, i ziemia, i niebo
Wielką się czuły całością.

Prometeusz.

Znam to!
Proszę cię, bracie,
Rób co chcesz, ale mnie zostaw!
(Epimeteusz odchodzi).

Prometeusz.

Tu świat mój, wszystko moje!
Tu czuję się sam sobą!
Tu wszelkie me pragnienia,
W ucieleśnionych kształtach,
Ducha mego tysiąckrotnie
Podzieliły i złączyły
W drogich dzieciach moich.
(Wchodzi Minerwa).

Prometeusz.

Więc ośmielasz się, bogini,
Zejść do wroga ojca swego?

Minerwa.

Czczę twego ojca,
A ciebie kocham,
Prometeuszu!

Prometeusz.

Tyś dla mojego ducha
Tém, czém on sam dla siebie.
Wszak oddawna słowa twoje
Były dla mnie światłem nieba.
Jakby mówił sam ze sobą,
Na ich odgłos duch mój się roztwiérał,
Jakby harmonje,
Wraz z nim zrodzone,
Zabrzmiewały one same z siebie.
Przemawiało ze mnie bóstwo,
Gdym sądził, że sam przemawiam,
A znów gdy bóstwo mówiło,
Mniemałem, że to ja mówię.
I tak z tobą, jakby z sobą,
Ściśle połączony,
Wieczną miłość chowam ci.

Minerwa.

A jam dla ciebie wieczyście obecna.

Prometeusz.

Jak cudny odbłysk
Zaszłego słońca
Napływa tam
Od Kaukazu
I błogością ogarnia mą duszę,
Choć nieobecny, zawsze mi przytomny, —
Tak rozwijały się me siły
Przy oddychaniu niebiańskim eterem.
I jakież prawo
Urościli sobie dumni
Mieszkańcy Olimpu
Do moich sił?
One są moje, moje ich użycie!
Ni kroku odtąd jednego
Dla najstarszego z bogów!

Minerwa.

Tak roić może potężny jedynie.

Prometeusz.

I ja tak roję, bogini,
I jam potężny!...
Dawniéj... czyż nie widywałaś
Dobrowolnym mnie służalcem,
Jak dźwigałem im ciężary,
Które z powagą kładli na me barki?
Czyż nie kończyłem roboty
Jak wyrobnik, na ich rozkaz,
Bom sądził, że widzą
Przeszłość i przyszłość
W teraźniejszości,

Bo ich rozkaz, ich kierunek
Jest piérwobytuą,
Czystą mądrością.

Minerwa.

Służyłeś, żeby godnym być wolności.

Prometeusz.

I za nic nie chciałbym
Pomieniać się z tym ptakiem grzmotonoś-
Co dzierży pana swego grom [nym,
W służalczych szponach.
Czém oni są, czém ja?

Minerwa.

Nienawiść twoja jest niesprawiedliwa.
Wszak bogom trwanie przypadło w udzia-
I mądrość, miłość i potęga. [le,

Prometeusz.

Tak, mają to wszystko,
Lecz nie sami jedni.
Trwam, tak jak oni,
Wszyscyśmy wieczyści!...
Początku swego nie pamiętam,
A kończyć nie mam ochoty
I końca nie widzę.
Jestem wieczysty, bom jest!
A mądrość...
(Oprowadza Minerwę śród posągów).
Spójrz na to czoło!
Czyliż mój palec
Go nie zwypuklił?
A piersi téj potęga
Jak się rwie na spotkanie
Niebezpieczeństwa wszechnapastliwego.
(Zatrzymuje się przed posągiem kobiécym).
A ty, Pandoro,
Naczynie święte wszech darów,
Tak pożądanych
Pod niebem szérokiém,
Na niezmierzonéj ziemicy,
Wszystko to, co mnie krzepiło rozkoszą,
Co w cienia chłodzie błogo mnie koiło,
I promień słońca, czar wiosenny,
I letnia morska fala,
Gdy się miłośnie na pierś moję kładła,
I czyste nieba blaski na mnie zlane,
I spokój duszy, któregom kosztował...
Wszystko to, wszystko
Moja Pandora!

Minerwa.

Zeus ci przyrzekł,
Że tym posągom nada życie,
Jeżeli spełnisz
Jego żądanie.

Prometeusz.

To jedno mi dawało do myślenia.
Lecz miałem być sługą
I uznać, jak wszyscy,
Gromowładnego tam w górze.
Nie!
Choćby tu były spętane
Swoją martwotą,
Jednak są wolne,
Ja wolność ich czuję!

Minerwa.

I będą żyły!
Los, a nie bogi,
Daje życie i odbiéra.
Pójdź, ja powiodę cię do źródła życia,
Którego on przed nami nie zamyka.
Żyć będą przez ciebie!

Prometeusz.

Przez ciebie, bogini moja,
Żyć i czuć się wolnymi!
Ich radość będzie podzięką dla ciebie.

Akt drugi.

Na Olimpie.

Jupiter, Merkury.

Merkury.

Ojcze Jowiszu, zgroza, zdrada stanu!
Minerwa, córa twoja,
Popiera buntownika!
Źródło życia otworzyła mu
I dwór jego z iłu,
Świat jego gliniany
Ożywiła.
Jak my poruszają się wszyscy
I roją się, radują wokół niego,
Jak my wokół ciebie.
O Zeusie, rzuć swoje gromy!

Jupiter.

Istnieją i istnieć będą!
Istnieć mają!
Nad wszystkiém, co się znajduje
Pod niebem szerokiém,
Na niezmierzonéj ziemicy,
Rozciąga się władza moja.
Ten ród robaczy powiększy
Liczbę moich niewolników.
Błogosławieństwo im, jeśli się zdadzą
Na mój kierunek ojcowski;
Biada im, jeśli ramieniowi pana
Staną oporem.

Merkury.

Ojcze wszechłaskawy,
Który przestępcom wybaczasz ich zbro-
Cześć tobie, miłość [dnie,
Ziemi i nieba!
O ześlij mnie, bym zwiastował
Plemieniowi w prochu zrodzonemu
Twoję, ojcze, dobroć i potęgę!

Jupiter.

Nie jeszcze. Oni w młodzieńczém złudze-
Mienią się równymi bogom. [niu
Nie usłuchają cię, aż ich przynagli
Potrzeba. Zostaw im nowe to życie!

Merkury.

Zarówno mądrze, jak łaskawie.

Dolina u stóp Olimpu.

Prometeusz.

Spojrzyj, Zeusie,
Na mój świat: on żyje!
Stworzyłem ich na podobieństwo własne,
Ród sobie równy,
By cierpiał i płakał,
Radował się i używał,
I nie dbał o ciebie,
Jak ja!

(Widać ród ludzki, snujący się po całéj dolinie. Jedni powłazili na drzewa, by zrywać owoce; inni kąpią się lub biegają na wyścigi po łące; dziewczęta rwą kwiaty i splatają wieńce. — Mężczyzna ze ściętemi drzewkami przystępuje do Prometeusza).

Mężczyzna.

Oto są drzewka,
Których żądałeś.

Prometeusz.

Jakim je ściąłeś sposobem?

Mężczyzna.

Tym ostrym kamieniem
Przerznąłem je u korzenia.

Prometeusz.

Więc naprzód precz z gałężmi!
Potém z nich jedno

Wbij tu w grunt twardy,
A nieopodal to drugie;
Połącz je wgórze!...
Daléj dwa inne naprzeciw
Złącz także w poprzek!
Teraz gałęźmi pokryj to do spodu,
Spleć je starannie,
Przetkaj darniną
I więcéj na wierzch włóż gałęzi,
Żeby ni słońce,
Ni deszcz, ni wicher
Do twéj chaty nie wtargnęły.

Mężczyzna.

Dzięki ci, ojcze, dzięki tysiąckrotne!
Lecz powiedz, czy i wszystkim braciom
[moim
Zamieszkać wolno w téj chacie?

Prometeusz.

Nie!
Tyś ją zbudował... jest twoją.
Podzielić ją możesz
Z kim zechcesz.
Kto własną mieć chce, niech sam ją zbu-
[duje.
(Prometeusz odchodzi).

Dwaj mężczyźni.

Pierwszy.

Nie tykaj kozic tych, to moje!

Drugi.

Skąd twoje?

Pierwszy.

Jam wczoraj dniem i nocą
Piął się po górach
I w pocie czoła
Żywcem je pochwyciłem.
Strzegłem ich dotąd,
Zamknąwszy obie
W tém ogrodzeniu.

Drugi.

Więc daj mi jednę!...
I jam téż wczoraj
Złowił kozicę,
Lecz ją upiekłem
Wnet przy ognisku
I zjadłem z braćmi.
Przecież dwóch dzisiaj
Ci nie potrzeba,
A jutro złowimy więcéj.

Pierwszy.

Precz od mych kozic!

Drugi.

Zobaczym!

(Pierwszy broni się, Drugi popycha go na kamienie, zabiera jednę z kozic i ucieka).

Pierwszy.

Gwałt! Biada! Biada!

Prometeusz *(wchodząc).*

Co tu się dzieje?

Mężczyzna.

Skradł mi kozicę!
Krew z mojéj głowy
Ciecze, bo grzmotnął
Mnie o ten kamień.

Prometeusz.

Weź hubki z drzewa
I włóż ją w ranę.

Mężczyzna.

Już, ojcze drogi,
Krew uśmierzona.

Prometeusz.

Idź, umyj twarz!

Mężczyzna.

A koza moja?

Prometeusz.

Mniejsza.
Jeśli dłoń jego przeciw wszystkim będzie,
To i dłoń wszystkich będzie przeciw nie-
[mu.
(*Mężczyzna odchodzi*).

Prometeusz.

Niezwyrodniałe z was potomstwo moje:
Pracowici i gnuśni,
Okrutni i łagodni,
Hojni i skąpi,
Równiście wszyscy zjednoczonym z wami
Zwierzętom i bogom.
(*Wchodzi Pandora*).

Prometeusz.

Czego żądasz, córko moja?
Takeś wzruszona!

Pandora.

Ach, com widziała... mój ojcze!
Com czuła!

Prometeusz.

Mów!

Pandora.

O biédna moja Mira!

Prometeusz.

Cóż jéj się stało?

Pandora.

Uczucia nieokreślone!
Widziałam ją, jak szła do gaju tego,
Gdzieśmy tak często równianki składały.
Zdążyłam za nią
I wnet ze szczytu wzgórza ją spostrze-
Tam w dolinie. [głam,
Osuniętą na murawę.
Szczęściem Arbar był w pobliżu;
Schwycił ją w silne ramiona,
By nie upadła zupełnie;
Lecz ach, i on się pochylił!
Tysiąckrotnie ją całował,
Zawisł na jéj ślicznych ustach,
Jakby ducha swego chciał w nią tchnąć.
Jam przerażona
Nadbiegła wtedy.
Krzyk mój ją ocknął,
Puścił ją Arbar,
A ona wtedy
Omdlała prawie,
Rzuciła mi się na szyję.
Pierś jéj falująca
Jakby zerwać chciała
Więzy szat:
Lica pałają,
Usta żarem płoną
I łzy jéj płyną obficie.
Czułam, że nogi pod nią znów się chwieją
I podtrzymałam ją, ojcze;
Lecz pocałunki jéj namiętne
Tak wrzące, nowe, tak nieznane
Uczucie w krew i moję wlały,
Że pomieszana
Rzuciłam ją i przyszłam tu.
O powiedz, ojcze, co tak silnie
I ją i mnie wstrząsnęło?

Prometeusz.

Śmierć.

Pandora.

Śmierć? Co to znaczy?

Prometeusz.

Córko moja,
Wszak doznawałaś radości niemało.

Pandora.

Tobie ją, ojcze, zawdzięczam.

Prometeusz.

Pandoro, pierś twoja
Ku słońcu wschodzącemu,
Ku księżycowi tętniała;
Pocałunki twych rówieśnic
Szczęściem cię najczystszém upajały.

Pandora.

Niewysłowioném!

Prometeusz.

Co w tańcu ciało twe wznosiło
Lekko nad ziemię?

Pandora.

Radość.
Każdy mój członek, śród igrań i śpiewów,
Poruszał się, drgał,
Tonęłam w melodyi cała.

Prometeusz.

A wszystko to się potém w sen rozpływa,
I ból i radość.
Uczułaś słońca żar,
Pragnienia mękę,
Znużenia ból;
Płakałaś nad zbłąkaną swą owieczką,
A jakeś to jęczała, drżała,
Gdy stopę ci rozranił cierń,
Nim go wyjąłem.

Pandora.

Przeróżne, ojcze, życia są rozkosze
I utrapienia.

Prometeusz.

I czujesz sercem,
Że wiele jeszcze jest radości
I wiele cierpień, których nie znasz dotąd.

Pandora.

Tak, ojcze. Serce tęskni często
Za niczém, a za wszystkiém jednak.

Prometeusz.

Jest chwila, w któréj iszczą się marzenia
Oddawna śnione, spodziéwane,
Wyczekiwane albo straszne...
Tą chwilą śmierć!

Pandora.

Śmierć?

Prometeusz.

Gdy w najtajniejszéj głębi ducha
Wzruszona, wszystko to uczujesz,
Co kiedykolwiek cię przejęło
Radością albo bólem;
Gdy burzą serce twe wstrząśnione
I łzami ulżyć sobie pragnie,
A wzmaga tylko wnętrza żar;
I wszystko w tobie dźwięczy, drga i drży,
I wszystkie zmysły twoje omroczone,
I mniemasz, że już w nicość się rozwié-
I padasz, [wasz,
I wszystko wokół pogrąża się w noc,
A ty uczuciem swém najosobistszém
Ogarniasz świat nowy:...
To śmierć człowieka.

Pandora (*obejmując go*).

Więc umiérajmy, ojcze!

Prometeusz.

Jeszcze nie.

Pandora.

A co po śmierci?

Prometeusz.

Gdy wszystko: żądza, radość, ból...
W burzliwém się rozpłynie używaniu
I ukojone, w śnie rozkosznym legnie,—
Odżyjesz wówczas, wstaniesz odmłodzona,
By znów się trwożyć, mieć nadzieję, pragnąć.

Akt trzeci.

Prometeusz (*w swéj pracowni*).

Powlecz niebo swe, Jowiszu,
Kirem chmur,
Ucz się—nakształt chłopca, który
Ścina osty,
Zmiatać dęby, szczyty skał;
Jednak musisz
Pozostawić ziemię moję,
Moję chatę, którą nie ty
Zbudowałeś,
I ognisko,
Choć zarzewia jego mi zazdrościsz.

Nie znam nic nędzniejszego
Pod słońcem nad was, o bogi!
Żywicie licho
Majestat własny
Z daniny ofiar
I modlitw tchnienia.
Gdyby nie dzieci
I tłum żebraków,
Głupców, co wierzą,
Dotknąłby was brak.

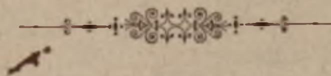
Gdy byłem dzieckiem,
Co począć nie wiedziałem;
Zwracałem oko błędne
Ku słońcu, jakby nad niém
Było ucho, słyszące mą skargę
I serce zdolne
Zlitować się nad strapionym.

Lecz kto mi pomógł
Przeciw tytanów zuchwalstwu?
Kto mnie uchronił
Od niewoli i śmierci?...
Ty tego dokonałoś,
Ty tylko, serce moje
Młodzieńcze, pałające.
Oszukane, słałoś dzięki
Drzémiącemu tam wysoko.

Mam cię czcić? Za co?
Czyś kiedykolwiek ukoił
Boleść smutnego?
Albo łzę otarł
Udręczonemu?
Wszak mężem mnie zrobił
Czas tylko wszechwładny
I Los, pan wieczysty
Zarówno mój, jak twój.
Chciałżeś ty może,
Żebym znienawidził życie,
Chroniąc się w puszczy dlatego,
Że nie wszystkie się moje
Sny na kwiatach ziściły?

Jestem tu, tworząc ludzi
Na podobieństwo swoje,
Ród razem ze mną
Cierpieć mający i płakać,
Radować się i używać,
I nie dbać o ciebie,
Jak ja!

Przełożył *Ludwik Jenike.*





FRANCYA W AFRYCE PÓŁNOCNO-ZACHODNIÉJ.

Było to w r. 1841, gdy kapitan Moltke, późniejszy naczelnik sztabu armii niemieckiéj, zaznaczył przy wzmiance o zajęciu Algeryi, ciągłe niepowodzenie francuskiéj polityki kolonialnéj i wyraził swe życzenie, aby się Francyi ze względów cywilizacyjnych więcéj na przyszłość szczęściło [1]). Obecnie, po latach pięćdziesięciu, słowa dorywczego współpracownika wychodzącéj naówczas w Augsburgu „Allgemeine Zeitung“ powtórzyć można nieledwie bez zastrzeżeń, gdy się na uwagę weźmie skromne znaczenie Francyi w dziedzinie spraw kolonialnych, nie licujące wcale z wydatném stanowiskiem zajmowaném przez nią w zagadnieniach europejskich.

Ileż to się od czasu królewskich rządów niedołężnego Ludwika XV zmieniło w téj mierze na niekorzyść, mimo zewnętrznéj świetności rządów następnych! Jedne stanowiska zamorskie prawie zupełnie stracone, inne znowu zachwiane, a reszta—to coś w rodzaju pięknych, lecz niepewnych nadziei, których urzeczywistnienie dalekiéj zdaje się być poruczoném przyszłości. Jednakowoż wrażenia, odniesione przy przeglądzie pozycyi, straconych od czasów Ludwika XV i wyprawy Napoleona I do Egiptu aż do dni naszych, zrównoważone bywają objawem dodatnim, jakim jest żywsze zajęcie się koloniami u ogółu francuskiego. A chociaż szerokim kołom warstw wykształconych zbywa nieraz na znajomości rzeczy, mimo to zasługą ich pozostanie energiczna inicyatywa, zmuszająca rząd do czujnéj baczności w obronie zaję-

[1]) Artykuł „Deutschland und Palaestina.“ umieszczony w r. 1841 w „Allgemeine Zeitung.“

tych i w zyskaniu nowych stanowisk dla rozszerzenia wpływów handlowych i cywilizacyjnych narodu.

Korzystna zmiana, jaka zaszła wśród światłych umysłów, uwydatniła się niebawem w bogatéj bardzo literaturze fachowéj, któréj część największa i, co do gruntowności, najlepsza, poświęcona jest Afryce. Był to rozwój rzeczy naturalny, wskazany świeżym zwrotem polityki kolonialnéj mocarstw europejskich, skierowanym jawnie ku rozparcelowaniu ogromnych obszarów afrykańskich. Już dla samego zachowania powagi swéj politycznéj w sprawach międzynarodowego znaczenia, nie mogła się rzeczpospolita francuska usunąć od uczestnictwa w podziale Afryki. Tak więc okoliczności zewnętrzne zawiodły Francyą na tory żywszéj działalności kolonialnéj i to w chwili, gdy położenie wewnętrzne mniéj zdaje się sprzyjać podobnym przedsięwzięciom. Najważniejszy bowiem czynnik, wchodzący w rachubę przy kolonizacyi, odpowiedni przyrost ludności, zawodzi we Francyi zupełnie. Przypominamy tylko, że w ostatnim roku obrachunkowym (1890) zagrażający od pewnego czasu niekorzystny bilans ruchu ludności stał się faktem dokonanym. Dwa razy jedynie w naszym wieku wojna krymska wspólnie z cholerą, a następnie wielka wojna z r. 1870/71 sprowadziły na Francyą podobną klęskę zmniejszenia się ludności. Daleko zatém korzystniéj przedstawiałyby się szanse Francyi we współubieganiu się o posiadłości zamorskie, gdyby równie olbrzymim materyałem emigracyjnym rozrządzać mogła jak Niemcy, które krociami wychodźców zarzucają świat cały a mimo to mają wzrastającą stale cyfrę ludności krajowéj.

Warunkami temi tłomaczy się, że Francya poprzestawać musi, pomimo korzystnego położenia niektórych swych posiadłości pod względem zdrowotnym i klimatycznym, na zarządzie ich zaledwie ogólnym politycznym i ekonomicznym. Stąd znowu wynika, że Francya nie wywiera wpływu swego we wszystkich gałęziach publicznego i prywatnego życia swych kolonii i wszelką możliwą swobodę pozostawia rozwojowi ich wewnętrznemu, ich zwyczajom i odrębnościom. Na razie więc panowanie francuskie pięknemi wprawdzie zapisuje się głoskami w kulturze materyalnéj i umysłowéj zdobyczy zamorskich, lecz nigdzie prawie nie przenika do głębi warstw ludności miejscowéj i nie wytwarza téż obecnie nowéj Francyi, jaką stworzyła kolonizacya dawna w Luizianie i Kanadzie. W naszych czasach zadaniem polityki jest wyzyskanie sposobnéj chwili, by otworzyć zbyt wyrobom swego przemysłu i zapewnić zarazem sobie dowóz ważnych surowców i środków spożywczych.

Wśród posiadłości francuskich w Afryce szczególne znaczenie

mają te, które się znajdują w północno-zachodniéj części czarnego lądu, albowiem rozsiadłe w tych stronach na pobrzeżach morskich kolonie francuskie, materyalną dają podstawę do urzeczywistnienia przewagi Francyi nad północno-zachodnią Afryką a równocześnie nad przyległą częścią morza Śródziemnego. W tym kierunku, w usiłowaniach nietylko rządowych lecz i prywatnych uwydatnia się niezaprzeczenie jednolitość celów i zamiarów, która dodatnich rezultatów spodziewać nam się pozwala. Ze stanowisk, zajętych nad brzegiem Śródziemnego morza, zaziera oko francuskie w głąb lądu. Nienasycone, trafia na piaski pustynne, lecz nie daje za wygraną i poza brunatnosiwym pasem Sahary dopatruje się ziem żyznych, płynących mlekiem i miodem.

Kto wié, czy Francya, bez drażniącego jéj nerwy współzawodnictwa Niemiec, tak gorliwie byłaby się zabrała do sprawy afrykańskiéj? Wyprawami niemieckiemi do Afryki otworzył książę Bismarck nową fazę sprawy afrykańskiéj, a gdy następnie do wspólnych przyszło kongresów i układów poszczególnych nad podziałem lądu, Francya, mająca już w swych ręku Algier, Tunis, Senegal i część Kongo, trafnym instynktem odgadła, że najdogodniejszém polem działalności dla niéj będą ziemie sąsiednie lub przyległe owym posiadłościom. Nad wybrzeżem północno-zachodniéj Afryki rozsiadły się wieńcem kolonie rozmaitych państw, okalające ogromną pustynię. W jéj bliskości, w sercu północnéj Afryki i Sudanu mieści się jezioro Czad, o którego posiadaniu Francuzi marzą. Wzdłuż dopływów rzecznych Czadu, którego obszar wyrównywa wielkości Sycylii, rozpościerają się rozległe doliny, mogące chyba z Egiptem co do legendowéj żyzności walczyć o lepsze. Gdyby się powiodło Francyi pousuwać inne mocarstwa z nadbrzeżnego wieńca kolonii i posiąść Czad, wtedyby dopiéro rozrządzała jednolitym kompleksem geograficznym kraju afrykańskiego. Stąd téż niezawodnie nad Czadem rozegra się ostatecznie dramat dziejowy kolonizacyi europejskiéj. Projekty wszakże, zmierzające do nadania temu jezioru charakteru międzynarodowego, zdradzają nam, że już zbyt wielu interesowanych w sprawie spółzawodników poznało się na wyjątkowéj doniosłości nadjeziernych dzielnic, aby stać się mogły niepodzielną jednego państwa własnością. Podobny obrót sprawy niemile musi dotykać zaprzątnięte sprawami kolonialnemi sfery we Francyi, łatwo bowiem pojąć, że jedynie wtenczas Francya będzie mogła na wielką skalę prowadzić politykę kolonialną w Afryce, gdy posiędzie środkowy Sudan i Czad. Wtedy także tytuł własności, przysługujący Francyi do piasków zachodniéj Sahary,

zyska na wartości, gdyż otworzy jéj możność komunikacyi handlowéj i politycznéj na swojém terytoryum.

Dopiéro trzy czynniki razem wzięte: doniosłość ekonomiczna urodzajnéj dzielnicy w sąsiedztwie Czadu położonéj, daléj wysoka kultura Algieru, a nareszcie potrzeby konsumcyi w kraju macierzystym, zrozumiéć nam pozwolą zasadniczą stronę rażącego poniekąd fantastycznością i ogromem swym projektu kolei żelaznéj w poprzek Sahary.

Dotknęliśmy w ten sposób kilku ogólnemi uwagami różnolitych zagadnień, które na północnym zachodzie Afryki czekają rozwiązania przez umiejętną politykę kolonialną rządu francuskiego. Dla koniecznego wypełnienia obrazu, przejdziemy do przeglądu poszczególnych kolonii, stanowiących realną podstawę wspomnianych powyżéj usiłowań i pragnień.

* * *

Postępując wedle porządku geograficznego spotkamy najpierw, na północnym końcu łuku, utworzonego przez nadbrzeżne kolonie francuskie, Tunis. Któżby o nim teraz nie mówił, gdy podtrzymywana przez publicystycznych zwolenników trójprzymierza podejrzliwość zwraca uwagę ogólną na prace fortyfikacyjne około portu „handlowego“ Bizerty. Anglia, złączona z systemem politycznym środkowo-europejskiego trójprzymierza, także z wyraźną niechęcią spogląda na wznoszącą się w Tunisie nową twierdzę wpływów francuskich. Włosi najgłośniéj utyskują na przebiegłość Francuzów i na gwałt biją w gazetach wojskowych, wskazując, że po ukończeniu prac fortyfikacyjnych otworzy się w Bizercie dogodne dla całéj armii schronienie, która w danym razie wyruszyć będzie mogła z portu tunetańskiego o zmroku wieczornym, by z brzaskiem dnia wylądować na przeciwległym brzegu Sycylii. Położenie Bizerty nad zwężonym przejazdem morskim, łączącym część wschodnią morza Śródziemnego z zachodnią, nadzwyczajne przedstawia korzyści. Zajęcie podobnego stanowiska wydaje się jakoby podpatrzeniem znamiennego rysu polityki angielskiéj, która z upodobaniem zajmuje obronne stanowiska na straży wszelkich możliwych cieśnin morskich i przejazdów kuli ziemskiéj. Jest to widok tém nieprzyjemniejszy dla angielskiego oka, że Bizerta wprost zagraża uprzywilejowanemu w owéj stronie stanowisku strategicznemu wyspy Malty.

Przyjrzyjmy się z bliska owéj Bizercie! Szczegółowe mapy francuskie przekonywują nas, że tu miejsce jakby z natury przeznaczone na utworzenie jednego z najlepszych portów świata. Najprzód po-

łożenie geograficzne w miejscu, wysuniętém w morze, ułatwia obserwacyą teatru morskiego, a jednak swoją drogą zabezpiecza od zaczepki ze strony morza. Pochodzi to stąd, że właściwa przystań, którą tworzy jezioro rozległości znacznéj, przystępna jest okrętom jedynie przez kanał naturalny, długości na blisko 10 kilometrów, a zwężony przy ujściu zewnętrzném. Tak jezioro jak i kanał na znacznym obszarze są głębsze aniżeli 10 metrów, zatém więc pod względem przystępności dla ciężkich okrętów wojennych przewyższają niejedną strategicznie ważną cieśninę morską, która wskutek miałkości wody nieprzebytą stawia zaporę pragnącym ją przepłynąć eskadrom wojennym. Nie jest téż bynajmniéj przesadą, gdy Francuzi głoszą, że skoro ręka ludzka dopomoże, tak hojnie przez naturę uposażonemu położeniu przystani bizerckiéj, natenczas cała flota morza Śródziemnego wygodne tu znajdzie schronienie. Łatwo tedy pojąć zaniepokojenie Anglii i Włoch w obec dokonywującego się w ich oczach obwarowania Bizerty, a istoty rzeczy nie zmienia wcale okoliczność, że nadano nowym budowom wodnym miano handlowego portu. We Włoszech tak się przejęto grozą sytuacyi, że w najpoważniejszym organie wojskowym powtórzono klasyczny okrzyk: „*Carthaginem esse delendam*,“ ze względu że zwaliska starożytnego grodu o kilka jeno kilometrów od nowego portu są odległe. Szkoda tylko, że porównanie na niejednym punkcie chroma. Najpierw Bizerta, czyli innemi słowy, stojąca za nią Francya, to egzystencya dziejowa na trwalszéj nieco podstawie zbudowana, aniżeli dawna Kartagina, a powtóre, Włochy zniedołężniałe i leniwe, cudzéj wyglądające pomocy, na śmieszność się narażają, gdy się porównywają ze starożytnym Rzymem, żyjącym z dorobku własnéj pracy, pełnéj zdrowéj energii i rodziméj pomysłowości politycznéj.

Wysunęliśmy Bizertę na plan pierwszy ze względu na wielki rozgłos sprawy; lecz jest jasném, że na niéj nie kończą się trudy i korzyści wynikające dla Francyi z posiadania Tunisu. W rosnącéj bowiem z każdym rokiem proporcyi wzmaga się ruch ekonomiczny i handlowy nowéj kolonii. Jeżeli się nie mylimy w spostrzeżeniach naszych, to sposób w jaki obecnie Francuzi zabierają się do wyzyskania stanowiska swego w Tunisie, racyonalniejszym jest od sposobu przestrzeganego dawniéj w Algierze. Do Algieru bowiem wysyłano, od czasu zajęcia kraju w r. 1830, jako kolonistów, ludzi ekonomicznie słabych, którzy, z trudnemi warunkami swe niedostateczne siły mierząc, zawodu doznawali w swych nadziejach i bez oparcia o zasobne a pokrewne sobie wiarą i językiem żywioły, ginąć musieli wśród fali autochtonów.

Inną zastosowano metodę w Tunisie. Wyzyskania nowéj kolonii podjęły się przedewszystkiém jednostki i towarzystwa zasobne w środki materyalne, dające rękojmią zwycięskiego przetrzymania pierwszych niekorzystnych prób. Dopiéro z czasem, pod ochroną i zasłoną przedsiębiorstw, pod względem ekonomicznym silnie w kolonii zakorzenionych, gromadzą się zwolna grupy średniego stanu przemysłowego i drobnego rolniczego. W związku organicznym z tą przedsiębiorczością budują się nowe drogi komunikacyjne. Jest to dodatnią cechą działalności administracyi francuskiéj, że we wszystkich koloniach z wielką usilnością się stara o torowanie dróg ruchowi ekonomicznemu. Widzimy téż obecnie okazałą jak na początek długość 410 kilometrów kolei żelaznych i przeszło 3,000 kilometrów linii telegraficznych w Tunisie. Dla wywozu zagranicznego główne znaczenie mają produkta przemysłu rolnego, które w r. 1890 wynosiły przeszło 77% wartości ogólnego wywozu. Znany ekonomista francuski, Paweł Leroy-Beaulieu, redaktor tygodnika „L'Economiste français,“ urządza już od lat siedmiu coroczne wycieczki do Tunisu i poświadcza za każdym razem rosnący dobrobyt kraju. Z jego spostrzeżeń dokonanych w roku zeszłym, a ogłaszanych w „Journal des Débats,“ dowiadujemy się o systematycznych zabiegach około podniesienia uprawy wina i drzew oliwnych. Leroy-Beaulieu poruszył także w swych listach tunetańskich wyzyskanie niezmiernie rozległych nieruchomości martwéj ręki, należących do różnych zakładów religijnych i publicznych mohametańskich. Ziemie te nieledwie odłogiem pod obecnym zarządem leżą; zdobyte zatém chociażby za opłatą rocznego czynszu, pod uprawę choćby, podług europejskich pojęć, jak najprymitywniejszą, przynosiłyby nowym panom nieobliczone korzyści.

Ze sprawozdania za rok zeszły, przedstawionego świeżo przez Ribot'a ministra spraw zagranicznych prezydentowi rzeczypospolitéj, przytoczymy kilka ciekawych szczegółów z gospodarczéj statystyki Tunisu. Sprzęt wina wynosił:

w roku 1888	hektolitrów	15,000
„ 1889	„	32,600
„ 1890	„	52,977
„ 1891	„	105,142.

Cyfry podane nie tylko, że wymownie świadczą o postępie ekonomicznym kraju, lecz zarazem ogólniejsze mają znaczenie, gdy zwrócimy uwagę na ogromne zapotrzebowanie wina we Francyi i jéj handlowo-polityczny stosunek do Włoch. Dodajmy, że większa część winnic w Tunisie znajduje się w rękach francuskich.

Celom kolonizacyjnym służy założone w Tunisie towarzystwo pod nazwą *Société pour la colonisation de la Tunisie*, starające się wszelkiemi sposobami o ułatwienie emigracyi francuskiéj do Tunisu. Dotąd liczba wychodźców dochodziła w przecięciu roczném lat ostatnich 1,300 osób. Pominiemy szczegóły o uprawie oliwy, o hodowli bydła; nadmienimy tylko, że uprawa zboża w rażącém przeciwstawieniu do świetnych rezultatów, osiąganych w czasach starożytnych, obecnie wcale się nie opłaca. Pięć ziarn z jęczmienia, a cztéry z pszenicy już uważane bywają jako sprzęt bardzo dobry. Stąd wynika konieczność sprowadzania zboża z zagranicy, gdyż produkcya miejscowa nie starczy na wyżywienie osiadłéj ludności.

Obok ekonomicznych zasługują na uwagę w równéj mierze polityczne korzyści z posiadania Tunisu. Zawładnięcie tym krajem w r. 1881 za ministeryalnych rządów Juliusza Ferry, stało się, według potwierdzanéj z wielu stron wersyi, z cichém pono przyzwoleniem ks. Bismarcka i jest krokiem naturalnym w celu zaokrąglenia posiadłości francuskich w Algierze. Stąd téż łatwo byłoby popsuć można Francuzom sprawę, gdyby we Włoszech więcéj się znalazło energii do zajęcia sąsiedniéj dzielnicy afrykańskiéj, w któréj dotąd nawet wśród ludności europejskiéj żywioł włoski przeważa stanowczo. Stosunki zaludnienia Tunisu także względnie dobrze się przedstawiają, gdyż na jeden kilometr kw. przypada 13 osób w przecięciu, kiedy w Algierze północnym na równą przestrzeń 8 głów tylko się liczy.

Przytykający od wschodu do Tunisu Trypolis nie dorównywa mu co do swéj wartości. Znaczenie Trypolisu polega na tém, że jest terytoryum przechodniem do głębi Afryki centralnéj. Ważniejsze zaś stacye trypolitańskie, znajdujące się na drodze do jeziora Czad, jako to Ghadames i Ghat, dogodne zarówno dla karawan z Tunisu idących na południe, nie zdołałyby się zapewne oprzéć aneksyjnym usiłowaniom Francyi. Jak wiadomo pozostawiono Tunisowi beja z królewską godnością. Francya zastrzegła sobie natomiast układem w Kasr-el-Saïd z 12 maja 1881 i konwencyą z 8 czerwca 1883 „protektorat.“ Obrano tę formę okupacyi dla zachowania rządowi rzeczypospolitéj swobody działania i usunięcia wpływów parlamentarnych, tamujących nieraz działalność szybką a dyskretną. W ten sposób ustrzeżono na przyszłość nową kolonią od niefortunnego losu, jaki zgotowali politycy parlamentarni przewadze francuskiéj w Egipcie. Rządy sprawują się zatém w Tunisie pod firmą beja, lecz wspaniała przepychem królewskim rezydencya agenta francuskiego, dominująca nad stolicą kraju, wskazuje, w czyich to ręku istotna, nie zaś fikcyjna znajduje się władza.

Sąsiedni Tunisowi z zachodu Algier źródłem jest bezustannych ankiet i rozpraw oraz przyczyną ogromnych wydatków budżetowych. Przychodzi na myśl olbrzymia kontrybucya wojenna, zapłacona Niemcom przez Francyą po ostatniéj wojnie, gdy się spojrzy na ogólną sumę nakładów poniesionych przez kasę państwową dla Algieru. W r. 1887 było 43 miliony franków dochodu w budżecie algierskim, a wydatków 120 mil., rozkładających się po 45 mil. na administracyę cywilną, 54 na wojskową i 21 na potrzeby nadzwyczajne. Dopłaciła zatém Francya dla zrównoważenia bilansu w tym jednym roku przeszło 76 milionów. Dopłata w r. 1884 wynosiła przeszło 79, a w 1883 przeszło 86 mil. franków. Administracya zaś od czasów zdobycia w r. 1830 aż do 1887 kosztowała 4,968 mil., z czego 3,660 mil. deficytu pokrytego przez budżet państwa.

A mimo to wszystko, otrzymamy wymijającą odpowiedź na zapytanie, czy téż tak ogromnym ofiarom materyalnym odpowiadają zdobycze moralne francuskiego panowania w umysłach dawnych mieszkańców Algieru. Nie mamy wrażenia, iżby żywioł krajowy więcéj się był obecnie pogodził z obcém panowaniem, aniżeli dawniéj. Dotąd dziewiętnasty korpus armii francuskiéj stoi na straży francuskich interesów i potrzeb. Panowanie więc jest zapewnione, lecz zmusza do ciągłéj czujności. Niewątpliwie kieruje się Francya w obec Algieru względami humanitarnemi, lecz z chwalebném tém stanowiskiem możnaby zapewne pogodzić energiczne przestrzeganie interesów cywilizacyjnych i politycznych. Ludności francuskiéj w Algierze tak drobna jest liczba, że ginie jak kropla w morzu. Główny przytém kontyngens wśród osiadłych w Algierze obywateli francuskich stanowią żydzi, którzy wedle wcale niepodejrzanych co do prawdziwości swéj świadectw, lichwą się trudniąc, dyskredytują rządy francuskie.

W obec wielkich nakładów rządu jasném jest, że Algier ekonomicznie w ostatnich latach sześćdziesięciu podnieść się musiał i że mnóstwo kapitałów do kraju wpłynęło. Wyrazem postępu materyalnego jest rozległa na 2,800 kilometrów sieć kolei żelaznych. Przypuścić téż można, że właśnie owa względnie do afrykańskich stosunków ogromna siła ekonomiczna Algieru stanie się tą elementarną, przenikającą wszystko potęgą, która ogarnie marokańską spuściznę, pogrążoną dotąd w marazmie lenistwa i niegospodarności.

Przechodzimy z kolei do „cesarstwa“ marokańskiego, które, jakkolwiek kolonią francuską nie jest i dotąd najsilniejszą na zachodzie Afryki przedstawia twierdzę mahometańskiego fanatyzmu i światowładnych uroszczeń, to jednak z lada dniem zniknąć może z pocztu niezależnych samodzielnych państw świata. Zastosować do niego

można słowo powtarzane o potędze bisurmańskiéj w Europie, że utrzymuje ją zakłopotanie i bezradność interesowanych jéj losem mocarstw, które nie są zgodne co do tego, jakby najlepiéj spuściznę podzielić.

„Chory człowiek“ nad cieśniną Gibraltaru, również nie może doczekać się śmierci, bo raz Hiszpania i-Niemcy, drugi raz znowu Anglia cucą krzepnące jego żywotności siły i budzą go widmem aneksyi francuskiéj. A jak słabe są umysłowe władze dyplomatów marokańskich, dowodem chyba pretensya do położonéj na południu od Algieru oazy Tuat, która temi czasy rozgłos zyskała niemały w prasie politycznéj. Według świeżéj teoryi „*Hinterland*'u,“ zastrzegającéj posiadaczom wybrzeży morskich prawo do ziem leżących poza niemi w głębi lądu, minister Ribot oświadczył w imieniu rządu na pretensye marokańskie, że sprawę przynależności oazy Tuat uważa nie za międzynarodową, lecz za wewnętrzną, dotyczącą się jedynie Francyi, a specyalnie Algieru.

Znaczenie téż sułtanatu Marokańskiego nie polega wcale na posiadaniu odległéj oazy saharyjskiéj, na którą mu niechętna Francyi dyplomacya oczy zwróciła, lecz jedynie na tém, że zajmuje cały południowy brzeg cieśniny Gibraltarskiéj, na wyjeździe z oceanu do morza Śródziemnego. Maroko zapowiada się drugim być na zachodzie Afryki Egiptem, t. j. kością niezgody między Francyą i Anglią, która szczególniéj pragnie opanowaniem Tangeru, położonego na marokańskim brzegu cieśniny, ująć jakoby w kleszcze ze stron obu przejazd z Atlantyku. Resztę sułtanatu natomiast gotowa Anglia po krótkim targu ustąpić obcemu, byle tylko bezsilnemu i słabemu państwu. Jestto fortel bardzo dogodny, aby odwrócić uwagę od swéj chciwości, a mimo to zapewnić sobie na przyszłość możność rozszerzania swych niezaspokojonych nigdy pożądań. Francya zatém zgoła nie odpowiada kwalifikacyom, wymaganym przez Anglię u przyszłego posiadacza dzielnicy marokańskiéj. Rząd francuski w razie zajęcia Maroka jużby wcale pochopnym nie był do ustąpienia południowego wybrzeża cieśniny, a nawet w razie zrzeczenia się Tangeru, nie przestawałby nigdy zagrażać osiadłym w téj twierdzy Anglikom i przy nadarzającéj się sposobności nie omieszkałby ich usunąć z tyle ważnego stanowiska.

Posuwając się nad oceanem w kierunku południowym trafimy na kolonią francuską Senegambią, położoną nad ujściem rz. Senegalu. Ludności osiadłéj policzono w r. 1889 ogółem blisko 150 tysięcy głów. W ostatnich jednak latach podniosła się znacznie wartość ekonomiczna téj dawnéj kolonii. Nad górnym Senegalem pobudowano

kolej żelazną, choć tylko na krótką przestrzeń; utorowano od końca linii kolejowéj aż do górnego Nigru drogę handlową i uzyskano w ten sposób połączenie z tą najważniejszą arteryą komunikacyjną zachodniego Sudanu. Nie lękając się ani trudów, ani niezwykłych kosztów, przeniesiono drogą lądową z nad Senegalu statek parowy, by go złożyć i puścić na wody Nigru dla podniesienia wpływów francuskich w tych okolicach.

Utorowanie téj drogi podziałało jakby rozbicie tamy, stawiającéj zaporę handlowemu ruchowi na zewnętrznych krawędziach zachodniéj Sahary. Spostrzeżono, że towary odpływać teraz nagle poczęły w kierunku do Senegalu. Nawet te, które poprzednio obierały drogę wodną dolnego Nigru do morza, również się w tę stronę zwróciły. Zanosiło się więc na rozwinięcie nader umiejętnéj polityki kolonialnéj, nie ryzykującéj się na żadne eksperymenta kosztowne, lecz zapewniającéj rozwój prawidłowy. Posuwając się od ostatnich straży francuskich w dół korytem Nigru, można było dotrzéć do serca Sudanu, opanować go traktatami z sułtanami miejscowymi i stanąć w sąsiedztwie żyznego pobrzeża Czadu.

Jednakże przebiegłość Anglików inny bieg sprawie obmyśliła. Utworzyły się towarzystwa dla wyzyskania handlu na Nigrze, które się następnie zlały w ową sławną *Royal Niger Company* i poddały się pod opiekę rządu angielskiego. Gabinet londyński przyznawszy nowemu towarzystwu monopol handlu na Nigrze, zatarasował Francuzom drogę do dolnego Nigru, a tém samém, z naciskiem zaznaczyć trzeba, i żeglugę na pobocznéj tegoż rzece Benue, która spławna na jakie 600 kilometrów w górę wody, przedstawia komunikacyą względnie dogodną aż na 300 do 400 tylko kilom. odległości od nęcącego oczy francuskie zwierciadła wody jeziora czadzkiego.

Na konferencyi afrykańskiéj w Berlinie w 1885 ogłoszono żeglugę na Nigrze za wolną [1]). Lecz przepis ten podniesiony urzędownie do prawnego znaczenia aktu międzynarodowego, niezdaje się zgoła obowiązywać kupców angielskich, wprawnych w rabulistycznéj logice. Mimo słów wyraźnych art. 26 do 33 gener. aktu zawartego na konferencyi berlińskiéj, powołuje się *Royal Niger Company* na jednostronny przywilej rządu angielskiego, nadający jéj polityczne zwierzchnictwo nad szerokim pasem ziemi po obu brzegach Nigru. Gdy się więc ukaże na wodzie Nigru cudzy okręt, otacza go eskorta strażników kom-

---

[1]) Rozdział 5 aktu generalnego konferencyi berl. z 26 lutego 1885, w art. 26 orzeka: „Żegluga na Nigrze... ma dla okrętów handlowych wszelkich narodów... być i pozostać zupełnie wolna, tak dla towarów, jak dla podróżników".

panii i nie pozwala mu, z powodu, że brzeg jest wyłączną towarzystwa własnością, nigdzie przystanąć przy brzegu, nigdzie zaczerpnąć żywności i napojów. Że taka swoboda żeglugi jest złudzeniem nie potrzeba objaśniać. Podróżujący czy to w celach naukowych czy kupieckich, zawieszeni są w czasie żeglugi na Nigrze jakoby pomiędzy niebem a ziemią. Zdarza się, że śmielszéj natury podróżnik odważy się nie wypełniać życzeń agentów kompanii. Lecz i na to jest sposób. Wysyła się w takim razie naprzód łódź dla przygotowania nadbrzeżnych szczepów rozdawaniem poczęstunku alkoholicznego do godnego przyjęcia nieproszonych gości. Zdarzyło się to wyprawie niemieckiéj pod kierownictwem Flegla na rzece Benue.

Panowanie Anglików na Nigrze polega też w istocie nie tyle na potędze ich rzeczywistéj, usadowionéj na dorzeczu, co na szykanowaniu obcych przedsiębiorców i bezwzględnéj czelności nieprawdziwych twierdzeń, z jaką rząd angielski i kompania występują w obec rządów postronnych. W razie zatargów mają Anglicy pod ręką mapy i twierdzenia, zakreślające niezwykłe granice swym wpływom. Fantazyi też bynajmniéj nie tracą, gdy im dyplomacya obca fałsz wykaże, jak to uczynił Bismarck w aktach „białéj księgi," złożonéj 18 listopada 1889 parlamentowi niemieckiemu. Zatrzymamy się na chwilę, by scharakteryzować niezwykłą nawet w dyplomatycznych kołach *sui generis* „śmiałość" Anglików, która się w ostatnich latach znowu dała Francyi we znaki. Rządowi niemieckiemu wydały się pretensye kompanii zbyt wygórowanemi, zażądał więc z powodu skarg pewnéj firmy hamburskiéj wyjaśnień z Londynu. W odpowiedzi na zapytanie Niemiec przedłożył w styczniu 1888 r. pan Malet, ambasador angielski w Berlinie mapę posiadłości angielskich, względnie kompanii. Ze zdumieniem oglądaliśmy jéj urzędową reprodukcyą. Cały centralny i zachodni Sudan z dorzeczami Nigru i Benue przedstawiony jako ziemia przynależna Anglii, na zachodzie ku Senegalii granice jakby iść miały w nieskończoność. Ucięty jedynie z téj strony brzeg mapy przeszkadza nakreśleniu całéj angielskiéj potęgi. Kanclerz niemiecki, po odebraniu tych mapograficznych dowodów, wysłał Puttkammera, komisarza cesarskiego w Togo, do państwa Nupe, leżącego nad dolnym Nigrem, by stwierdził, czy choćby to państwo poddane jest Anglikom.

Rezultat téj wyprawy, zawarty w sprawozdaniu z 15 maja 1889, stanowczo kłam zadał angielskim mapom i notom. Za bytności swéj w Nupe przekonał się wysłannik niemiecki w osobistéj rozmowie z sultanem, że o zależności jakiejkolwiek kraju tego od Anglii nawet mowy być nie może i stwierdził, że już poniżéj ujścia rzeki Benue do Nigru ustają wpływy kompanii angielskiéj.

Gdy zatém przystąpiono do układów Anglii z Francyą, która towarzystw swych handlowych, istniejących na Nigrze, nie popierała dostatecznie, tak, że pozamykać musiały swe kantory, utrzymywano ze strony angielskiéj, jakoby nietylko cały nieomal Niger poddany był kompanii, lecz tak samo i wszystkie przyległe kraje, przedstawiające jakąś wartość, nawet takie, o których notoryczną mamy wiadomość, że noga w nich europejska aż do dnia dzisiejszego nie postała. Anglia, która tak chciwie zachwytuje rękoma po wszystkich punktach afrykańskiego kontynentu, ten ma widocznie cel na oku, że zastrzega sobie dla najdalszéj przyszłości tytuły prawne do wypełnienia kiedyś istotnego zwierzchnictwa. Na razie jednak dyplomacya angielska zmyślonemi faktami i twierdzeniami powstrzymuje od spełnienia zadania potęgę inną, którąby o wiele szybciéj, i bez wątpienia o wiele humanitarniéj mogła mu podołać. Układ z 5 sierpnia 1890 r., zawarty między Francyą i Anglią, dzięki kunktatorskiéj rozwadze czy téż geograficznéj naiwności Ribota, przyniósł Francyi niepomierną szkodę, a co więcéj, jako przyjęty jednostronnie bez udziału innych mocarstw, obowiązuje i krępuje jedynie działalność francuską, a toruje drogi przedsiębiorczości angielskiéj.

Zdaje się więc, jakoby dolny i środkowy Niger już na zawsze miał być Francuzom zamknięty. Szkoda tém większa, gdy się zważy, że panowanie francuskie w tych stronach Afryki byłoby organicznem dopełnieniem zakładów militarnych i handlowych Francyi nad Senegalem, górnym Nigrem i w Kongo.

Pewną kompensatę przyniosła Francyi wyprawa naukowo-polityczna kapitana Bingera. Jeżeli się niepowiodło połączenie Senegalu drogą wodną z sercem Sudanu i morzem, to kapitan Binger połączył przynajmniéj Senegambią z posiadłościami francuskiemi Złotego Brzegu, położonemi nad zatoką gwinejską. Nieprzerwaném więc pasmem od ujścia Senegalu, aż do górnego Nigru, a stamtąd w południowym kierunku, aż do zatoki gwinejskiéj ciągnie się odtąd terytoryum francuskie. Jest to zdobycz skromna, jakkolwiek prawdomówny zresztą Binger w swém okazałém dwutomowém dziele jéj wartość przecenia. Znaczenie jéj polega właśnie w połączeniu rozdzielonych dotąd posiadłości francuskich w jedną całość. Pozostaje jednak i nadal niedogodność, że środkowe geograficzne wypełnienie pozyskanego dla Francyi terytoryalnego łuku, na rozmaite się rozpada tytuły własności, jako to Anglii, Portugalii i rzeczypospolitéj Liberyi.

Po tém, cośmy powiedzieli o dyplomacyi angielskiéj z okazyi „*Royal Niger Company*“, nie zadziwi nas, że w ślad za okazaniem się pomyślnych rezultatów wyprawy Bingera, pojawiły się znowu pre-

tensye angielskie, kwestyonujące nowe zdobycze francuskie. Tak to na każdym punkcie uczuwać się daje Francyi tamujący wpływ dyplomacyi angielskiéj. Gdy te słowa piszemy, znajduje się kapitan Binger na nowéj wyprawie afrykańskiéj, lecz już nie pioniersko-zdobywczéj, tylko dyplomatycznéj, by się na miejscu śmiałych swych przepraw układać z komisarzami angielskimi o linię graniczną pozyskanych przez się dla Francyi dzielnic z ich strony wschodniéj.

Było niezawodnie jednym z pomysłów kapitana Bingera, ażeby w analogii do połączenia Senegalu ze Złotym Brzegiem stworzyć dalszy terytoryalny związek drugim łukiem między Złotym Brzegiem a kolonią Grand Popo, sąsiadującą z sułtanatem Dahome. W ten sposób odciętoby także, wbrew teoryi *Hinterlandu*, obie nad brzegiem morza, wewnątrz owego łuku położone kolonie, od rozszerzania się w głąb kontynentu, ku górnemu Nigrowi.

Z wypraw do jeziora Czad, podjętych od strony francuskiego Kongo, zeszłoroczna pod wodzą Crampela smutny wzięła koniec. Wprawdzie nie ma dotąd zupełnéj pewności co do śmierci młodego podróżnika, lecz pozostaje pewność niepowodzenia. Dybowski ma jego dzieło dokończyć; najnowsze o nim wieści podają, że zbadał dorzecze Ubangi, dopływu rzeki Kongo z prawéj strony, i przekonał się, iż Ubangi znacznie daléj sięga na północ ku jezioru Czad, aniżeli to dotychczas mapy geograficzne zwykle wskazują. Na większą jeszcze uwagę zasługuje wyprawa przygotowana przez generalnego komisarza Konga, pana de Brazza. Co do jéj szczegółów panuje tajemnica, konieczna zapewne ze względów na rywalizacyę niemiecką i angielską. Niemiecka wydaje się na razie mniéj groźną, albowiem przyległe posiadłości kameruńskie w ciągłém znajdują się zaburzeniu. Zarazem wobec klęsk świéżo poniesionych, że tylko wspomnimy o śmierci i porażce dzielnego Gravenreutha, Kamerun niemiecki nie daje podstawy dostatecznéj do wykonania tak wielkiego planu politycznego, jakim jest opanowanie rozległéj i zaludnionéj doliny Czadu. Jola, miejscowość położona nad górnym Benue, gdzie się styka terytoryum niemieckie z angielskiém, tylko około 400 kil. odległa jest od Czadu; jeżeli więc ze stanowisk tak bliskich niełatwo jest zapuścić się do jeziora, o ileż trudniéj to będzie podróżnikom francuskim, wyruszającym z Kongo, którym poczwórną wypadnie przebyć przestrzeń nietkniętą dotąd z téj strony przez Europejczyka, zanim staną u celu.

Odzywają się więc głosy, aby, ze względu na trudną dostępność kraju między francuskiém Kongo a jeziorem Czad, obrać inną drogę dla wyprawy, a mianowicie rzekę Niger, następnie lewy jéj dopływ

Benue w górę, aż do kresu spławności, a stąd najkrótszą drogą do Czadu. Oczywiście za planem opisanym oświadczyć się mogą jedynie ci, co gotowi pominąć wprost i nie uznać uroszczeń wygórowanych angielskiéj *Niger Company*. Lecz wysłannik niemiecki Puttkammer dał pierwszy z powodzeniem przykład, że można sobie lekceważyć kupców angielskich. Możeby się próba powiodła, w każdym jednak razie dokonaćby się musiała bez wiedzy i woli Ribota lub jego ewentualnego następcy!

Na przypadek udania się wyprawy, Francya powinna postarać się o utrzymanie przewagi swéj, jeżeli nie wyłącznéj władzy w tych stronach. Wtedy dopiéro projekt kolei transsaharyjskiéj, roztrząsany dotąd i omawiany teoretycznie, dojrzeje do wykonania praktycznego.

* * *

Niewątpliwie przenikła i do naszéj publiczności sprawa pobudowania kolei żelaznéj w poprzek Sahary. Istnieje o niéj cała obszerna literatura, nietylko dorywcza, w ulotnych wyrażająca się pisemkach, lecz i w dziełach poważnych objętością i treścią, drukowanych już to we Francyi, już w Algierze. Sprawa kolei jest bardzo żywotną dla Algieru i Tunisu; w tę bowiem stronę skierowałby się cały ruch wywozowy środkowéj Afryki w razie utorowania mu drogi. Nie ma téż wątpliwości, że najdotkliwszy wtedyby poniosła uszczerbek w swych dochodach angielska *Niger Company*.

Zawzięta wytoczyła się już walka na argumenty między ważniejszemi miastami Algieru, by wykazać, że całe powodzenie wielkiego projektu komunikacyjnego zależéć będzie absolutnie od tego, czy koléj saharyjska dotrze do morza w Oranie, Algierze, Philippeville lub Bonie. Niestety problem budowy drogi tak trudny jest do rozwiązania, że w ostatniéj chyba dopiéro instancyi w rachubę przyjdą życzenia i potrzeby ojców miast wymienionych. Konstrukcya kolei, w warunkach podobnie wyjątkowych, tak pod względem geologicznym, klimatycznym, jak i etnologicznym, w zdumienie wprawia na pierwszy rzut oka. Przykład budowy kolei zakaspijskiéj przez okolicę częściowo pustynną i piaszczystą, wykonany przez wielce popularnego we Francyi generała Annenkowa, dodał otuchy zwolennikom projektu. Zabrano się szczerze do prac wywiadowczych, by wyznaczyć linią, po któréj relsy mają być położone, by obliczyć koszta budowy. Mimo to ogromna jeszcze przestrzeń toru pozostała niezbadana i wisi abstrakcyjnie w powietrznéj linii atlasów geograficznych. Jakże więc tu zabrać się do dzieła, gdy brak dotąd dla całéj połu-

dniowéj części toru kolejowego najważniejszych prac przygotowawczych?

Niedosyć na tém, podnoszą się głosy, przemawiające ze względu na posiadłości nad Senegalem i Nigrem, za skierowaniem kolei transsaharyjskiéj do Timbuktu, miejscowości ze świetną zapewne przeszłością, lecz obecnie upadłéj, wśród okolicy doszczętnie wyniszczonéj przez najazdy rozbójników pustyni. Tu więc znowu projekt zmierzający do połączączenia Algieru, a zatém i Francyi z sercem Afryki i ziemią obiecaną nad Czadem, psowany jest wysunięciem owego drugiego projektu. Stąd powstaje w abstrakcyjnéj sferze życzeń i projektów kompromis: na danie linii Algier—Czad, już i tak nadzwyczaj długiéj, wygięcia odpowiedniego w kierunku zachodnim, aby połączenie z Timbuktu łatwem się dało do wykonania. Lecz, że wskutek warunków geologicznych pustyni trzymać się wypada z konieczną ścisłością nielicznych dłuższych linii, ciągnących się wzdłuż mniéj zapuszczonych dolin, więc zupełnie zbywa na możności przeskakiwania z jednego kierunku w drugi.

Nie można Francuzom odmówić wielkiego stylu w spełnianiu ogólnych zadań cywilizacyjnych wobec plemion i stosunków dzikich lub prymitywnych. Plan kolei pustynnéj także z tego punktu rozważany być winien, nie zaś wyłącznie ze stanowiska interesów francuskich. Widoczną jest w nim ambicya wykonania olbrzymiego dzieła cywilizacyjnego, które wprawić ma ludzkość w zdumienie.

Zachodzi wszakże pytanie, czy ambicye i pragnienia nie przeminą bezowocnie, gdy zabraknie podstawy realnéj, jaką jest systematycznie i wytrwale przeprowadzona kolonizacya Afryki północno-zachodniéj. Zadanie to niełatwe do spełnienia w chwili, gdy Francya wewnątrz zagrożona wyludnieniem, wytęża kurczowo wszystkie swe siły, by stać na wyżynie ogólnéj sytuacyi europejskiéj. Rozerwana w ten sposób w podwójnym kierunku uwaga sterników nawy państwowéj, wychodzi oczywiście na szkodę sprawy odleglejszéj i mniéj naglącéj, jaką jest kolonizacya Afryki.

Jednakże po za zakresem wielkich zagadnień naprężonéj polityki europejskiéj, dążności kolonizacyjne w Afryce północno-zachodniéj pierwszoszędne mają znaczenie i wyjątkową dla Francyi doniosłość. Albowiem ziemie jéj wpływom przekazane, w możliwie najbliższém znajdują się sąsiedztwie odwiecznych siedzib narodu. Wymiana ekonomiczna między Francyą a Algierem i Tunisem jest bardzo znaczna; wzmaga się z rokiem każdym i zachowuje, co podnieść trzeba, charakter wyłączności politycznéj. Przytoczymy dla przykładu, co do Algieru, że w cyfrze wartości wywozu z roku 1889, wy-

noszącéj 229 milionów franków, przeszło 200 milionów zajmuje pozycya importu do Francyi; wartość zaś wywozu z Algieru do Włoch tak jest drobna, że równa się cyfrze wywozu do Rosyi! Tak to ruch handlowy francuski ominąć umiał bliski półwysep włoski. A jeżeliby się kiedyś powiodło Francyi z wyprawą do Czadu i z wynalezieniem ułatwionéj komunikacyi z owéj nadzwyczaj bogatéj z uprawy roli i chowu bydła okolicy, doczekalibyśmy się niewątpliwie niebywałego ożywienia przedsiębiorczości francuskiéj. Anglia i Niemcy, mając odległe od kraju macierzystego kolonie, nigdy do równie intensywnego wyzyskania kolonii swych nie będą miały pola, co Francya w Afryce.

Jeżeli wolno zadać sobie pytanie o rozwój rzeczy w przyszłości, to niezawodnie rozwój w początkowém swém stadyum cechy ekonomicznéj, przybierze z czasem charakter i znaczenie ważnego czynnika politycznego. Marzenia napoleońskie o morzu Śródziemném dla Francyi, o zrobieniu go wewnętrzném morzem francuskiém gotoweby się natenczas, ze wzmocnieniem stanowiska w północnéj Afryce, urzeczywistnić. Lecz poprzednio spełnić się musi upadek polityczny dwu potęg: Anglii i Włoch. Z zyskanéj na morzu Śródziemném przewagi wynikłoby też dla Francyi zgoła odmienne od dzisiejszego potężne stanowisko w Europie.

Mimo wszystko jednak, przewaga Francyi na południu Europy byłaby tylko częściowém powetowaniem strat, poniesionych przez nieoględną politykę kolonialną lat dawniejszych. Jeszcze w wieku XVIII można było przepowiadać Francyi panowanie nad Ameryką. Dziś ze wszystkiego drobne tylko pozostały strzępy. Obecnie wszystkie posiadłości zamorskie Francyi równają się obszarem jednéj czwartéj części Europy. Wyprzedziła Francyę Rosya, panując nad jedną szóstą wszystkich kontynentów, wyprzedziła ją Anglia, zajmując obszar większy niż podwójny Europy, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych Ameryki i o Brazylii, które obszarem Europie niemal dorównywują.

Hamburg, w marcu 1892.

Dr. Antoni Winnicki.





ROZDŹWIĘK.

OBRAZEK.

I.

Lampa wisząca oświeca wnętrze obszernego pokoju.

Pomimo fałszowanéj nafty, nie najnowszéj konstrukcyi, spełnia ona zadawalająco swoje zadanie: świeci o wiele dokładniéj i sumienniéj, niż niejedna instytucya naukowa wielce poważna i ważnością swoją głęboko przejęta, która, zamiast promieniować światłem czystém — kopci i dymi, fałszuje jasność prawdy tendencyjnemi odcieniami, przygasza ją kapturkiem koteryi lub interesu.

Lampa, o któréj mówimy, spełnia sumiennie swoje zadanie: oświeca osoby, otaczające stół okrągły, odbija się w czystych szybach okien, lśni na politurze mebli i woskowanéj podłodze. Oko, wspomagane jéj promieniem, ciekawie rozgląda się dokoła; za okiem podąża obserwacya: zestawia, porównywa, snuje wnioski. Otóż, niedyskretne to światło wykazuje najpierw w amfiladzie kilka pokoi niknących w ciemności,— co dowodzi, że jesteśmy w jednem z mieszkań oficynowych, które, będąc przytułkiem mniéj zamożnych, darzą ich dobrodziejstwem widoków i zapachów podwórka, co jedno z drugiém nie należy do rozkoszy życia warszawskiego. Daléj, zdradza ono średnią zamożność mieszkańców, a każe się domyślać, że nie zawsze zajmowali skromne mieszkanko w oficynie, bo w potokach światła, które przepuszcza klosz czysty, równo i starannie założony na płomień, oko ciekawe widzi piękne, rzeźbione meble jadalni, szafę dębową z książkami i takież biurko. Zapuszczając się wgłąb i posiłkując się ponsową gwiazdą lampki, zapalonéj przed świętym obrazem, podziwiamy czy-

stość wykwintną małéj sypialni, gładko zasłane łóżka, tualetę i klęcznik; daléj—daléj—ciekawości naszéj przychodzi z pomocą współczujący równie ciekawy księżyc. Bladém okiem zagląda w okna, a przedostając się przez zawady dachów i kominów na zewnątrz, a koronkowych firanek i koszów kwiatowych wewnątrz — fantastycznie oświeca bogate palisandrowe meble, takiż fortepian, piękne ryciny i kwieciste ozdoby dużéj bawialni. Gdybyśmy, minąwszy z powrotem kuchenkę, zatrzymali się w sionce, rozdzielającéj dwa mieszkania, usłyszelibyśmy niechybnie po za sąsiedniemi drzwiami stłumione mruczenie, skrzyp pióra, szelest przewracanych kartek, które to odgłosy najmniéj domyślnemu oznajmiłyby lepiéj, niż karta anonsowa — mieszkanie studenta. Tu, kończąc nasz przegląd — wracamy do jadalnego pokoju.

Przy okrągłym stole, pod światłem lampy, zgromadzona rodzina. Ojciec, poważny i piękny mężczyzna, przeszło 50-cioletni, z siwiejącą brodą i odkrytém, myślącém czołem — zatopiony w czytanéj gazecie; na zwiędłéj twarzy matki, choroba wycisnęła swoje piętno; żywe, ogniste czarne oczy, które niegdyś musiały iskrzyć pustotą, palić namiętném spojrzeniem, dziś, łzami lub bezsennemi nocami przygaszone, chwilowo tylko gorętszym świecą blaskiem, gdy spoczną na postaci męża, lub świeżych twarzyczkach dzieci. Obok niéj — młodziutkie dziewczę, pączek, co ledwo przez zielone osłonki zapowiada o barwach i powabach rozwiniętego kwiatu. Drobną, delikatnych rysów twarzyczkę, otacza bogactwo lnianych włosów; korona warkoczy zdobi dziewicze czoło, pod którém dziwną sprzecznością płoną szeroko rozwarte, ciemne, ciekawe oczy. Różowe usteczka maleńkie, rozchylające się w uśmiechu nad drobnemi ząbkami, jasna płeć białéj róży, niezabarwionéj jeszcze słońcem, ni uczuciem, wzrost wysoki, kibić szczupła lecz zręczna, zapowiadają w przyszłości jednę z tych istot powabnych, co nęci raczéj wdziękiem polnego kwiatu, niż zadziwia świetnemi barwy cieplarnianéj rośliny. Dwóch chłopców od 6-ciu do 8-miu lat dopełnia rodzinnego grona.

Flanelowy szlafroczek pani domu, barankami siwemi ubrany kaftanik panienki, sukienne bluzy chłopców, skombinowane ze szczelnie zaklejonemi oknami, wskazują, że to zima — ta zima, w czasie któréj przyroda zamiéra, biéda uciśniona ledwo dyszy, średnia zamożność z trudem wegetuje, a tylko szczyty bogate żyją w całéj pełni, ruszają się, bawią, oddychają swobodnie w atmosferze ogrzanéj wszechpotężnemi błyskami złota.

Chłopcy ostrożnie wycinają podklejone na tekturze papiérowe drzewa i figurki i zcicha szepcząc między sobą, spoglądają ciekawie

na zajęcie matki i siostry. Obie kobiéty wybierają z dużego kosza jaskrawe płatki, błyskają igłami, dzwonią nożyczkami, a zręczne palce szybko i zwinnie ubiérają... lalki.

Czas jakiś trwało milczenie, bo chłopcy z wytężoną uwagą, patrząc na ręce siostry, nawet szeptać zaprzestali; aż nagle dwa radosne okrzyki rozległy się wesoło w ciszy pokoju. Uśmiechnięta dziewczyna prezentowała ponad stołem wykończone arcydzieło: piękną, iskrzącą blaszkami i szychem krakowiankę. Nawet poważny ojciec oderwał oczy od gazety i uśmiechnął się pobłażliwie, widząc rozradowaną twarzyczkę dziewczęcia, nawet matki twarz cierpiąca rozjaśniła się odbiciem téj niewinnéj uciechy dzieci.

— Udała się Helence krakowianka—pochwalił ojciec.—Jak widzę, szopka postępuje nie żartem.

— Postępuje, tateczku—z radością mówiła dziewczynka.—Mam kominiarza, druciarza, żydówkę i żyda. Mama już dla krakowiaka buty z ceraty szyje, a jutro będziemy ubiérać króla Heroda.

— A djabeł, Helenko, i śmierć—jak ty ich zrobisz?—pytają ciekawi chłopcy.

— Poproście Janka, może on gdzie śmierć kupi, aby tanio, — szepnęła, spoglądając na ojca.—Djabła to i ja potrafię zrobić.

— Ty zrobisz djabła? — wołają dzieci, wytrzeszczając zadziwione oczy.

— A zrobię, — rezolutnie zapewnia dziewczynka — zobaczycie, jaki elegancki i ładny będzie djabeł.

— Ale to, Helu, musi być djabeł straszny, jak prawdziwy.

— A gdzieżeś go widział? — pyta siostra.

— O! albo raz—w szopce, w książce na obrazku...

— Będzie jak prawdziwy — i straszny i piękny, bo takie muszą być djabły — prawda, mateczko?

— Djabeł, dziecko drogie, to uosobienie zła, a więc pięknym być nie powinien.

— A jednak, mamo, toż to anioł upadły — więc zdaje mi się, że urodę miéć może...

— Bywają, córeczko, urodziwe djabły między ludźmi i nie daj ci Boże spotkać ich na twojéj drodze—wtrącił ojciec.

— Dlaczego, tateczku? — pyta dziewczyna. — Przeczułabym ja djabła pod każdą szatą, poznałabym w najpiękniejszéj twarzy.

— Czy, tatku, i tym djabłom, co po świecie chodzą, buchają płomienie z ust i z oczu, a siarkę i dym czuć od nich—pytają chłopcy.

— Buchają płomienie z oczów, płomienie złych namiętności, płynie jad palący, choć słodki z ust, głoszących fałsz i obłudę i, zapraw-

dę, zieją siarką i zatrutym dymem na ludzi,—a oni, zaślepieni zwodniczemi pozorami, złudzeni blaskiem urody, kuszeni obietnicami szczęścia—idą za nimi na bezdroża i giną.

— Lecz, ójcze, Bóg dobry zsyła aniołów białych, aby strzegli biédaków—szepcze dziewczynka, patrząc szeroko rozwartemi oczyma w twarz ojca.

— Tak, dziecko drogie, Bóg jest dobry i zsyła aniołów na drogi ludzkiego żywota—przyświadczał wzruszony ojciec, a kładąc dłoń na jasnéj głowie dodaje: niech anioł i ciebie strzeże od zła wszelkiego, a ty sama bądź aniołem dobrym dla drugich—cicho dokończył.

Drzwi kuchenki otworzyły się, a niemłoda, schludnie ubrana kobiéta wniosła buchający parą, błyszczący samowar.

— A to zbytki, żeby panna Hela, taka duża panna, co już pensyą skończyła, bawiła się lalkami — zrzędzi z poufałością dawnéj sługi.—Powiem ja o tém nie jednemu...

— Ależ, moja Polusiu, wszak to nie zwykłe lalki — lecz szopka. W święta przyjdzie Zosia, Karol, Jadzia z Bolkiem.

— Helenko—upomina matka—nie wypada tak poufale nazywać młodych ludzi. Jesteś dorosłą panienką.

— Dorosłą panną? — powtarzało dziewczę przekornie, kręcąc jasną główką, — a dlaczego mameczka nie kazała zrobić mi téj nowéj sukienki z trenem, choć tak mameczkę o to prosiłam? Karol i Bolek—to nie młodzi ludzie, lecz studenci—mówi daléj z lekceważeniem, wzruszając ramionami.—Jak przyjdą szopkę oglądać...

— To panienka będzie kolędy śpiéwać z przekorą — kończy służąca. — Warto się uczyć za drogie pieniądze, żeby przy szopce śpiéwać.

— O, wielka rzecz! Kolęda, to przecież święta pieśń—może ją śpiéwać i najpierwsza śpiéwaczka — odpowiada urażona dziewczynka, — a Karolka i Józia nauczyłam już reszty potrzebnych śpiewek. A widzisz, Polusiu, jak na przedstawieniu włożą parę groszy w torebkę dziadkowi, zbierze się może parę rubli dla biédaków na węgiel, na drzewo. Teraz tak zimno na świecie...

— No, no, — mruczy stara sługa udobruchana, — dobrze to o biédnych pamiętać, ale... zawsze to jakoś nie uchodzi. — Taka duża panna, pensyę skończyła i lalki. A i groszy także się coś wydało...

— O! tatuś nic na szopkę nie wydał — protestuje żywo dziewczynka. — Kupiłam sobie tańszy kapelusz na zimę i ze swoich oszczędności funduję szopkę — z dumą dodaje. — Wszak prawda, tateczku?

I szyjąc daléj blaszki na kierezyi — myśli: przecież mnie na

pensyi uczono rachunków i wiem, że ponad to, co ojczulek mi przeznacza na ubranie — wydać więcéj nie mogę. Dawniéj, dawniéj — kiedy biédny, kochany tato był w urzędowaniu, to i mama mogła ładniéj się ubrać i ja, choć jeszcze na pensyą chodziłam; i mieszkanie było większe, dwie sługi — i gości więcéj bywało, i do teatru częściéj chodziliśmy, a ojciec biédny nie bywał taki smutny... Dziś — trzeba się oszczędzać — poważnie rozważa — tatuś stracił posadę—dochody ma mniejsze, a tu wpis Janka w Szkole głównéj kosztuje i moje lekcye śpiewu, nuty—także grosza nie mało wyciągną--i chłopcom czas niedługo iść do szkół, i biédna mama tak często choruje. Oh, Boże, Boże — wzdycha gorąco — żebym to jak najprędzéj mogła dopomagać rodzicom moją własną pracą...

I młoda główka snuje śmiałe projekta; kwitną cudne kwiaty fantazyi przed oczyma zapatrzonéj wdal dziewczyny. W uszach brzmią wspaniałe tony orkiestry, dzwoni śpiew uroczy; serce goręcéj uderza, wzruszenie dech zapiera, uniesienie artystyczne falę krwi pędzi do głowy i dziewczę, nie słysząc brzęku szklanek, nie widząc jaskrawych płatków trzymanych w dłoni, nie czując spojrzeń ojca, skierowanych na nią z troską i uciechą—zwolna, półgłosem, zaczyna wtórować melodyi, co falą dźwięków pierś jéj zaléwa. Z opuszczonemi rękoma, z głową wzniesioną i oczyma wdal gdzieś utkwionemi, z początku półgłosem, cicho, jakby we śnie cudownym—potém coraz pełniejszemi tony, młodego, srebrzystego głosu, śpiewa tę z westchnień i blasków księżyca utkaną pieśń Belliniego: „*casta Diva*“.

Zasłuchali się rodzice, nawet bracia swawolni umilkli. Pieśń płynie prosta, czysta, wzbija się coraz wyżéj, coraz potężniejszemi tonami rozbrzmiewa w cichéj komnacie, aż w końcowym ustępie z wybuchem zachwytu perłami tonów spływa niżéj, cichnie, gaśnie, aż umilkła zupełnie w półotwartych ustach dziewczyny.

— Niech córeczka pamięta o etiudach i wokalizach, — napomina matka;—na arye z oper będzie jeszcze dość czasu...

— Ja, mateczko, tak tylko, mimowoli spróbowałam — zarumieniona broni się dziewczyna.—Od czasu, jak słyszałam Artôt w „Normie“, ta pieśń spać mi nie daje, ciągle dzwoni w uszach. Sama nie wiem, kiedy zaczęłam o niéj myśléć i śpiewać — przy tym oto krakowiaku nieubranym jeszcze—dziecinnie się rozśmiała.

— Właśnie, akurat panience śpiewać przy szopce — mruczy, kiwając głową z podziwem, Polusia, zajęta przygotowaniem herbaty. Trzeba i panicza poprosić, bo biédaczek ciągiem siedzi i mruczy nad temi książczyskami.

I stara sługa podreptała w stronę osobnéj stancyjki.

Wkrótce rozległy się żwawe kroki i dwóch młodych, 20-toletnich może chłopców w granatowych mundurach Szkoły głównéj weszło do pokoju.

Jeden z nich, blondyn z jasną, wesołą twarzą, schyla się z szacunkiem do ręki pani domu i całuje ramię gospodarza, gdy drugi, ciemnowłosy, obejmując pieszczotliwie matkę, woła:

— Głodni jesteśmy, matuniu kochana. Od kilku godzin uczymy się razem,—a za pracę należy nam posiłek, według przepisu Apostoła pogan. Bolek chciał uciekać od naszéj herbaty — ledwiem go zatrzymał.

— A czy się to godzi, będąc przeze drzwi, nie zajrzéć do starych—wymawia pan domu, gdy młody chłopiec ściśnieniem ręki i żywém spojrzeniem wita panienkę.

— Ależ, panie naczelniku, niesłusznie obmawia mnie Janek. Miałem szczerą ochotę odwiedzić szanownych państwa, lecz nie śmiem narzucać się zbyt często...

— Tak, tak, znamy te dobre chęci, któremi podobno piekło brukowane. Byłbyś pan uciekł, gdyby Janek pana nie zatrzymał — drażni się Helenka.

— A panna Helena nad czém pracuje? Przed chwilą słyszałem śpiew.

— I uczyć się nie chciałeś słuchając—wtrącił Janek.

— Czy przeszkadzałam? przepraszam — to była nadprogramowa próba i teraz będę już cicho.

— Słowo daję, panna Helena lalkami się bawi! — woła ździwiony student, przyglądający się od niejakiego czasu koszykowi, gdzie Helenka pod gałgankami ukryła swoją robotę.

Niestety! zdradziły ją obute w pantofelki nóżki krakowianki, wyglądające z koszyka; po chwili Janek trzymał już ją w ręku.

— Bardzo przepraszam — mówi chłodno urażona panienka. — Wiadomo przecież panu, że już od wakacyi skończyłam pensyą, czytam poważne książki i noszę długie sukienki. Nie pora mi lalką się bawić.

— A cóż znaczy ta krakowianka?

— To jedna z personelu szopkowego i moje ostatnie arcydzieło— z dumą odpowiada.—A przytém, jest-to dzieło filantropijne...

— Proszę, proszę, — śmieje się student, patrząc z upodobaniem na gniewne dziewczę, więc pani przy śpiewie uprawia i filantropię?

— Tak, mój panie, i zapraszam pana na wielkie przedstawienie w czasie świąt. Dochód na biédnych, naddatki z wdzięcznością

będą przyjmowane—poważnie recytuje. —A ty, Janku, proszę, postaraj się o śmierć.

— A dajże mi pokój ze śmiercią — oburzył się brat; — nie mam i nie chcę mieć nic z nią do czynienia—przynajmniéj na teraz.

— Zlituj się—personel nie będzie kompletny, koniecznie potrzebuję śmierci—śmieje się dziewczyna.

— Było ci prosić Karola: on przyszły medyk, zanim zacznie siać śmierć między swemi pacyentami, możeby ci sprokurował jéj wyobrażenie.

— Ja postaram się, aby przystawić śmierć na żądanie pani — z grzecznością skłaniając głowę, zakończył spór Bolesław.

— Ot, Bolek, zawsze „*chevaleresque*“. Co za szkoda, że minęły tak dawno rycerskie czasy trubadurów! Byłbyś pewno jednym z pierwszych. Co za temat do balad i sonetów! Śmierć schwytać i dostawić na rozkaz damy swych...

— Ależ Janku!—przerywa werwę kolegi zmieszany chłopiec, — nie sięgaj w tak dalekie czasy. Wszak spełnić życzenie kobiéty dla każdego cywilizowanego człowieka jest obowiązkiem i przyjemnością.

— A „Sonety“?—nagle pyta Helenka.

— Są, są — odparł Bolesław, wyjmując z kieszeni tomik nie wielki.

— Ach, jak to dobrze, żeś pan przyniósł — dziękuje rozpromieniona panienka. — Przed wyjazdem na prowincyę poznam wszystkie utwory wielkiego naszego poety.

— Więc państwo stanowczo opuszczają Warszawę?

— Stanowczo. Ojciec ukończył już formalności prawne i z wiosną obejmuje nowe obowiązki, kiedy tutaj zabrakło mu pola do pracy.

— Szkoda, jednak...—szepnął Bolesław i zamyślił się nagle.

— Czego szkoda?—pyta ciekawie Helenka.

Chłopiec pod śmiałém spojrzeniem dziewczynki zmieszał się i zamilkł, aż kolega przyszedł mu z pomocą:

— Bolek, chcę ci wypowiedzieć jeden z nowych utworów Asnyka, tylko się zaciął: widać, pamięć go zawodzi. No, daléj, kolego: „Szkoda kwiatów, które kwitną w ustroni, a nikt nie zna ich barw żywych, ni woni“.—Tak?

— Zgoda i na to,—otrząsnąwszy się z chwilowéj zadumy, wołał student.—Istotnie, szkoda zakopać pannę Helenę w jakimś zapadłym kącie. Ale, ponieważ pani tak ciekawa „Sonetów“, a już załatwiliś-

my się z nauką, pozwolą szanowni państwo, że pannie Helenie najpiękniejsze ustępy przeczytam.

— Ach, dobrze, doskonale! — cieszy się dziewczyna. — Wszak dobrze, mateczko?

— Czy dobrze—zawyrokujemy po skończoném czytaniu, a teraz mogę tylko podziękować panu Bolesławowi za dobrą intencyą uprzyjemnienia nam wieczoru.

Szybko skończono wieczerzę i cisza zaległa przy okrągłym stole. Ojciec kładzie napoleoński pasyans, matka szybko miga drutami robótki; chłopcy, siedząc w kąciku, mają chwalebny zamiar słuchać, gdy bajka będzie ciekawą, — usnąć, jeżeli się nudną pokaże. Helenka z głową wspartą na dłoni, błyszczące oczy utkwiła w twarzy lektora.

Ten, zmieszany zwróconém nań spojrzeniem, przycichłym głosem rozpoczął czytanie, wkrótce jednak, porwany czarem poezyi, wrzącą lawą uczucia, podniósł głos i czoło. Wspaniałe, natchnione strofy, dźwięcznym głosem i energicznêm słowem wypowiedziane, rozlegają się wśród ciszy. W zbladłéj twarzy płoną ogniem ciemne oczy, a ponsowe usteczka drżą hamowaném wzruszeniem, łkanie stłumione wstrząsnęło piersią dziewczęcia.

Zerwała się — uciekła.

Na chwilę cisza zaległa przy okrągłym stole.

— Nie przypuszczałem... nie sądziłem...—tłómaczył się zmieszany chłopiec,—aby poezya tak pannę Helenę wzruszyła.

— Kobiéty, kobiéty — to same nerwy — lekceważąco wtrąca Janek.

— Możeby należało, ojcze, z powodu téj wrażliwości, usunąć poezye z programu jéj czytania. Widzę na jéj stoliku Krasińskiego, Słowackiego, Mickiewicza.

— Ale znajdziesz tam Smilesa i Milla—dokończył ojciec; — ich rozumowania i obiektywne sądy przykrócą imaginacyę, a rozwiną umysł. Pomimo ich wielkiéj wrażliwości—ciągnął daléj—niepodobna zabronić kobiétom czytania poezyi, która podnosi i uszlachetnia duchy. Wymagamy od kobiét, aby były kwiatem i poezyą ludzkości, i przyznać należy, że podniosły pierwiastek potrzebny jest społeczeństwu w tych czasach, kiedy wszelka wzniosłość zdaje się niknąć z ziemi, ustępując miejsca pozioméj, a często brudnéj prozie, pozytywnym celom życia, zwierzęcéj „walce o byt."

— Broń-że Boże,—zawołał żywo Bolesław—żeby hypotezy wyprowadzone z ostatnich badań naukowych, miały przeniknąć w kobiéce umysły! Dość szkody przynoszą one młodzieży męskiéj, odzie-

rając ją na progu życia ze złudzeń i w jarzmo bezlitosnych teoryi wprzęgając ducha.

— Mój Bolku, choć wychowany jesteś w szacunku dla dawnych wierzeń, przyznaj się, że gorączkową ciekawością śledzisz wyniki téj potępianéj najnowszéj wiedzy.

— Nie zapiéram się wcale, bo jako jednostkę inteligentną zajmuje mnie każdy nowy dorobek ludzkiego umysłu. A zresztą to zaciekawienie, ta gorączka nowości płynie z ducha czasu, z ducha naszéj epoki.

— A skądże to on wieje, ten duch czasu? — pyta, patrząc z zajęciem na chłopców, ojciec. — Czy z przestworów niebieskich, zarażony zgnilizną i swędem, wpływa w piersi nasze? Czy jak wschodnie *fatum* gniecie nas siłą nieujętą i odwrócić się nie dającą? Ja inaczéj pojmuję to utarte wyrażenie, którém szafujemy, jak zdawkową monetą, w każdéj rozprawie.

— Nie zaprzeczy jednak szanowny pan, że każda epoka w życiu ludzkości innym tchnie duchem, inne stawia ideały i innemi drogami ku nim dąży—broni się chłopiec.

— I ideały, które ludzkość w coraz odmiennéj formie stawia, jak świeczniki na drodze swego pochodu, i to, co nazywacie: „duchem czasu“—nie jest odrębnym, abstrakcyjnym fabrykatem jakichś potęg nieznanych, nie bywa nigdy oderwanym fragmentem dziejów, lecz raczéj logicznym wynikiem postępu wiedzy, następstwem rozwoju etycznych pojęć danéj epoki. Wyobrażenia, uczucia, żądze, namiętności nurtujące umysły i szarpiące serca ogółu — tworzą atmosferę moralną społeczeństwa, „duch czasu“, i z konieczności sprowadzają czyny, odpowiednie pobudkom moralnym, a nadające charakter epoce. I tak: wyrosłe na jałowym gruncie pogaństwa, niewolnictwo, przywileje kast, to hańba starożytności cywilizowanéj — to „duch czasu“; poddaństwo, niewolnictwo społeczeństwa chrześciańskiego, wynik feudalizmu, uprawniający krzywdę większości na korzyść wybrańców, — to „duch czasu“. Średniowieczna rycerskość w teoryi, a siła pięści i przywiléj rodowy, w praktyce—wojny krzyżowe, inkwizycya, to także: „duch czasu“. Dzisiejszy praktyczny materyalizm z bezwyznaniowością — to także: „duch czasu“. Z ludzkich to piersi i głów wypływa ten prąd, któremu, czy on zacny i podniosły, czy niski i brudny — ulega większość. Dlatego słusznie mówimy, usprawiedliwiając pewne fakty, jako następstwa konsekwentne uczuć i przekonań większości: „uległ duchowi epoki, popłynął za prądem czasu“.

— I wiecznie ludzkość szukać będzie coraz nowych bóstw, ni-

szczyć dawne, a stawiać nowe ołtarze? — przyciszonym głosem pyta Bolesław.—I kiedyż w tym pochodzie odwiecznym ku jakimś tajemnym, niezbadanym celom natrafi na tor właściwy, znajdzie hasło, aby, nie cofając się błądzeniem, nie upadając zwątpieniem, nie niszczejąc w szałach chorobliwych, świadomie dążyć naprzód!

— Dopiéro wtedy, chłopcze, kiedy silna i świadoma wola, wypływ światłego umysłu i gorącego serca — sprowadzi czyny sprawiedliwe.

— Nie można jednak winić nauki, że bada, szuka prawdy, dąży naprzód. Ze ściérania się zdań—błyska prawda.

— I dawniéj, wszelkie ważniejsze zdobycze naukowe także przechodziły krzyżowy ogień uporczywych zaprzeczeń i twierdzeń stanowczych. Odkrycia Kopernika, Galileusza zaburzyły świat uczonych, zapalały stosy; zapełniały więzienia, lecz walka, zaostrzona kwestyami teologicznéj natury, ograniczała się na kółku ludzi, oddanych nauce; ogół, mniéj ciekawy a raczéj przez prasę jeszcze nierozciekawiony, mały brał w niéj udział. Dziś, gadulstwo prasy popularyzuje wszystko, rzuca hypotezy umysłom nieprzygotowanym mas, które, przyjmując bez krytyki tak zwane „ostatnie słowo nauki“ zyskują mało wiedzy, a tracą olbrzymio moralnie.

— Lecz czemuż to nasze panie tak długo nie wracają? — pyta, oglądając się za żoną i córką.

— Idziemy, idziemy, aby nie tracić waszéj gawędy — mówiła matka, a zarumieniona dzieweczka szepce:

— Przepraszam; przerwałam tak zajmujące czytanie. Aż mi wstyd, żem taka wrażliwa.

— No, no, wiemy — przerywa kłopotliwe tłómaczenie dziewczęcia ojciec — zwykła to rzecz; za młodu płaczemy nad cierpieniami drugich, a potém, życie tak nam serce wysuszy, że dla własnych bólów łzy nie znajdziemy...

— Ale, muszę cię pochwalić, panie Bolesławie, czytasz gładko i pięknie.

— Wszak piękna i płynna wymowa jest jednym z warunków naszego zawodu, czy raczéj rzemiosła, jak teraz mówią.

— O tak, rzemieślników na wszystkich polach działalności ludzkiéj mamy teraz coraz więcéj i coraz zdolniejszych; nawet na katedrach profesorskich, nawet w konfesyonałach, lecz ludzi charakteru i powołania, coraz mniéj...

Błyszczące oczy ciemne, nadmiernie rozszerzone, utkwiły w twarzy mówiącego. Czy wyczytały na niéj jaki zagadkowy hieroglif, czy odkryły powab dotąd nieznany, że z uporem dziecka, a ciekawo-

ścią kobiéty, zawisły na niéj takiém napół zdziwioném, napół zachwyconém spojrzeniem? Przecież nie od dziś zna tę poczciwą twarz kolegi Janka, nie bardzo powabną, wcale nie piękną: wszak pamięta go jeszcze, gdy w mundurku gimnazisty, wypisywał ozdobnie tytuły wypracowań i deklamacyi, a często i dopomógł w jakiém zawiłém zadaniu.

Cóż tak nagle rozjaśniło tę postać ciężką, taką aureolę rzuciło na młode czoło, że nawet, gdy chłopiec zmieszany i rumieniący się, spuszcza oczy przed jéj zuchwałem wejrzeniem, ona nie przestała badania, którego rezultatem naiwnie dzieli się z rodziną:

— Pan Bolesław wypiękniał!—wesoło woła.

— Zbyt pani łaskawa — szepce chłopak z ukłonem podziękowania.

— Ależ doprawdy—szczebioce dziewczynka—stanowczo utrzymuję, że pan Bolesław pięknieje.

— Komplimentu nie przyjmuję, lecz grzeczne słówko uważam jako podziękowanie za „Sonety“.

— O panie, panie! Za „Sonety“ ucałuję chyba pana — woła żywo dziewczynka, zrywając się z wyciągnionemi rękoma.

W sekundzie, chłopak był przy tych dziecięco drobnych rączkach, które chwyciły głowę jasnowłosą, a usteczka różowe, na czole serdeczny, głośny wycisnęły pocałunek, zanim zdziwieni rodzice zdołali zaprotestować.

Zresztą, fakt nie był nadzwyczajnym: znali się dziećmi, i żywa jak iskra dziewczynka nie raz obdarzała licznych kuzynków i znajomych całusami za drobne usługi, kwiaty, prezenty.

Czemuż jednak teraz zamilkli oboje? Ona stała spłoniona, on pobladł.

Czemu?

II.

Mróz zimnym uściskiem objął ziemię i jak małżonek niekochany, pocałunkiem zgasił krasę oblubienicy. Zamarła i z uroków odarta, chłodne swe łono otula puszystą zasłoną, skrzy brylantami śniegu, zdobi się w pióra szronów i jak strojnisia bezduszna, w zamarzłych kryształach rzek i jezior, podziwia swoje martwe wdzięki. Powiew mroźny podnosi łachmany śnieżne, maluje wzorzyste arabeski na szybach i ubiéra strzechy w lodowe frendzle. Jednak cała ta krasa iskrząca a chłodna, nie wzbudza zachwytu, nie przyśpieszy serca ude-

rzeń; poświstem wichru, bielą śniegów, bladem, grudniowém niebem woła: „smutno, smutno; zima, chłód, śmierć...“

Smutną jednak nie jest kobiéta, która przez nawpół zamarzłe, niewielkie okna wiejskiego dworku, patrzy na śniegiem zasypane pola na las niedaleki, tonący w białéj pościeli. Pogoda leży na jéj czole, delikatnie wykrojone, świéże usta rozchyla wesoły uśmiech, ilekroć ciemne oczy z ponad czytanych dzienników, pomkną gdzieś daleko szlakiem szerokiéj drogi, skręcającéj na podwórze domu.

Na okólniku gospodarskim i w domu cisza, a z tym spokojem harmonizuje cicha twarz kobiéty, która starannie, choć skromnie ubrana, z białą koronką, upiętą na jasnych włosach, z pękiem gazet na kolanach, siedzi na wygodnéj sofce, trochę czyta, trochę duma. Toż dzień świąteczny każdemu odpocząć i zabawić•się wedle możności i chęci pozwala.

Rozumne spojrzenie kobiéty szybko przebiega szpalty gazet: i polityką nie gardzi i wiadomości stolicy ciekawie przegląda. A właśnie sensacyjny proces jest w biegu: sukcesorowie wnoszą prośbę o unieważnienie znacznego zapisu testatorki-filantropki i głos opinii trzyma ich stronę. W oczach ogółu, rodzina większe ma prawo do spuścizny, będącéj rezultatem pracy całego życia— niż biedacy, związani z ofiarodawczynią tylko węzłami miłości chrześciańskiéj bliźniego. „Sprawy instytucyi filantropijnych bronić będzie znany adwokat Bolesław Rylski“. Oczy kobiéty zatrzymują się na tym wierszu, błyszczą rozradowaniem a twarz rozpromienia miły uśmiéch. „Bolek“ —szepce—„Bolek, zawsze widać ten sam, jak dawniéj, rycersko-szlachetny i uczciwy“.

I, lubo jeszcze długie kolumny druku pozostały do odczytania, oczy kobiéty nie spoczęły już na nich. Może winien był temu wczesny zmrok grudniowy, szarą przędzą obwijający świat Boży, a może właśnie ten zmrok w połączeniu z ogniem, trzaskającym na kominku, usposabia do dumania, do wspomnień.

A taki miły temat poddała poczciwa gazeta. Toż to najmilsze chwile życia, chwile pierwszéj młodości, przypomina to pieszczotliwie wymówione imię. Ze spokojną uciechą sięga myślą w tę przeszłość, niezbyt zresztą odległą a podparłszy na drobnéj dłoni kształtną główkę z delikatną twarzą, na któréj nie zagasł jeszcze blask młodości i urody—duma.

I widzi wieczór, także grudniowy, duży pokój w oficynie, stół okrągły, oświecony wiszącą lampą i gronko ludzi ten stół otaczające. Uśmiécha się na wspomnienie lalek i personelu szopkowego, rzewnie powtarza w myśli słowa ukochanego ojca; przypomina figle i żarciki

braci, i swoje rojenia artystyczne; przed oczyma przesuwa się szereg koleżanek, znajomych, całe gwarne życie w stolicy; a z pomiędzy wszystkich znajomych, czyjeż to oczy błękitne najmiléj spoglądają na młodziutkie dziewczę, czyj obraz i w jéj pamięci najwyraźniejszym znaczy się konturem? Machnęła dłonią z lekceważeniem, choć w uśmiechu jest trochę smutku.

— Jak to już dawno! mój Boże, jak dawno—myśli—lat szesnaście czy siedmnaście, przemknęły jak chwila, a co z nas, dzieci nieopatrznych, zrobiły? Jadzia, Zosia i Ludka za mąż powychodziły, chłopcy się pożenili... bracia rozpierzchli po świecie, szukając chleba, karyery; Bolek, i on ożenił się młodo, w lat kilka po naszym wyjeździe z Warszawy... Wziął biedną panienkę podobno bardzo piękną... mówili, że ożenił się z miłości... Westchnęła.

— Tak, on zbyt szlachetny, aby z małżeństw robić spekulacyę, musiał pokochać... uczciwie i gorąco, tak, jak on mógł kochać a jak mnie pokochać... może... nie miał czasu. Szczęść mu Boże, bo dobry i zacny.

Tak duma kobiéta. Wyobraźnia jaskrawo maluje przebieg lat minionych, niepowrotne chwile młodości. Czyż nie wiecie, jaką one wiekuiście nową, a jednak niezmienną snują się koleją, tak w przyrodzie, jak i w duchu człowieka?

W kwietniu, póty pieści powiew ciepłego wiatru, póty całuje jasny promień słońca, aż z duszy młodéj, jak z nagiego łona ziemi, wybija zielona trawka ciekawych myśli, wykwitną nieśmiało pierwiosnki i fijołki pierwszych marzeń młodzieńczych. A wietrzyk pieszczotliwy niesie w swych podmuchach i szumy poważne lasu, i ciche szmery strumyka, i dźwięki skowronka i ożywiające ciepło słoneczne.

Pod gorętszém majowém tchnieniem bujają śmiało silniejsze już trawy, barwią się krasą różaną lica, dźwięczą słowiczą nutą pieśni pierwszych porywów serca. Śni dusza sen białych aniołów, drży świętem pragnieniem ideału, trwoży się i lęka pod skłodkim podszeptem miłości. I oto zbrojno, wysoko, letnie suną mary: to królewicz zdejmuje czar z zaklętéj królewny i budzi ją pocałunkiem do życia: to Psyche urocza, ciekawa, tęskna, staje z przysłonioną lampą swych pragnień nad śpiącym Amorem... A biada jéj, biada, jeżeli gorąca kropla z téj wonnéj atmosfery spadnie na czoło sennego oblubieńca... Czar zniknie; rozwieje się, uleci niepochwytny a cudny sen grecki, a w twardych objęciach rzeczywistości, ona wiecznie tęsknić będzie za marą szczęścia, za złudą miłości!

Lecz duszące upały czerwca już znoją młode czoła; chmury suną po niebie, gdzieś zdaleka huczy grom i w wyniosłe szczyty uderza:

milkną słowicze pieśni a ulewa też zmywa malowanki młodzieńcze, urocze fantasmagorye życia! Podmuch burzy rozdziera szaty barwiste: królewicz staje się prozaicznym gospodarskim synkiem z fajką i w długich butach: Psyche tajemnicza zamiast lampy płonącéj, niesie w dłoni dymiący półmisek zrazów z kapustą; poetyczne westchnienie zamienia się w ziewzięcie zmęczonego człowieka a miłość w brutalnych uściskach małżeństwa zakrywa sprofanowane, zawstydzone lice...

I wtedy, w duszy silnéj wiarą, płodnéj miłością, kwiat marzeń młodzieńczych zawiązuje święte ziarna czynów, będących chlubą i zasługą ludzkości. Wtedy w pustém, jałowem sercu zaczynają bujać chwasty egoizmu, jadowitéj niechęci przeciw wszystkiemu i wszystkim i słowem zniechęcenia, czynem nienawiści, rozsiewają klęski i postrach wśród braci. A gdy natury szlachetne, stosując się do wymagań życia, we wspomnieniach czystéj młodości czerpią pociechę, ochłodę, otuchę, a w głębi swéj znajdują nagromadzone zasoby, które nie dopuszczą wyczerpania i apatyi, tak przeciwnie nizkie, poziome istoty, co nigdy nie wzleciały ponad prozę codziennych potrzeb, nie sięgnęły daléj ponad chléb jutrzejszy, nie wzbiły się wyżéj ponad wymogi świata: silnie trzymając się ziemi, przejdą po ziemi i zostaną w ziemi, a spadkobiecrom ułomności, żądz i małot swoich nie rzucą spuścizny silnego ducha i podniosłego serca.

Kobiéta schyla głowę. W rozbujałych fantastycznie myślach, nagle błyskało niespodziane pytanie: „Czy kochałam tego miłego mi zawsze Bolka? czym go kochała? pyta w głębi sumienia. Czyżby to była miłość, to dziecinne upodobanie, ta serdeczna sympatya dla młodego chłopca, przed którym jednak pierwsze miejsce trzymał śpiéw i fortepian?

Zamyśliła się smutnie. Nie, mówi sama do siebie, to nie była miłość, to czysty podmuch kwietniowy, niosący w dani zieloną gałązkę myśli, pierwsze, skromne kwiecie marzeń. Tak, pamięta, miała doń trochę żalu, że tak łatwo zapomniał, tak prędko z swojéj myśli ją wymazał, lecz jest mu wdzięczną za pierwsze prawdziwe wzruszenie, które głosem jego wywołane, tak wspaniale rozkwitło w jéj duszy i w takie ją odziało bogactwa.

Późniéj, przypomina sobie, w obcém miejscu, nieznanéj okolicy, szmery pochlebnych słówek pieściły ucho, ciche westchnienia łaskotały serce, lecz oględnie, zdaleka, aby „panna bez posagu“ nie miała jakich złudzeń niepotrzebnych. I zwolna, pustka zrobiła się około ukochanéj i pieszczonéj jedynaczki; aż póki zacny człowiek nie podał

jéj ręki do wspólnego życia, nie otoczył uczuciem gorącego, szlachetnego serca.

Łzy błyszczą w oczach kobiéty, rozrzewnienie twarz oblekło.

— Dobry zacny mój Józef — szepnęła— duch bratni, umysł pokrewny i serce szlachetne.

Wstaje szybko i ku drzwiom biegnie, bo przed ganek cicho sunąc po śniegu i jęcząc dzwonkiem, zajeżdżały sanki.

Mężczyzna w sile wieku i troje dzieci z hałasem, śmiechem i gwarem wchodzi do pokoju.

— Mamo, mamo — woła pięcioletni śliczny chłopczyk, czepiając się ręki matki, siadaj, matusiu, i weź mnie na kolana, bo zmarzłem bardzo.

— Kto lubi jeździć sanną, ten musi mróz znosić — odpowiada matka, rozcierając czerwone rączyny.

— Oj, matusiu, czemu to sanny nie ma w lecie — zapytuje z żalem dzieciak, tupiąc nóżkami.

— Nie spadnie śnieg w lecie, dziecino, tak samo, jak w zimie nie zakwitną róże, wzdycha matka.

— Ale ty, mamusiu, jesteś i róża i jasny księżyc, i ciepłe słońce — pieści matkę malec.— Byliśmy z tatusiem na spacerze, a teraz, matusiu, opowiédz nam bajkę, bo już się ściemnia, a ty zawsze szarą godziną ładne bajeczki nam mówisz.

— Opowiadaj, mateczko, opowiadaj — prosiły dzieci, otaczając matkę.

I oto w niskiéj komnatce płomień ogniska, to buchając jaskrawo, to przygasając, fantastycznćm światłem oblćwa wdzięczną grupę. Najstarszy, dziesięcioletni chłopczyk na niskim stołeczku u nóg matki, ciekawie patrzy w jéj oczy; średnia dziewczynka przytula się do ramienia, a na kolanach jasnowłosy chłopczyk obejmuje szyję kobiéty.

We drzwiach komnaty stanął siwiejący mężczyzna; gorący płomień błękitnego oka przysłania łza rozrzewnienia. Stał, patrzył, słuchał... Szybko zbliżył się, gorąco przycisnął do ust i serca kobietę.

III.

W jednym z pokojów wspaniałego apartamentu adwokata Rylskiego, służący zapala alabastrową lampę. Jéj światło łagodne oblćwa różowe gniazdko, śliczne, jak przytułek szczęścia, rozkoszne jak schronienie miłości. Znać, że to dłoń kochająca zgromadziła tu wszystko, co stanowi wygodę, komfort i powab kobiecéj komnaty: kosze świeżych roślin, piękne sztychy i obrazy, miękkie siedzenia ró-

żowym atłasem kryte, wielkie zwierciadła, puszyste kobierce i lekkie jak mgła zasłony. Jednak, wchodząca w téj chwili mieszkanka ślicznego gniazdka, ma minę znudzoną i niezadowoloną: obojętném okiem rzuciła przelotnie na piękne rośliny, choć zapach kwitnących konwalii i fiołków przepełnia powietrze a koronkowe liście paproci delikatną zielenią i wytworną formą wabią ku sobie; ziewnęła, spoglądając na bogato oprawne ilustracye, na zbytkowne ozdoby kominka; wszystko to starzy znajomi, nudni, codzienni świadkowie pustego życia; jéj nie wiąże z niemi pamięć chwil przeżytych; im nie dodają ceny upłynione lata; bez żalu usunie meble, gdy spłowieje barwa materyi, wyrzucić każe kwiaty, gdy przekwitną i zwiędną.

Stanęła przed wielkiém zwierciadłem.

Kryształowa tafla odbija wspaniałą postać czterdziesto-letniéj kobiéty: kształtną kibić obciska wytworne ubranie, twarz niepospolicie piękna ma wyraz naiwny pieszczonego dziecka i jaśnieje prawie dziecięcą świeżością i przejrzystością cery. Podejrzliwe oko mogłoby kwestyonować świéżość rumieńca i żywy karmin pełnych ust, lecz zwierciadło z upodobaniem odbija postać pięknéj pani.

Kobiéta z drobnostkową uwagą robi przegląd wdzięków i tualety; zbliska przygląda się, czy delikatne niteczki zmarszczek, nie psują zbyt widocznie atłasu płci przejrzystéj; ręką wypieszczoną poprawiła czepeczek, co jak motyl ze skrzydełkami do lotu rozpostartemi, spoczywa na wysokiéj, pudrem przypruszonéj fryzurze.

Zadowolona z egzaminu, uśmiécha się do odbitéj w zwierciedle postaci, po chwili jednak wyraz niechęci i znudzenia znów zasępia piękne rysy.

— I wartoż—pyta saméj siebie—być piękną, jeszcze młodą, mieć dostatek i tak skąpo używać życia? Jakieś dziwne skrupuły, jakieś niepojęte ograniczenia i oszczędności opanowały tego biednego Bolesława! Zestarzał, posiwiał, a nie chce uwzględnić, żem jeszcze młoda i życia spragniona. Musiałam i ja dla niego postarzéć, bo już nie tak skwapliwie jak dawniéj spełnia moje życzenia. Westchnęła. Dzieci i dzieci, przyszłość dzieci, edukacya dzieci, opieka nad dziećmi, posagi dla dzieci, słowem, do nieskończoności, do obrzydzenia dzieci. Że téż to bez tych dodatków uprzykrzonych nie można się obejść w życiu. A jakie wymagania! Nie dość, że się cierpi, dając im życie, traci urodę i zdrowie, jeszcze w dalszym ciągu wychowuj, pilnuj, wpływaj. A od czegóż drogo płatne bony, nauczycielki i szkoły?

Zamyśliła się.

— Na bal w ratuszu muszę mieć nową aksamitną suknię *cardinal* z błyszczącym haftem kolorowych dżetów, czy też atłas *vieil or*

z wenecką blondyną. Nie, aksamit wspanialéj ubiéra kobiétę a jeszcze kobietę téj postawy i wzrostu, co ja. Będzie się krzywił... trudno, szanująca się kobiéta poważniejsza, nie może w lada gałganku przed ludźmi występować. Świat ma swoje prawa i wymagania, którym zadość uczynić należy — myśli przechodząc zwolna po buduarze.

Zaszeleściła portyera.

W ramie drzwi udrapowanéj połyskliwą, różową firanką, stanął mężczyzna; czoło jego, ogołocone z włosów świéci żółtawą barwą słoniowéj kości; ślad trosk i myśli — marszczka poprzeczna, przecina je głęboką bruzdą; oczy błękitne, zbladłe, zmęczoném spojrzeniem patrzą na świat, chuda, wysoka postać naprzód się pochyla. Z dziennikiem w ręku stanął na progu.

— Czy wolno?—zapytał z żartobliwą galanteryą.

— Proszę—obojętnie odrzekła kobiéta, a chłód i niechęć wyraźniéj odbiły się na jéj licu.

Mężczyzna siada i pod światłem alabastrowéj lampy rozkłada trzymany w ręku dziennik. Czyta, a raczéj udaje że czyta: przysiągłbyś, że czytanie jest tylko pokrywką jakiéjś zajmującéj go myśli, bo ciągle z pod oka spogląda na przechadzającą się po pokoju kobiétę.

— Nie gniéwaj się, Lucynko — mówi wreszcie łagodnie — żem loży na Włochów nie zaabonował. Widzę, że się nudzisz, i to mnie boli, lecz pamiętaj, że musimy się trochę oszczędzać przy dzisiejszych ciężkich czasach. Daj rączkę na zgodę; wynagrodzę ci tę przykrość czém inném.

Oczy kobiéty zabłysły. Zbliżyła się do siedzącego męża.

— Mój Bolu, ja wiem, że ty masz wielkie wydatki i pracę wielką—mówi słodkim głosem, a gestem łaszącéj się kotki ociéra się o ramię męża. Trochę mi przykro, boć to całe towarzystwo się zbiéra na tych przedstawieniach, jeżeli jednak uważasz, że to zbytek dla nas...

— Wiem, żeś ty zawsze dobra, najlepsza moja żonka, — chwali jak dziecko zepsute, całując białą rączkę mąż. — Siądź przy mnie, na przeprosiny przeczytam ci coś nowego. Śliczne poezye konkursowe.

Kobiéta niedostrzegalnym ruchem ścisnęła ramiona i powiew nudy przeleciał po jéj twarzy. Uśmiechnięta jednak i ochocza na pozór, siadła na kanapie przed stolikiem, zarzuconym francuskiemi romansami i żurnalami. Mąż objął jedną ręką jéj kibić, a drugą, trzymając w pewném oddaleniu dziennik, rozpoczął czytanie. Płyną potoczyste strofy „Safony“, rzewne rymy „Do granicy“.

Kobiéta pozostała chłodną: słucha z pozorną uwagą, lecz skoś-

ném spojrzeniem bada ukradkiem najświeższe żurnale, rozrzucone po stole.

— Prawda, jakie to piękne?—pyta mężczyzna.

— O czém to ona pisze?—obojętnie pyta kobiéta. — Ach, prawda!—szybko poprawia się, spostrzegłszy żdziwienie na twarzy męża—rugi pruskie, że téż na razie nie przyszło mi to na myśl. Od roku ciągle o tém mówicie. — Teraz przypominam sobie. Tak, to wszystko istotnie bardzo piękne, tylko smutne, a ja smutnych rzeczy nie lubię. Dość i tak smutków ma życie — dodaje, biorąc do ręki modne pismo.

— Niestety! smutku nie potrafimy wyplątać z pasma naszego życia — łagodnie, choć głęboko zniechęconym głosem mówi mąż; — znajdzie się on tam, gdzie na pozór najmniéj jest spodziéwany — westchnął zcicha.

— Czy Gustawowie na karnawał przyjadą?

— Wątpię. Stan zdrowia Jadzi nie pozwala jéj narażać się na niewygody podróży i niewywczas karnawałowych zabaw.. Gustaw zaś...

— O, wiem, wiejski mól; przyrósł do zagonu, pługa, nawozu, zgrubiał i zczerniał, jak chłop. Co ta Jadzia w nim upodobała, że go przeniosła nad takiego eleganckiego chłopca, jak doktór Karol.

Ruszyła ramionami.

— I teraz musi się jeszcze z temi dzieciakami kłopotać, biedaczka! Zestarzeje i nawet świata nie użyje.

— Karol był i jest niedowarzony fanfaron — przerwał cierpko mąż—nic dziwnego, że się poważniejszéj pannie podobać nie mógł; co do zabawy—bawiła się Jadzia wesoło, dopóki była w domu rodziców. Dziś, przy nowych obowiązkach, o zabawach nie myśli.

— Obowiązki, obowiązki—szyderczo powtarza kobiéta — wielkie słowo Gustawa, jego „*cheval de bataille*“ w każdéj rozprawie; udusi ją, zamęczy temi obowiązkami. Ale — *à propos* obowiązków — mój Bolku, — słodko prosi, gładząc białą rączką łysiejącą głowę męża — mój Bolku, potrzebuję koniecznie nowéj sukni aksamitnéj na bal w ratuszu.

— A cóż ma obowiązek do nowéj aksamitnéj sukni? — smutno rozśmiał się mąż.

— Nie domyślasz się? — figlarnie pyta. — Przecież mam święty obowiązek godnie reprezentować twoje stanowisko na balu — i to na balu szpitalikowym. Nie wypada, aby twoja żona — żona znanego, szanowanego, znakomitego i t. d. mecenasa, w lekkiéj sukni występ-

powała; — szczebioce z dziecięcym wdziękiem, przymilając się mężowi.

Zasępiła się twarz mężczyzny. Nie grożący wydatek kilkuset rubli taką troskę kładzie na jego czoło i w sarkastyczny wyraz składa usta — nie. On dałby wszystko, dałby życie własne, żeby w téj kobiécie, tak niegdyś kochanéj, w téj matce swoich dzieci obudzić choć jedno serdeczniejsze uczucie, rozniecić choć jedną myśl wznioślejszą. I przed zmęczonemi, smutnemi oczyma przesuwa się cały szereg bezowocnych pokuszeń, prób bezskutecznych, od owych czasów, gdy, trzymając w nieostygłych jeszcze ramionach śliczną istotę, tkliwym głosem kochanka wskazywał wyższe cele życia, tłómaczył zagadki szczęścia na ziemi. Jak wtedy, oczęta błyszczące zasnuwała mgła obojętności lub nudy, a usteczka, nie mogąc przerwać pocałunkami słów męża, odymały się gniewnym grymasem dziecinnym, lub krzywiły powstrzymywaném ziewaniem; tak i teraz, kobiéta w pełni lat, pomimo upłynionéj wiosny życia, pomimo macierzyństwa, pozostała dzieckiem—lekkomyślném i grymaśném dzieckiem.

Westchnął — a ona sądząc, że to wydatek niespodziéwany tak go smutno usposabia, znów z uśmiechem zwróciła się ku niemu i z minką naiwną dzieweczki, która nie bardzo zgadza się z poważnemi kształtami postaci, prosi:

— Nie gniéwaj się, Bolu! Widzisz, już nie wiele czasu pozostaje mi do zabawy. Za lat kilka Mania dorośnie, a dla mnie skończą się rozrywki. Nie żałuj mi na te ostatki — z westchnieniem dodaje.

— Dobrze, kochanko, dobrze—szepcze mąż, machinalnie całując białą rączkę.—A byłaś dziś przy lekcyi Mani?

— O, panna Florentyna sumiennie z nią pracuje i bez mojéj pomocy i obecności doskonale się obchodzi—niedbale odpowiada. — Narzeka, że dziewczynka się nie uczy; lecz, po co nauka, to wyższe wykształcenie, o którém wciąż mówią i piszą, kobiécie i to pięknéj, bo Mania wyrasta na śliczną pannę. Te mądre panny nie mają szczęścia do ludzi, są usypiające w towarzystwie. Mania istna iskra i śliczna — chwali córkę, jakby wyciągając ojca na pochlebne słówko dla matki.

Mężczyzna jednak milczy: ten zdawkowy komplement, o który przymawia się kobiéta, to: „wszak twoja córka“, choć wiruje w płonącéj głowie i goryczą zalaném sercu, przez usta przejść nie może.

Lęka się, biédak, lęka, aby porównaniem z matką nie uchybić córce, nie przynieść jéj nieszczęścia; zcicha tylko dodaje:

— Piękność bywa czasem zabójczym darem. Warto jednak,

abyś częściéj była obecną na lekcyi i dziewczynkę zachęciła do nauki. Dziś społeczeństwo wymaga wykształcenia od kobiéty, a i o tém pamiętać musimy, że Mania posagu miéć nie będzie.

— Oh, wielka rzecz! wszak i ja bez posagu znalazłam męża — z lekceważeniem rzuciła kobiéta.—A zresztą, to twoja wina, Bolu!

— Jakto? moja wina!—woła zdziwiony. — Czy nie pracuję, nie staram się oszczędzać, czy robię zbytki dla siebie?

— Nietylko oszczędnością można robić majątek. Dlaczego upiérasz się zawsze przy swojém widzi mi się, przy jakichś śmiesznych skrupułach i przestarzałych wyobrażeniach? Na jednéj obronie Żarskich mógłbyś był zarobić posag dla Mani. Odmówiłeś dla dziwnych, nie na czasie będących drażliwości honoru, a znalazł się drugi, co sprawę przeprowadził i pieniądze wziął, kiedy ty popierałeś urojone pretensye towarzystw dobroczynnych. Dla szczęścia dzieci należy czynić pewne ustępstwa ze swoich przekonań — imponująco głosi kobiéta.

Mężczyzna stoi blady, wyprostowany. W milczeniu słucha zarzutów kobiéty, hamując słowa gniewne, bolesne, ironiczne, które z głębin serca gwałtem cisnęły się na usta; wreszcie, chłodnym, spokojnym głosem stanowczo wyrzekł:

— Dla dzieci poświęcam pracę i stargane wysiłkami zdrowie; poświęcam osobiste przyjemności i rozrywki, do jakich miałbym słuszne prawo, ale nawet dla dzieci nie poświęcę zasad uczciwego człowieka. Nie zostawię im majątku, ale nie będą zmuszone wstydzić się ojcowskiego nazwiska.

Wyszedł. Przez salon nieoświecony machilnie ucieka do swego gabinetu. Zniechęcony, rozdrażniony, czas jakiś chodzi nierównym krokiem. Dziwna lękliwość chwyta mu duszę. Nie bierze w rachubę tych strat niezmiernych, jakie dlań wypłynęły ze związku z kobiétą ciasnego umysłu i serca, która nigdy uznaniem nie nagrodziła pracy, słowem zachęty nie podtrzymała go w ciężkich walkach. Czuje, że jest niezrozumianym w szlachetnych porywach, wyszydzonym w czynach obywatelskiéj cnoty; wié, że nie ma żony, któréj pochwała starczyłaby za poklask świata, a uznanie wynagrodziło niesprawiedliwość ludzi. Wié to i zżył się już z tém, jak z bolesną raną, jątrzącą gdzieś w głębi, co niewidzialna dla oczów ludzkich, ssie z niego soki żywotne, niszczy bólem dolegliwym zapał, wyczerpaniem — wstrzymuje rozwój moralny. Rozumié, że już nigdy nie dosięgnie zwichniętym duchem szczytów, o których marzył młodzieńcem, jest jednak pewnym siebie, pewnym, że nie sprzeda honoru, nie zaprze się zasad, że jest i zostanie uczciwym człowiekiem.

Dziś, ogarnia go lęk innego rodzaju; z niepokojem pyta:

— A dzieci? dzieci téj kobiéty, czy za nią pójdą? czy ze krwią matki wezmą smutną spuściznę jéj moralnego ubóstwa?

Zimny pot występuje na skronie, gwałtowne uderzenia serca dech wstrzymują, oczy przerażone patrzą w dal... Z ręką przyciśniętą do piersi, rwanéj dziwnym, gwałtownym bólem, stoi czołem oparty o ścianę gabinetu. Dostatek wyziera z każdego kąta wytwornéj komnaty; z ram złoconych uśmiécha się doń jasna twarz rusałki złotowłoséj, co jak biały geniusz unosi się nad biurkiem rzeźbioném, jak natchnienie dobre, zapał do pracy, zachęta, dźwigająca w górę pracownika ziemi, — a szczęśliwy losu wybraniec toczy walkę ciężką z raną duszy, z niszczącą chorobą ciała.

Po chwili odetchnął ciężko.

— No—szepce—przeszło. Dziwna to jakaś choroba, a może poprostu rozdrażnienie nerwów i zbytek pracy.

Znów ogarniają go myśli lękliwe — wyrzuty gorzkie. Dotychczas mało wglądał w edukacyą i wychowanie dzieci. Praca go pochłaniała, nadmierna, olbrzymia praca, którą pokrywa wykwintne utrzymanie domu, wymagania żony. Płaci szkoły i pomoce naukowe, a na żonę składa dalsze starania wychowawcze.

I na tém koniec. Nigdy ni słowo ojca, ni pieszczotliwa wskazówka matki nie pomagają młodym duchom w pracy wewnętrznéj, w téj tajemniczéj przeróbce wrażeń, uczuć, myśli dziecinnych, z których wyrabia się pojęcie, krystalizuje zasada, tworzy charakter.

Coś pcha go, aby wszedł pomiędzy czworo swoich dzieci, a okiem i sercem ojca spojrzał nietylko na to, czy mundurki całe i książki w porządku, lecz czy i w duszy ład i harmonia panuje.

Podniósł się i skierował ku drzwiom.

Dziwny lęk znów go ogarnia. Boi się tego, na co ma spojrzéć, drży przed tém, o czém chce się dowiedziéć.

— Nie, nie dziś — mówi. — Jestem rozdrażniony i słaby. Późniéj — jutro.

Podszedł ku szafce z książkami. Po za wielkiemi, poważnemi woluminami dzieł prawniczych, skromnie ukryte leżały drobne tomy ulubionych autorów. Ręką, nerwowo drżącą, bez wyboru chwyta jeden z tomików.

Zaledwie otworzył go pod światłem lampy, wypogadza się twarz posępna, mgła zadumy łagodzi ostro ściągnięte brwi i wygładza przerzynające czoło marszczki chmurne; uśmiéch smutny rozchyla zacięte wargi. Trzyma drobny tomik zniszczony z takim twarzy wyrazem, jakby wytarta oprawa ciepłym uściskiem dłoń jego pieściła. Oddy-

cha swobodnie, głęboko, jakby w suchém powietrzu ogrzanego gabinetu powiała woń łąki i lasu, a wiosna w całéj krasie zaśpiewała w duszy dawno niesłyszaną nutę — pieśń pierwszych drgnień serca, pieśń pierwszych rojeń młodzieńczych. Ogląda trzymaną książkę zadowolony, odmłodniały; lecz nie śpieszy zajrzéć się w jéj karty.

Po co? Wszak zna je od dziecka. Ona wzniosłą treścią kształtowała duszę młodą, budziła blaski zapału, nad poziomy, ku górze wznosiła.

Czy teraz, znękany, zgorzkniały, znajdzie w niéj ukojenie, równowagę? Czy ducha wstrzymanego w swym locie prozą życia, namiętnością, ona podźwignie, ożywi? Czy mężczyźnie da siłę urzeczywistnić w czynie szlachetne rojenia młodzieńca?

Schyla smutnie głowę.

I przed spuszczoném ku ziemi okiem staje wyraziście cichy pokój w oficynie, kółko ludzi życzliwych; widzi siebie młodym, drżącym, czytającym potężne strofy, widzi twarz białą, gorejące oczy, wpatrujące się w niego, słyszy łkanie bolesne wzruszeniem targanego serca. Na czole czuje pocałunek czystych ust dziewiczych. I dziwi się, dlaczego z taką plastyczną wyrazistością występuje z głębin przeszłości ten wdzięczny obrazek, czemu on sam znajduje w nim jakąś rozkosz nieznaną, spokojną, czystą, przy któréj lżéj pierś oddycha, jaśniéj oczy widzą, swobodniéj ku górze myśli płyną, a serce dziwnie szerokiemi, wzniosłemi uderza tętnami.

Rzucił się niecierpliwie.

— Robię się nerwowy, jak kobiéta — oburknął się sam na siebie.—Wspomnienia studenckie, chorobliwe halucynacye — marzycielstwo zapóźnione!... Ha, trzeba się léczyć, wyjechać gdzie z wiosną, bo jednak czuję coś niezwykłego... tu, w piersiach i sercu. Za wiele pracuję — przejdę do resursy; towarzystwo i gawęda wesoła uspokoi mnie i do równowagi powróci.

Rzucił książkę i szybko wyszedł. W przedpokoju lokaj narzucił nań kosztowne futro.

— Kto jest u dzieci? — pyta, słysząc gwar niezwykły w stronie dziecinnego pokoju.

— Panicz i panienki państwa doktorów. Pan doktór przeszedł do pokojów pani—odpowiada sługa.

Dziwna duszność dech mu zaparła.

— Idź, sprowadź sanki—rozkazuje słudze.

Zrzucił futro. Wolno wchodzi do jadalni, a minąwszy drzwi salonu kieruje się w stronę dziecinnego pokoju. Z po za drzwi niedomkniętych wybuchają wesołe śmiechy, urywane słowa. Może chce

w téj wesołości niewinnéj, w tym woniejącym wyziewie młodości skąpać chorego ducha, z lękliwości i strasznych widziadeł go uleczyć.

Uśmiechnięty—stoi, słucha.

Szelest rzucanych kart doszedł jego ucha: marszczy brwi mimowoli.

— *Trèfle* — pas. Ot, panie, karta — śmieje się głos młody. — Znów będzie szlem.

— Po twojém zdaniu — pewno. Czemu nie obracasz uwagi na grę? Karol—monituje głos drugi.—Ziewasz i ziewasz.

— Zmęczony jestem—tłómaczy się nazwany Karolem — prawie nie spałem téj nocy.

— Cóż, lekcye odrabiałeś—pyta syn adwokata.

— Ha, ha, ha, ten o nauce gada — dość z nią kłopotu w gimnazyum.—Czytałem.

— Znasz, Karol—szepcze syn Bolesława — u mnie jest książka, ale co za książka!

— No,—pyta ciekawie drugi—pożyczysz?

— Dobrze, tylko ostrożnie, żeby stary nie złapał.

— Eh, ma on tam czas myśléć o naszych książkach! Jaki tytuł?

— Barbara, czyli tajem...

— Ha, ha, ha, otóż nowość — jest co czytać, jeszcze w drugiéj klasie czytałem—z przechwałką mówi Karol. — Ja, to czytam prawdziwą nowość, arcydzieło, prosto cudo, powiadam ci. Bodaj-to ostatni zwrot w literaturze! Te szelmy Francuzy tak piszą, że człowieka febra trzęsie i tchu złapać nie może, a po nocach snują mu się cudowne obrazy. Mój czyta „Nanę“, a ja ją zręcznie wykradam. Ot, panie, rzecz! — A żebyś wiedział, jakie mój stary ma fotografie w albumie! Czysta rozkosz! napatrzéć się nie możesz!

— Cyt... dziewczęta słuchają.

— E, te nasze dziewczęta, chude, blade wymoczki bez ciała — lekceważąco krytykuje Karol.—W takich gustować nie możesz. Na teatrze, jak te śliczne baletniczki zaczną nóżkami migać i rączki wyciągać, to zaraz człowiek czuje, że krew mu żywiéj w żyłach krąży. I wasza Mania—niczego. Figurka okrągła, a oczy jak błyszczą. Za jaki rok, będę się w niéj kochać na umór.

— I Lipińskich Zosia nie szpetna, — chwali półgłosem syn adwokata. — Oczy czarcie, aż żar z nich bucha, a twarda i jędrna — jak rzepka.

— Ściskałeś ją?—zaśmiał się Karol.

— O, przecież z nią tańcuję—odpowiada drugi.

Zaśmieli się głośno, szepcząc coś zcicha.

Z przeciwległego końca pokoju dolatują cienkie głosiki dziewcząt. „Falbanki, kaszmir, tiurniury, treny“ — wyraziście dzwonią raz po raz powtarzane w żywéj rozmowie, przeplatanéj szeptem i wybuchami śmiechu.

Zbliżyły się do drzwi.

— Śliczna z was młodzież, nie ma co mówić — z urazą mówi doktorówna. — Damy w pokoju, a panowie w karty grają i papiérosy palą. Chodźmy do salonu, Maniu, nie można pozwalać, żeby nam ubliżano.

— Śliczna Milciu — żywo woła syn adwokata — na przeprosiny przyjmij to. Rozległ się odgłos pocałunku.

— No, no — zaśmiały się dziewczęta—obejdziemy się bez przeprosin, a przy kolacyi poskarżę się na waszą niegrzeczność mamie.

— O, wielka rzecz! Bardzo się mama pogniéwa! Niby całus to coś tak zdrożnego. Widziałem wczorajszego dnia, jak wasz ojciec musnął mamę po twarzy swemi ogromnemi wąsiskami, a ona mu tylko wachlarzem pogroziła.

— Bardzo się jéj boję—oj, oj! Raz jeszcze Milcię pocałuję.

Gwarnie zaprotestowały dziewczęta. Zabrzmiał śmiech, odgłos gonitwy, przewracanych stołków, szamotania.

Śmiertelnie blady człowiek, ze spuszczoną głową, odszedł.

— Sanki czekają, jaśnie panie!—oznajmia lokaj.

— Zapłać i odeślij — szepnął — zostaję w domu. Gdzie nauczycielka.

— Wyszła do miasta na godzinę.

— Dobrze. Powiédz panienkom, żeby przeszły do salonu i pokojów pani. Herbatę przynieś do gabinetu. Chcę być sam...

Był „sam“ wśród najbliższéj rodziny; nędzarz—w wyrafinowanych wygodach dostatku. Niepodzielona myśl, wyszydzone hasła, niezrozumiane uczucie, jak klosz machiny pneumatycznéj oddzieliły ducha jego od najbliższych, łachman żebraka rzuciły na ramiona harde, które niegdyś, niegdyś — królewską purpurą młodości i zapału zdobne — gotowe były świat na nowe pchnąć tory, podeprzéć niebios sklepienie.

I cóż pozostało z pragnień młodych, zamiarów śmiałych, hardych pożądań ducha i ukochań serca?

Garstka zwarzonych kwiatów, zwichnięte skrzydła, rwący ból w piersi, pokorne pragnienie ciszy, zapomnienia. W chaosie wirujących myśli—widzi się wykolejonym z dróg, które do szczęścia prowadzą, wydziedziczonym ze skarbów świętego uczucia rodzinnego,

co promieniując z naszéj gorącéj piersi ożywia serca ukochane, budzi w nich szlachetność, przeléwa spuściznę ducha, a późniéj, późniéj — odblaskiem ich młodych zapałów opromienia siwiejącą skroń naszą.

Na świat, w szale rozigranych zmysłów, ściągnął gromadkę istot niewinnych, — a czy kieruje niemi tak, aby stanęli do pracy sposobni?

A sam—czyż nie czuje, że wszelka praca jest mu już tylko obowiązkową, rzemieślniczą pracą dla chleba i zarobku?

— Dlaczego tak się stało, dlaczego?—pyta z rozpaczą, zaciskając dłonie. — Gdzie jest moja młoda wiara, moje wzniosłe ideały? W szalonéj pogoni za rozkoszą roztrwoniłem je i dziś odarty, złamany, stoję jak ruina. I śmierć lżejsza nad takie przeżycie ducha, nad taką grobową pustkę w sercu...

Śmierć, — duma znękany — śmierć: chwila wstrząsająca bolu, parę drgnień spazmatycznych... i cisza... i spokój... i błogość... I serca żal nie ściska, i myśli nie nęka dociekanie, i duch nie targa się boleśnie w ciasném, niewygodném więzieniu — a leci swobodnie w błękity, w jasność, ponad błoto ziemi, ponad cierpienie i nędzę, ponad pracę i walkę. Zostawia za sobą z tą ciężką powłoką niskie jéj instynkty, zdrady, zawody,—wielkie cierpienia i drobne rozkosze ziemi. Śmierć... to cichy spoczynek, to przystań spokojna, jedyny, ostateczny puhar zapomnienia w biesiadzie życia.

Coraz powabniéj występuje przed zmęczone oczy ta bladolica czarodziejka, co zimną dłonią goi palące rany życia, a obejmując w chłodne ramiona, daje znękanym pocałunek pokoju.

Z załamanemi rękoma, z odrzuconą w tył głową — duma. I na wzburzonych falach myśli wypływa znów jasny, świetlany obrazek.

Przy okrągłym stole widzi siwego mężczyznę, dwóch chłopców i dziewczę młodziutkie.

— Nie, nie — głośno woła. — Broń mnie, jasny promieniu mojéj młodości, broń mnie, broń—z namiętnym uporem coraz ciszéj powtarza.

— Od czego? — pyta sam siebie w głębi smutnéj duszy. — Nie obroniłeś mnie od szałów niegodnych, nie powstrzymałeś nad przepaścią ślepéj namiętności, nie dźwignąłeś na białych skrzydłach nad bagno ziemi, skarży się z żalem i wymówką: czy zdołasz teraz w rozbiciu szczęścia wspomnieniem uratować od zniechęcenia? Czy dasz siłę, aby bez potężnego wsparcia miłości, spełnić obowiązek?

Gryff.



HERMAN SUDERMANN.

ZARYS LITERACKI.



W chaotycznym wirze dążeń, prądów i kierunków, jakich widownią jest obecnie literatura niemiecka, niełatwą jest rzeczą odnaleźć nić przewodnią współczesnego ruchu piśmienniczego i skreślić wierny i dokładny wizerunek jego całokształtu. Twórczość literacka Niemiec, nie ustępująca obecnie pod względem ożywienia i obfitości ani francuskiéj, ani skandynawskiéj literaturze—ma wiele wprawdzie stycznych zarówno z pierwszą, jak i drugą, ale pod wielu względami jednéj i drugiéj pierwszeństwa ustąpić musi. O ile bowiem literatura francuska wykazuje niezaprzeczoną wyższość artystycznego wykończenia, a skandynawska zdumiewa świat czytający niepohamowaną siłą żywotnych i do głębi poruszających idei:—o tyle zbywa współczesnéj twórczości niemieckiéj zarówno na wytwornéj technice, jak i na poruszającym świat zapale apostolstwa. Współczesna literatura francuska, to oszklona cieplarnia, hodująca najdziwaczniejsze rośliny i kwiaty, odurzające lub odstręczające swą wonią; piśmiennictwo skandynawskie to łan falistych, a pożywnych zbóż w otoczeniu ponurych krajobrazów fiordów, skał i borów; w Niemczech egzotyzm oranżeryi miesza się z wonią lasów szpilkowych, a gorące tchnienie południa mrozi zimny podmuch północy.

Nigdzie też literatura współczesna nie wykazuje tak dzikich nieraz kontrastów między poszczególnemi kierunkami i szkołami, jak w Niemczech. Skrajny idealizm Heyse'go, ulatujący pod obłoki najwybujalszego romantyzmu, mieści się bardzo dobrze obok surowego naturalizmu Kretzera: zmysłowa lubieżność Conrada idzie rę-

ka w rękę z „światoburczą” frazą Bleibtreu'a i Alberti'ego; a głęboki liryzm Harta i Liliencrona brzmi w takcie pobudki rewolucyjnych pieśni Henckla, Mackay'a i innych. Każdy niemal z wymienionych tu pisarzy tworzy szkołę, około którój grupuje się falanga młodych, nie tyle w talent, ile w silne płuca uposażonych naśladowców, którzy z niesłychaną wrzawą i hałasem oznajmiają światu wielkość swoich mistrzów i własne swoje znaczenie.

Rozpatrując się po czasopismach i organach powyższych grup literackich, napróżnobyśmy szukali tam nazwiska Hermana Sudermanna. Utalentowany autor „Honoru” nie zalicza się do żadnéj „szkoły” i nie stoi w żadnym związku z gronem „młodych” lub „najmłodszych” pisarzy i — co ostatecznie każdego, nieco lepiéj ze stosunkami literackiemi Niemiec obznajmionego, zadziwić musi—dotąd na żadną ewangelię literacką nie przysięgał. Z powodu tego odosobnienia, niewątpliwie dobrowolnego, spotykały Sudermanna niejednokrotnie dość ciężkie (w literackiém słowa rozumieniu) zarzuty: połowiczności, oglądania się na starych etc. a organ Conrada „*Die Gesellschaft*” wystąpił nawet otwarcie z zapytaniem: „Dlaczego autor „Honoru” stoi zdala i obojętnie od prądów realistycznych; dlaczego nie bierze udziału w żadnym z istniejącym organów realistów niemieckich i nie zamieszcza swoich prac ani w „*Gesellschaft*”, ani w „*Moderne Dichtung*”, ani we „*Freie Buhne*”? [1]). „Widocznie—objaśnia redakcya—nie chce się Sudermann jawnie przyznawać do kierunku, przez pisma te reprezentowanego, ponieważ nie chce zrywać ze szkołą „starych”. Dla tego téż uważamy za stosowne na podstawie oceny jego zachowania się i wydawanych przezeń utworów zaznaczyć otwarcie, że Sudermann z zasadniczą ideą realizmu i sztuki nowoczesnéj (*modern*) nic a nic nie ma wspólnego; że należąc do szkoły „idealistów” (*Idealistiker*) przywdziewa w „Honorze” tylko zręczną maskę zewnętrznych cech realistycznych, ażeby sobie w ten sposób zaskarbić względy zwolenników realizmu, a nie zrażać jego przeciwników” [2])

O ile surowy ten sąd ma racyą i czy ją ma wogóle—zobaczymy poniżéj; tu zaznaczyć tylko wypada, że najważniejszą podstawą do oceny literackiego kierunku i twórczości Sudermanna, będą dla nas przedewszystkiém własne jego pisma i utwory.

Dorobek literacki autora „Honoru” przedstawia się dość skromnie: dwa tomy nowel, dwie powieści większe i dwa dramata wy-

---

[1]) Są to trzy najwybitniejsze organa realistów niemieckich.

[2]) „*Gesellschaft*” z r. 1890: tom IV, str. 1515—1516.

czerpują w zupełności dotychczasową jego działalność na arenie publicznéj. Materyał to — na ilość — niezbyt obfity; posiada atoli tę ważną zaletę, że jest różnorodnym i nadaje się do wszechstronniejszego oświetlenia postaci swego twórcy.

Trzymając się chronologicznego porządku, musimy zacząć przedewszystkiém od zbiorku, zatytułowanego „*Im Zwielicht*" (W półmroku), *zwanglose Geschichten* (Berlin 1886), zawierającego dwanaście drobnych szkiców, nowel i fejletonów, pisanych z wielką wprawą, elegancyą i lekkością. Ulubionym tematem Sudermanna jest „flirt", zakrawający gdzieniegdzie na głębsze uczucie; a w sposobie, jakim autor najdraźliwsze sytuacye omija i najdramatyczniejszym kolizyom zawsze mniéj więcéj łagodny i pokojowy wygląd lub conajmniéj wynik nadać się stara—przebija się dosadnie szczególny optymizm, czasem lekką ironią lub sarkazmem zaprawny, po którym niktby się późniejszego autora „Końca Sodomy" domyślać nie mógł. W zbiorku rzeczonym optymizm ten korzystnego wrażenia nie robi; nie cechuje go bowiem wyższość filozofa, obserwującego pobłażliwie drobne sprawy i zdarzenia życia codziennego, ale owa—tak częsta u Niemców *Gemüthlichkeit*, która w silnym kontraście do przysłowiowéj niemieckiéj uczuciowości i refleksyi nie umié, czy nie chce się dać porwać i zapalić. Przytém posiada Sudermann wielką dozę humoru i ironii, którą sfery burżuazyi niemieckiéj często umyślnie, częściéj jednak mimowolnie, dość boleśnie dotyka. Głębszego etycznego podkładu intencyi w tém nie ma; jest jednak zdrowy zmysł praktyczny, nie pozwalający na drastyczności zbyt wielkie, na wybryki nienaturalne i przykre... Książka Sudermanna, czytana „do poduszki" nikomu snu nie zmąci, a na fantazyą lub zmysły rzadko silniéj podziała. Przelotna miłość włoskiego maëstra dla śpiewaczki szwedzkiéj, przemieniająca się pod wpływem jéj uroku dziewiczego w prawdziwą i niezaspokojoną namiętność i kontrast dwóch sióstr: cnotliwéj i zepsutéj przedwcześnie („Gwiazdy, których się nie pożąda"); omyłka tenora, który w roztargnieniu uwielbiającéj go kobiécie, zamiast wachlarza wręcza klucz do... mieszkania, przeznaczony dla innéj („Przemieniony wachlarz"); obłuda żony, zdradzającéj z kochankiem męża, oczekującego ją na dworcu kolejowym z dziećmi („*La donna è mobile*"); ekscentryczne przywiązanie panienki dworskiéj do pastucha, zmrożone po kilkoletniéj rozłące chciwością wiejskiego dandysa („Pastuch gęsi"); wyznanie starego przyjaciela domu, uczynione mężowi w rocznicę śmierci żony („Wigilia przyjaciela"), zawiedziona miłość kobiéty starszéj do młodego zapaleńca („Przyjaciółka"); kąpielowe awantury niedoświadczonego

żółtodzioba z wielką damą szukającą zabawy („On pragnie ją poznać"); hypokryzya dam wielkoświatowych, szukających pod pozorem pociech religijnych lub filantropii społecznéj: sposobności i uświęcenia dla swoich miłostek („*Où est l'homme?*"); miłość artysty, rozbijająca się o zimną obojętność kochanki, któréj całość sukni balowéj droższą jest od uścisku narzeczonego („*Noli me tangere*") — oto w krótkim zarysie treść dziewięciu szkiców i nowel, zawartych w zbiorku „*Im Zwielicht*".

Pozostają trzy, w których głębszéj satyry lub myśli dopatrzyć się można, a mianowicie: Udatny opis życia małomiasteczkowego, w którém kobiéta, jadąca do sąsiedniego miasta dla tuszów i basenu rzymskiéj łaźni—naraża się na najohydniejszą obmowę dlatego, że ongi w podobnych zakładach dopuszczali się wyuzdania... Rzymianie („Łaźnia rzymska"); satyra na wychowanie dziewcząt w sferach mieszczańskich, polegająca na tresurze salonowéj, gdzie uśmiech obłudny pokrywa wszystkie „niedozwolone" myśli i pragnienia („Jéj uśmiech"); wreszcie zdemaskowanie owéj rzekomo głębokiéj miłości synowskiéj dla matki u człowieka, w oczach którego każda inna kobiéta posiada tylko wartość zabawki, jaką się po zużyciu wyrzuca na śmiecie („Wzorowy syn").

W tych szkicach dopuszcza się Sudermann wyjątkowo śmiałéj, a ostréj krytyki dzisiejszéj burżuazyi, i t. zw. „towarzystwa". „To co my dzisiaj nazywamy „towarzystwem"—powiada np. w pierwszéj z powyższych trzech nowel — jest właściwie norą zepsucia, o atmosferze, przyduszającéj nasze zdolności, spaczającéj charaktery i podsycającéj — w najlepszym razie — naszą próżność". Kobiéta z tych sfer—to pijawka, wysysająca krew i mózg otoczenia, dla zaspokojenia swojéj żądzy błyszczenia. Wykształcenie jéj — to iluzya. „Historya — to w jéj oczach zbiór anegdot mniéj lub więcéj interesujących; w sztuce widzi środek upiększający życie; teatra i galerye obrazów służą jéj za wystawę własnych wdzięków; uczeni i poeci o tyle mają prawo do jéj uznania, o ile zdobią jéj salony i buduary..."

Te i tym podobne uwagi świadczą bądź co bądź o dość bystrym zmyśle spostrzegawczym autora i żyłce satyrycznéj. Tém dziwniéj uderza zupełny jéj brak zaraz w następnym utworze Sudermanna, w powieści wydanéj równocześnie ze zbiorkiem powyższym, a zatytułowanéj „*Frau Sorge*" (Pani Troska).

Jestto opowiadanie romantyczne, trzymane w tonie baśni rycerskiéj o zaczarowanych królewnach i walecznych młodzianach, zdobywających ich rękę; opowiadanie naszpikowane ciężkim, nieraz mdłym sentymentalizmem germańskim, pełne najnieprawdopodo-

bniejszych sytuacyi i wypadków i nie okazujące najmniejszej ze strony autora znajomości prądów i walk spółczesnych. A jednak przedstawia idea zasadnicza utworu, jako objaw wprost z życia zaobserwowany i użyty za tło powieści — niezwykle bogaty i wdzięczny temat dla prawdziwego poety. Jest nią dola człowieka, któremu fatum złowieszcze zamknęło wszystkie drogi do szczęścia i tysiączne stawia zapory w urzeczywistnieniu dążeń i dopięciu zamierzonego w życiu celu. Owo fatum, owa *atra cura* horacyuszowska, co to jak nietopérz trzepoce się pod sufitem, albo sadowi się z tyłu na siodle jeźdźca i na okręcie go ściga, prześladuje stale i niezmiennie bohatera powieści. Nad kołyską Pawła Meyerhofa została od pierwszéj chwili jego urodzin owa „kuma troska", o któréj tak pięknie powiada Goethe (w II części „Fausta"), że na kogo ona dłoń położy, temu cały świat już nie pomoże, ni temu

w mrocznéj chmur powodzi
Słońce wschodzi lub zachodzi.
Choć zmysł pełną siłą włada,
W głębiach duszy mrok osiada.
Przy najsutszym skarbów tłumie
Skarbu posiąść on nie umié;
Wśród dostatku głód go męczy,
Szczęście i nieszczęście dręczy.
Ból i rozkosz z trwogą bada,
Cel na drugi dzień odkłada,
Czeka przyszłych tam obrotów,
Nigdy sobą być nie gotów [1]).

I zatruła mu życie od chwili, w któréj go zaznawać, w któréj czuć i myśleć zaczynał. Urodzony w dniu, gdy posiadłość ojcowska drogą licytacyi przeszła na własność nowonabywców Douglasów, spędził młodość na ubogim folwarku, znosząc złośliwe kaprysy starszych braci i niechętne spojrzenia ojca, który po rychłéj śmierci matki otwarcie mu swą nienawiść wyznawał. Paweł jak niewolnik poświęca się dla rodziny; zapracowuje się, aby opuszczone i zaniedbane przez ojca gospodarstwo podnieść i przyprowadzić do ładu; utrzymuje na studyach braci; ratuje przed hańbą siostry; a w końcu sam podpala dobytek własny, aby ojca od zbrodni, a Douglasów od nieszczęścia uchronić. Najgłębszą pobudką jego działania jest silne niekłamane poczucie obowiązku i — miłość do nowéj dziedziczki, Elżbiety, córki Douglasów, która po śmierci matki oddaje szlachetnemu wybawcy serce i rękę.

---

[1]) Przekład F. Jezierskiego.

Banalne to zakończenie dostraja się do większéj części akcesoryów, w jakie Sudermann treść powyższą przybrał, zostaje ono natomiast w zupełnéj sprzeczności i z charakterem bohatera i z naturalnym biegiem akcyi. Pomimo to niepodobna zaprzeczyć, że „*Frau Sorge*“ obfituje w ustępy udatne a charakterystyka niektórych postaci zasługuje na wszelkie uznanie. Odnosi się to przedewszystkiem do bohatera. Mniéj dobrze wypadła postać ojca, jadem i żółcią przepojonego starca; natomiast świetną nazwać trzeba charakterystykę epizodycznych figur: zmysłowych sióstr Pawła i ich kochanków.

W dwóch nowelach, wydanych w dwa lata późniéj pod wspólnym tytułem „*Die Geschwister*" (Rodzeństwo), treść obraca się znowuż około wiecznie zużywanego, a nigdy zużyć się niedającego tematu: miłości. Tym razem atoli forma, jaką uczucie to przybiera u bohaterów, jakkolwiek może nie jest nowa ani oryginalna, interesuje bądź co bądź swą niezwykłością. Rywalizacya dwóch braci o serce jednéj kobiéty — niezawodnie nowym tematem nie jest; przedstawia atoli tyle zajmujących stron dla psychologa, nastręcza tyle kwestyi i trudności artystycznych—że pokuszenie się o odtworzenie procesu duchowego osób, w kolizyą podobną wchodzących, świadczy w każdym razie o śmiałości autora.

W „Historyi cichego młyna" kreśli Sudermann stosunek wzajemny dwóch, gorąco do siebie przywiązanych braci, z których jeden zapałał namiętnością do żony drugiego. Zręczném skontrastowaniem charakterów obu braci ułatwił sobie Sudermann przeprowadzenie psychologicznego rozwoju uczucia od lekkiéj dla żony brata sympatyi aż do płomiennéj namiętności, łamiącéj wszystkie względy. Miłość zakazana, ukrywająca się przed okiem niepodejrzewającego — zresztą — męża, sprawia kochankom niewysłowione męczarnie. Młodszy brat postanawia nareszcie poświęcić się i opuścić rodzinną zagrodę. W chwili pożegnania atoli następuje katastrofa, którą obaj bracia, dzięki przypadkowemu osunięciu się w głębie potoku młyńskiego — przypłacają życiem. *Deus ex machina* zamiast rozwiązać—przecina węzeł zagadnienia.

Podobnież—choć z większém prawdopodobieństwem — postąpił sobie autor i w drugiéj, na tenże temat napisanéj powiastce, p. t. „Życzenie". Treść *mutatis mutandis* ta sama, co w poprzedniéj, ze zmianą akcesoryów. Zamiast dwóch braci występują dwie siostry, z których jedna (niezamężna) kocha się w mężu drugiéj, ponieważ... czuje się i jest od niéj zdrowszą i sposobniejszą (!) dla niego. Gdy Marta umiéra w połogu; Olga (która, mimo swego do niéj przy-

wiązania, nie mogła się opędzić cichemu życzeniu: „Obyż tylko umarła!" uczuwa wyrzuty sumienia, nie chce przyjąć ręki szwagra, gdy ten się o nią oświadcza i w końcu zażywa truciznę.

Zakończenie to, przypominające żywo „*Rosmersholm*" Ibsena, potwierdza w zupełności to, cośmy powyżéj powiedzieli o poprzedniéj noweli. Tu dla ścisłości zaznaczyć jeszcze należy, że w technice obu utworów znać wielki i zaprzeczyć się nie dający postęp. Postaci obu braci Felshammerów („Historya młyna"), jak i obu siostr Bremer („Życzenie"), a zwłaszcza znakomicie skreślona postać Gertrudy, żony Felshammera: ognistéj i namiętnéj, a niemniéj i na wskroś dziewiczéj natury — należą bezwątpienia do najlepszych, jakie Sudermannowi stworzyć się udało.

Technicznego wydoskonalenia świadectwo złożył autor „Rodzeństwa" w następnéj, większéj swojéj powieści: „*Der Katzensteg*", osnutéj na tle wypadków z r. 1807. *Katzensteg* zwała ludność wsi Schranden przesmyk sztuczny, którym pod wodzą pana v. Schranden przedostali się do wsi Francuzi i zaskoczywszy znienacka obozujące tamże wojsko pruskie — w pień wycięli nieprzyjaciela. Nienawiść i wzgarda chłopów schrandeńskich przeszła dziedzicznie na syna zdrajcy, Bolesława, który mimo cudów waleczności, jakich dokazywał w walce z wrogami, nie zdołał zrzucić z siebie brzemienia wzgardy i hańby, które do nazwiska jego przylgnęło. Niechęć ogólną potęgowało jeszcze imię Bolesława, przypominające pochodzenie ojca z matki Polki, któréj pamięć była „złym duchem rodu całego", wsączającym w żyły Schrandenów miłość do kraju obcego, a nienawiść dla Niemiec. „Imię to ciążyło mu w erze rozbudzonego szowinizmu jak ciężar i zakała, piętnująca go wobec wszystkich (!); to też w szeregach walczył pod przybranem nazwiskiem, a wróciwszy z wojny spotkał się z głęboką odrazą i niechęcią ludzi. Chcąc nie chcąc musiał podjąć walkę z przeciwnikami — samotny i odosobniony; na opustoszałem bowiem i nawpół spalonem zamczysku mieszkał sam jeden z byłą towarzyszką ojca, Reginą Hackelberg u boku, którą, jako żywe przypomnienie rozwiązłego starca, nienawidził z głębi duszy i za psią wierność odpłacał pogardą. W długich chwilach osamotnienia atoli przyzwyczaił się Bolesław do Reginy; przywiązanie jéj, nieustraszoność i pogarda życia, którą okazywała, ilekroć miała mu wyświadczyć przysługę, zjednały z początku jego podziw, a potem i wdzięczność. Zrażony głupotą dawnéj swojéj bogdanki, córki miejscowego pastora, zaczynał powoli skłaniać się ku bohaterskiéj Reginie, gdy w tém niespodziana śmierć z ręki skrytobójcy, pozbawiła go jéj nazawsze. Kula, przeznaczona

dla Bolesława, zabiła wierną jego służebnicę, która padła z ręki własnego ojca. Bolesław wyrusza na pole walki i tam znajduje śmierć pełną chwały.

Niewyszukaną, choć dziwaczną czasami treść powyższą, ubrał Sudermann w formę, która powieść „*Der Katzensteg*” stawia ponad wszystkie, dotychczas rozpatrywane utwory. Wyborna charakterystyka tak głównych, jak i ubocznych postaci, a z tych zwłaszcza: pastora i spanoszonego chłopa Merckla; wspaniałe opisy przyrody i zamku, wreszcie styl jędrny i dramatyczności pełna akcya—składają się na całość artystycznie wykończoną i głębokie sprawiającą wrażenie.

Po za artystyczną t. j. techniczną atoli stroną utworu uderza przykro u pisarza téj miary, co Sudermann, ton szowinistycznéj zaciekłości wobec wszystkiego, co nie niemieckie, lub niemieckiemu nie sprzyjające. Powieść pisana niedawno (1890) może uchodzić za wyraz politycznych przekonań autora, streszczających się w fanatycznem polakożerstwie. Cytata powyżéj przytoczona dała już czytelnikom przedsmak téj przyprawy powieściowéj; przybiera ona atoli wprost przykry i wstrętny charakter tam, gdzie zaciekła nienawiść do wszystkiego, co polskie, przebija się w brutalnych, obelżywych słowach i epitetach (por. str. 22, 29 i 112 powieści).

Powieścią „*Der Katzensteg*” zamknął Sudermann dotychczasową swą działalność powieściopisarską. Na szerokim torze literatury niemieckiéj nie zaznaczył on nią ognistych i niezatartych szlaków. Tłum równych mu i przerastających go powieściopisarzy zatrze prędko drobne ślady, a po kilkudziesięciu latach krytyka ze zdziwieniem rozglądać się będzie po utworach, które chwilowe powodzenie i reklama wyniosły na niezasłużone wyżyny. Sprowadziwszy je do odpowiedniego poziomu, taż krytyka niezawodnie przyzna Sudermanowi talent powieściopisarski i prawdziwy temperament pisarski, ale sąd ten dalekim będzie od superlatywów zachwytu, jakiemi się dzisiaj popisują recenzenci niemieccy.

Żyjąc w epoce przełomu, musiał Sudermann nagiąć się do wymagań chwili, podsłuchać jéj życzenia i pogodzić tradycye przeszłości z hasłami ery nowoczesnéj. Wynikł z tego pewien brak stanowczości, zdecydowania, a jak mu zarzucają przeciwnicy: nawet rażąca połowiczność; — ale tłum nie znosi surowéj prawdy i pragnie mieć ją przybraną w szatę poliszynela, z pod któréj tu i owdzie surowo przebłyska rzeczywistość.

Metodę tę umiał Sudermann zręcznie stosować w swych powieściach; prawdziwego natomiast mistrzowstwa dowody w tym względzie złożył w dwóch swoich dramatach, które go od razu postawiły na szczycie europejskiéj sławy i popularności.

W „Honorze" poruszył Sudermann dwie sprawy „na czasie", a mianowicie: stosunek proletaryusza do wyzyskującego pracę jego i cześć rodzinną bogacza i elastyczność pojęcia honoru w rozumieniu feudalno-burżuazyjnéj rycerskości nowoczesnéj. Druga z poruszonych spraw sama przez się nie nowa — bo rozstrzygnięta dawno przez wszystkich ludzi myślących, — ujęta zręcznie i wysunięta na plan pierwszy, przemówiła silnie do przekonań i umysłów kół mieszczańskich, a efektowne jéj „rozwiązanie" zjednało autorowi ogólny ich poklask. Przez usta rezonera w sztuce, hr. Trasta, figury na to wprowadzonéj, aby wszystkie zawikłane kolizye dramatu rozplątywać, a niezrozumiałe sytuacye objaśniać, wypowiada Sudermann pogląd swój na znaczenie i wartość t. zw. „honoru". Honor — według niego—nie jest pojęciem ścisłém, określoném i stałém, lecz dzieli się na tyle odmian i rodzajów, ile warstw posiada dane społeczeństwo. Każda sfera społeczna, nacechowana pewną ekonomiczną dojrzałością, wytwarzając dla siebie osobną sferę uczuć moralnych, uwarunkowanych otoczeniem i potrzebami duchowemi — stawia sobia własne pojęcie honoru, którém się rządzi i kieruje.

To téż kontrast, istniejący między sferą uczuć moralnych „oficyny", zamieszkanéj przez rodzinę okaleczałego robotnika Heinecke, a „pałacu", zajmowanego przez mieszczańską familię Mühlingków— tłómaczy się w oczach autora nietylko olbrzymią różnicą ekonomicznych warunków bytu, lecz także—i to przedewszystkiém — kastową poniekąd odrębnością i przeciwieństwem całego duchowego i umysłowego obu warstw rozwoju. Gdy fabrykant, spanoszony trudem i pracą wiernego pomocnika i sługi, wstydzi się i nie chce przypuścić go do swego otoczenia, uważając obcowanie z nim, jak z równym sobie — za ujmę dla swego honoru; gdy syn tegoż wyzyskiwacza, korzystając z nieświadomości i nędzy robotników, uwodzi ich córkę i pogrąża ją w hańbie, a za podłość swoją płaci złotem — wówczas adwokat autora, hr. Trast staje przed rampą i objaśnia: Oto naturalny i logiczny wynik różnicy pojęcia honoru, przeciwko któremu protestować byłoby nierozumném szaleństwem i zaślepieniem. Kiedy natomiast wyzyskiwany i poniżany robotnik, stając w obronie najświętszych praw swoich, chce pomścić hańbę swoją i swojéj rodziny, wówczas tenże hr. Trast wstrzymuje jego rękę i woła patetycznie: „Nie wolno! nie masz prawa! wszak ci, których bronisz, zupełnie inne, niż ty, mają pojęcie honoru!"—Takie „rozwiązanie" sprawy bądź co bądź nie rozwiązuje jéj wcale, a co gorsza — musi uchodzić za wyraz bardzo powierzchownego i płytkiego na świat i ludzkość poglądu.

Upiększenia, w jakie Sudermann „tezę" swoją przybiera — nie podnoszą wcale jéj wartości etycznéj; natomiast trzeba im przyznać lwią część zasługi w zdobyciu tak niebywałego dla sztuki powodzenia. Tyrady hr. Trasta, o ile dotyczą sfery pojęć burżuazyjnéj, jéj właściwości, śmiesznostek i zwyczajów, a nie sięgają głębiéj do „przeciwieństwa oficyny do pałacu",—wyrażają trafny i zdrowy pogląd na t. zw. „honor", w znaczeniu pięknéj kokardki, z którą lada łotr lub gogo paradować potrafi. One téż najbardziéj trafiają do przekonania widza; odnosząc się bowiem do toku życia codziennego, są niejednokrotnie wyrazem uczuć i przekonań ogółu.

Podobnież zręczne użycie największego i najdrastyczniejszego w dzisiejszym ustroju społecznym kontrastu oficyny do pałacu za tło zwykłéj intrygi mieszczańskiéj, kończącéj się „poślubieniem Numy przez Pompiliusza" — o ile z jednéj strony świadczy o wielkim darze kombinacyjnym autora, o tyle niezawodnie dodało sztuce jego wielkiego w oczach masy waloru. O pogłębieniu kwestyi — nie mogło w tym wypadku oczywiście być mowy. Sudermann aż nadto dobrze znał swoją publiczność i wiedział: co i jak jéj podać na talerzu. Rzecz ciężka stałaby się niestrawną; natomiast zręcznie wybujałą pianą można było sobie pozyskać szerokie koła amatorów.

Jak bardzo zaś utwór Sudermanna zjawił się „na czasie" i jak był wyrazem rzeczywistéj potrzeby wobec zajęcia się publiczności poruszoną w nim sprawą — o tém świadczy cały szereg dramatów, komedyi i sztuk wszelakiego rodzaju, które w ślad za „Honorem" obiegły sceny niemieckie i obce i prawdziwie zdumiewająca obfitość rozpraw i broszur z powodu tegoż dramatu wydanych [1]).

Sfera mieszczańska, któréj „Honor" tak niewymownie przypadł do smaku, mimo gryzącego sarkazmu, biczującego jéj wady i śmieszności,—odsłoniła przed oczyma Sudermanna nowe światło i nowe skarby obserwacyi. Zagadnienie, zręcznie użyte w poprzednim dramacie, przedstawiło się poecie ze strony drugiéj, nie tak ponętnéj i śmiesznéj, lecz owszem ponuréj i przejmującéj grozą, a żądającéj głębokiego ujęcia i surowéj satyry. „Koniec Sodomy" (1890) nie jest już tylko zręczną robotą sceniczną, świadczącą o wielkim zmyśle architektonicznym autora, ale satyrą w guście Augiera, satyrą w całém słowa znaczeniu. Nie ma tam błyskotliwego uganiania się za dowcipem, za „tezą" i efektem;—przeciwnie: ciężką atmosferą dramatu, dyszącą zmysłowém wyuzdaniem zwyrodniałych

---

[1]) Wiadomo, że i w polskim języku ukazała się interesująca broszura p. Glińskiego p. t. „Honor".

„sfer wyższych”, przeszywa od czasu do czasu ożywiający błysk piorunującego sarkazmu, który surowém tchnieniem przenika całą sztukę od początku do końca.

Zepsucie i zwyrodnienie moralne burżuazyi niemieckiéj niejednokrotnie już było przedmiotem gryzących i sarkastycznych wyszydzań i gromień; nikt jednakże dotychczas nie obnażył całéj jego ohydy i bezwstydu z tak bezwzględną i surową stanowczością, jak Sudermann. Jeżeli około owych „sfer wyższych” unosił się dotąd pewien nimb dojrzałości umysłowéj, mogący w oczach naiwnych usprawiedliwić i upiększyć wszystkie ich brzydoty—to Sudermanna zasługą jest niezaprzeczoną, że zdarł ze szpetną zgnilizną toczonego cielska kłamliwą zasłonę obłudy, blichtru i szychu. Światłe wyżyny ludzkości, na których króluje trójca: Goethe, Bismarck i Bleichröder” (akt I, scena 3), upadły zdruzgotane miażdżącą maczugą satyry, a „świetlana atmosfera poezyi”, w któréj „ironia zastępuje naturę, prawdę i moralność” (akt I, sc. 9) okazała się wstrętnym zaduchem, stęchlizną, zatruwającą umysł i serce.

Ofiarą kłamliwéj uludy pada genialny malarz Willy Janikow, który w sidłach nowoczesnéj Dalili, utracił siłę męzką i utonął w bagnie najwstrętniejszego zepsucia i rozpusty. Duszna woń buduaru i próżnia moralna otoczenia przydusiły twórczość artysty, któréj rozpaczliwym odruchem było stworzenie arcydzieła, przedstawiającego: koniec Sodomy. Na widok tego obrazu towarzysz i profesor Willy'ego, Riemann woła ze zdumieniem: „Boże mój! jakże małym się czuję wobec niego!”, ale po chwili dodaje: „A jednak... *tego* nie stworzyłbym nigdy!” (akt I, sc. 3).. W genialném dziele Janikowa widzi bowiem oko znawcy testament talentu, zamierającego w uściskach zmysłowéj kurtyzany, Ady Barczynowskiéj. Kobiéta ta, to najjaskrawsza indywidualizacya typu damy salonowéj, owéj „pijawki, wysysającéj krew i mózg otoczenia, dla zaspokojenia swojéj żądzy użycia”, nowożytna Messalina, uprawiająca najwyuzdańszą rozpustę pod osłoną niedbałości towarzyskiéj i dopuszczająca się czynów, zrozumiałych jedynie w atmosferze *Börsenjobber'ów*, których typ bezecny przedstawia w dramacie godny małżonek Ady, Jacques Barczynowski. W salonie jéj gromadzi się „kwiat inteligencyi berlińskiéj”, złożony z najlichszych bankrutów moralnych, z indywiduów, pozbawionych poczucia własnéj godności, lub topiących jego resztki w pienistym szampanie.

Antytezą tego „towarzystwa” jest uczciwa, choć materyalnie zubożała rodzina Willy'ego; jego rodzice zapracowujący się dla swego jedynaka, wychowanica ich Klara, ubóstwiająca genialnego arty-

stę i przyjaciel Kramer, uwielbiający i ufający mu ślepo. Willy czuje różnicę moralną, dzielącą obie „sfery” — a jednak niezdolen jest uwolnić się z sideł zepsucia i raczéj zgadza się na ostatni stopień upodlenia i hańby, przyjmując z rąk swéj kochanki, niewinną i nieświadomą prawdy siostrzenicę jéj, Kitty, za żonę. W wigilię swoich zaręczyn, gdy przebiegła Ada zmusiła matkę jego do poddania się jéj woli, Willy, zwątpiwszy o wszystkiém, co dobre i szlachetne, puszcza wodze swoim namiętnościom i uwodzi w zwierzęcym szale bezbronną Klarę. Czyn ten przyprowadza go do równowagi. Narzeczona jego, dowiedziawszy się o intencyach i stosunku Ady do niego, ucieka z domu swéj ciotki, a kiedy Willy siłą czaru, jaki na kobiéty wywiera i siłą szczeréj tęsknoty do szczęścia, zdobywa jéj przebaczenie — zjawia się na progu nowego jego życia mściwa Nemezys w postaci trupa Klary, która swéj hańby przeżyć nie zdołała i w osobie wiernego Kramera zostawiła mściciela swéj krzywdy. Konsekwencya czynu zjawia się z nieubłaganą logiką faktu i Willy ginie marnie — u stóp swéj ofiary, sam ofiarą zabójczych wpływów i zepsucia.

Jeżeli „Honor”, jako dzieło sceniczne, mimo zręcznéj roboty, wykazywał tu i owdzie ważne braki techniczne, to „Koniec Sodomy” uważać trzeba za utwór jednolity w całém słowa znaczeniu. Gdy tam „teza”, występująca ciągle na plan pierwszy, popychana rezonerstwem stworzonéj *ad hoc* figury, psuła iluzyę i uniemożebniala logiczny wywód akcyi; nie zdradza „Koniec Sodomy” w niczém subiektywnych intencyi autora, który roztaczając przed oczyma widza logiczne konsekwencye sytuacyi życiowych — każe im przemawiać za siebie językiem faktu, wymowniejszym od wszelkich objaśnień. W samém ujęciu tego „kawała życia” tkwi najsilniejsza tendencya; dość bowiem było z możliwą przedmiotowością przedstawić istotny stan rzeczy, aby powiedziéć wszystko, co powiedziéć było można. W tym téż dramacie okazał Sudermann po raz pierwszy prawdziwe zrozumienie swego pisarskiego zadania, tu po raz pierwszy zaświadczył dobitnie o prawdziwéj potędze swego talentu. Mniejsza o to, że wykonanie, mimo wszystkich znakomitych zalet i nie dającego się zaprzeczyć postępu, nie stanęło jeszcze na wysokości artystycznego wykończenia, i niejednokrotnie (w końcowych zwłaszcza aktach) okazuje ciągle jeszcze uganianie się za efektem przykrym lub banalnym.—„Koniec Sodomy” wyłamuje się bądź co bądź stanowczo z szablonu sztuk teatralnych, których jądrem i treścią jest „teza” równie paradoksalna jak mętna, lub bezmyślna intryga, wstrząsająca nerwami i pobudzająca zmysły.

Z utworu Sudermanna bije ożywcze tchnienie szlachetnego oburzenia na nikczemność i podłość, panoszącą się wśród zgnilizny moralnéj „wyższych sfer społeczeństwa i wysysającą mózg i krew" mniéj opornych jednostek. Grzmiący okrzyk protestu przeciw szalonym orgiom górnych warstw społecznych łączy się u niego z surowym głosem potępienia, tak silnie odbijającym od sielankowych tonów lub lękliwego uśmiechu poprzednich jego utworów.

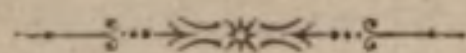
Nie ulega wątpliwości, że „Honor" i „Koniec Sodomy" zaznaczyły w twórczości Sudermanna zwrot stanowczy od ckliwo-sentymentalnéj średniowieczczyzny romansopisarskiéj do jędrnéj i z prądem czasu zgodnéj działalności poetyckiéj! Pierwszy krok na nowéj drodze zapowiadał w Sudermannie bystrego i umiejącego trafić w sedno satyryka. Drugi ziścił zupełnie pokładane w nim nadzieje, a jeżeli w ojczyźnie autora wywołał (ze zrozumiałych całkiem powodów) gdzieniegdzie niechętne i wprost wrogie głosy krytyki, to nas, stojących zdala od względów lokalnych, obowiązywać one ani mogą ani powinny. Przeciwnie sympatycznym bądź co bądź dla nas objawem u człowieka tych przekonań, co autor „Honoru" jest bezwzględna i niezłomna przedmiotowość, z jaką własnych ziomków traktuje. Życzyćby sobie tylko należało, aby i w stosunku do nas więcéj względami sprawiedliwéj oceny, a mniéj bezkrytyczną nienawiścią i fanatyzmem się kierował.

Ignacy Suesser.





MUNICYPALNOŚĆ LONDYNU.



Wybory do rady municypalnéj, — a raczéj do rady hrabstwa londyńskiego, jak się urzędownie to ciało reprezentacyjne nazywa — odbyły się w dniu 5-ym marca r. b. i wywołały nietylko w całéj Wielkiéj Brytanii olbrzymie, ale nawet i po za jéj granicami, żywe zajęcie. Zauważyć jednakże można, że wśród przeróżnych komentarzy, jakiemi prasa europejska z téj okazyi rozbrzmiała, zaprzątano się głównie symptomatologią polityczną i zapytywano się, czy Londyn, w ten sposób opinie swe manifestujący, da przy przyszłych wyborach parlamentarnych głosy stronnictwu zachowawczemu, jak to czynić zwykł dotąd, czy téż przerzuci się do liberalnego. Interesująca bezwątpienia, kwestya to atoli poboczna tylko, podrzędna. Daleko większe znaczenie i potężniejszą doniosłość posiada w oczach każdego badacza społecznego organizacya municypalna Londynu sama w sobie i jéj działalność. Im oryginalniejszą, im zawilszą jest ona, tém więcéj czuje się pohopu do zbadania jéj labiryntu. Odpowiemy, być może, wymaganiom czytelników, ofiarując się im za przewodnika. Nie jest bynajmniéj zamiarem naszym nużyć ich drobiazgowemi szczegółami, ale w epoce dzisiejszéj, epoce przejściowéj i reformatorskiéj, gdy się starodawne instytucye rozpadają, a nowe nie zdołały jeszcze złożyć egzaminu dojrzałości, dobrze jest od czasu do czasu rozejrzéć się na okół i zdać sobie sprawę, jak się dzień jutrzejszy z wczorajszego wytwarza.

Jest już oddawna utartą i żadnych nowych dowodów niewymagającą prawdą, że potęga instytucyi publicznych Wielkiéj Brytanii, ich jednoznaczność ze swobodą obywatelską nie tyle polega na ustroju politycznym, jak na municypalnym. Wdrożeni do rządzenia miej-

scowemi sprawami w gminach wiejskich i municypiach, rozszerzyli Anglicy tę zasadę samorządu do spraw ogólno-krajowych i na téj niezłomnéj podwalinie zbudowali nie teoretycznie i nietylko systematycznie, ale doświadczalnie i stopniowo ową konstytucyą, któréj doskonałość wypróbowana została w różnych przypadłościach i czasach. Rudolf Gneist w swém wyczerpującém *Englische Verwaltungsrecht* ani na chwilę nie spuścił z uwagi owego pierwszeństwa instytucyi municypalnych, z których wnętrza wystrzeliły następnie polityczne. Guizot już uczynił tę słuszną uwagę, że w pierwszych epokach rozwoju cywilizacyjnego samorząd miejscowy, prowincyonalny, jest jedyną możliwą formą rządu. W Anglii zléwa się owa organizacya gminna w zaraniu historycznego rozwoju z organizacyą państwową; następnie zespala się z feodalną i korporacyjną. W kilkowiekowym rozwoju idącym od reformacyi aż do reformy 1832 roku, organizacya municypalna przeistacza się zwolna tylko i jako główne jéj rysy wykazano coraz wzrastającą przewagę praw o ubogich, a coraz widoczniejszy upadek jurysdykcyi sądów miejskich. Cały ten różnowzory, pstrokaty ustrój gmin i municypalności angielskich, opiérający się na wywalczonych dla pewnych miejscowości, pewnych warstw narodowych przywilejach, na kartach nadawczych, na uchwałach parlamentarnych, zostać tu musi nietkniętym, gdyż nie o całości organizacyi angielskiéj, ale jedynie o londyńskiéj mówić zamierzamy. Przypomnieć wystarczy, że w roku 1835-ym nastąpiła reforma organizacyi municypalności angielskich, i że od téj epoki datuje się w nich jeżeli nie jednolitość i ustrój harmonijny, to przynajmniéj pewna wspólność zasad i ustopniowanie miejscowych przywilejów.

Ale nawet przez ów akt 1835-go roku Londyn nie został dotknięty, przeciwnie — wykluczono go zeń formalnie. Dwadzieścia lat czekać mu trzeba było na pierwsze ulepszenia i uproszczenia samorządu miejskiego! Dziwić się temu nie ma potrzeby, raz dlatego, że działalność prawodawcza angielska nigdy zbytecznym pośpiechem się nie odznacza, a potém dlatego, że zadanie to nadzwyczaj skomplikowane. Nietylko ze względu na swój charakter stolicy państwa, siedliska rządu, oraz największego emporyum handlowego, jakie świat dotąd wytworzył, ale po prostu ze względu na swe rozmiary i ludność Londyn jest *imperium in imperio*. Obejmuje swą przestrzenią całe cztery hrabstwa, pochłonął w siebie dziewięć *borough's*, czyli miast posiadających przywiléj wybiérania deputowanego do parlamentu, zawiera dziewięćdziesiąt pięć parafii, z których trzy liczą razem nie mniéj jak 600,000 mieszkańców. Przy ostatniém obliczeniu ludności w r. 1881-ym, które było wzięte za podstawę do wielkiéj reformy

1888 r., Londyn liczył 3,813,000 mieszkańców. Podług obliczenia 1890 r. cyfra ta wynosiła już 4,421,661 stałych, osiadłych mieszkańców. Około City, drobnego jądra, liczącego zaledwie 51,400 osób, wytworzyły się w nieprzejrzanym promieniu dwa pierścienie, wewnętrzny i zewnętrzny. Granice pomiędzy niemi się zacierają, a zakres ostatniego powiększa się ciągle. Ostatnią jego zdobyczą jest miasto Richmond z olbrzymim parkiem i przylegającą doń gminą Wimbledon, na któréj łanach miewały aż do ostatnich czasów miejsce manewry milicyi stołecznéj. Ponieważ Londyn wciąż i nieprzerwanie posuwa się i rozszerza w południowo-zachodnim kierunku, nie można wątpić, że w przyszłych stuleciach park Richmondu będzie dla miasta środkowym ogrodem, tak jak przed stu laty był Regent-Park, a obecnie jest Hyde-Park. Coraz więcéj tedy Londyn usprawiedliwia daną o nim definicyę, iż jest prowincyą zabudowaną domami i przeładowaną ludźmi. Samo ściągnięcie podatków z nieruchomości, oszacowanych na 28,000,000 funtów szt., pozwala zrozumiéć ogrom zadania, jakie ma zarząd municypalny do spełnienia.

Jeżeli jednak organizacya administracyi w tego rodzaju mieście nawet przy jednolitości praw, obowiązków, ciężarów przedstawićby musiała nadzwyczajne trudności, to o ileż one wzrastają wskutek szczegółowych przywilejów i właściwości niektórych składowych jego części, a przedewszystkiém City, starodawnego gniazda korporacyi, cechów i stowarzyszeń. Samych oddzielnie uorganizowanych gildyi i korporacyi istniało w City 89. Nie mniéj, jak 120 kart nadawczych sięgających do Wilhelma Zdobywcy, a ciągnących się aż do Jerzego II-go, uświęciło ich przywileje. Lubo liczba mieszkańców sypiających w City (*sleeping population*) jest tak szczupła, jak to dopiéro co powiedziane było, to mimo tego dzieli się administracyjnie na 26 okręgów, 108 parafii, posiada swego lorda-mayora, swoich 26 aldermanów, 206 radzców gminnych (*Common Councilmen*), dwóch szeryfów, swego wielkiego skarbnika i rozmaitych innych dygnitarzy, o rozmaitych, zupełnie nieraz nieprzewidzianych atrybucyach i jurysdykcyach. Trybunał City (*Lord Mayor's Court*), którego prezesem jest archiwista, *the Recorder*, wybiérany przez aldermanów i dzierżący to dostojeństwo dożywotnio, ma przywileje sądownicze wyjątkowe. Łatwo zrozumiéć, że dumna ze swéj wielkiéj przeszłości historycznéj i będąc w posiadaniu daleko rozleglejszych praw i przywilejów, aniżeli jakiekolwiek inne miasto zjednoczonych królestw, City londyńska niezbyt chętnie chciała się dzielić niemi z postronnymi mieszkańcami. Nietylko tedy nie wyrażała życzenia, ażeby *Municipal corporations Act* z 1835 r. był i do Londynu zastosowany, ale przeciwnie, dokładała

wszelkich starań, używała osobistego wpływu swych deputowanych w parlamencie, i wszystkich pokątnych intryg i zabiegów, ułatwianych przez olbrzymie majątki jéj handlowo-kupieckiéj magnateryi, ażeby wszelką reformę przynajmniéj oddalić, jeżeli się jéj całkowicie drogi zagrodzić nie uda. Najsłynniejszym przykładem téj opozycyi był sposób, w jaki City uniknęła włączenia jéj do *Metropolis Local Management Act* z r. 1855-go, który to akt ustanowił dla reszty Londynu biura wyborcze dla całéj stolicy pod nazwą *Metropolitan Board of Works* i biur takichże dla oddzielnych cyrkułów i parafii. Podobnie jak City sprzeciwiła się ogólnéj ustawie, tak samo przy wielu innych bilach, przedłożonych parlamentowi w następnych latach co do kwestyi szczegółowych, jak np. policyi miejskiéj, potrafiła sparaliżować reformatorskie zamiary rządu, albo przedstawicieli narodu. Bile Johna Stuarta Milla w 1867 i 1868 roku, Sydneya Buxton w 1869 i 1870 roku nie wydały żadnego rezultatu praktycznego i świadczyły, że jeżeli postępowe umysły jasno zdawały sobie sprawę z niedostatków i wad administracyi Londynu i za cel ostateczny postawiły ujednostajnienie praw i oddanie wszystkich gałęzi zarządu municypalnego w ręce wybranych przez całość stolicy delegatów, to taka niwelacya rozbijać się będzie musiała długo jeszcze o koalicyę różnych miejscowych i prywatnych interesów.

Nie należy spuszczać z uwagi, że w Anglii stronnictwo liberalne, będąc wyrazem demokratycznych prądów, nurtujących w łonie współczesnych pokoleń, zdąża na każdym punkcie do unifikacyi, do równości prawnéj i że, wypowiadając walkę wszystkim tradycyjnym przywilejom i prawom miejscowym, stanowczo skłania się do centralizacyi. Stronnictwo zachowawcze, przeciwnie, stając w obronie tych ostatnich, nie omieszkuje nigdy odwoływać się do autonomii prowincyonalnéj, municypalnéj i gminnéj. Ale duch czasu i wszystkie okoliczności zewnętrzne dmą w żagle unifikacyi. Gdy w r. 1871 utworzono nowy wydział ministeryalny—*Local Government Board*, t. j. ministeryum spraw wewnętrznych w kontynentalném słowa tego znaczeniu, można było przepowiedziéć, że się z tego centralnego ogniwa administracyjnego wiele innych wytworzy, i że wśród kniei administracyi angielskiéj, w któréj podług często przytaczanych słów p. Goschen'a, panuje chaos władz, chaos atrybucyi, chaos podatków, chaos urzędników, chaos okręgów wyborczych, zostaną wycięte poręby i że powoli a stopniowo przeniknie tam ład i porządek. Samo się przez się rozumié, że podług zasad reformatorów, ta nowa organizacya, i ta centralizacya państwowa ani o włos nie uszczupli swobód obywatelskich. W Anglii mowy o tém nie ma — dotychczas przynaj-

mniéj. Walka toczy się wyłącznie między uprzywilejowaną oligarchią a masą narodową, która, pragnąc takie same prawa posiadać, chce je zabezpieczyć przez ciała wyborcze, ale nie ma zamiaru abdykować z nich na rzecz władzy wykonawczéj państwa. Pisarze obcy, jak wzmiankowany Gneist, nie mogą dość odżałować, że cały ten gmach chaotycznych przywilejów średniowiecznych, w którym przez wieloletnie szperanie oryentować się umieją przedziwnie, jest z dniem każdym podkopywany i bliski upadku. Angielscy pisarze polityczni i mężowie stanu natomiast nie wahają się inaczéj na sprawę tę zapatrywać. Nawet przeciwnicy demokracyi, luminarze jak sir Henryk S. Maine, w słynném swém *Popular Government* jawnie przyznaje, że *Municipal Corporation Act* z 1835 r. był obok reformy wyborczéj 1832 roku najważniejszym faktem w publiczném życiu narodowém obecnego stulecia. W obozie postępowym panuje co do przywilejów City londyńskiéj jedno tylko usposobienie—nietajonego wstrętu, którego nikt doskonaléj nie scharakteryzował, jak John St. Mill w owych trudnych do spolszczenia słowach: „*that union of modern jobbing and antiquated foppery.*“ Nie można się téż dziwić bynajmniéj, że po tylu poprzednich usiłowaniach ku jednolitéj organizacyi Londynu, za przedostatniego liberalnego ministeryum Gladstona, sir William Harcourt w imieniu gabinetu przedłożył parlamentowi w 1884 r. bil o utworzeniu dla całego Londynu wspólnéj municypalności, nietylko znosząc wszystkie przywileje i wyłączności City, ale nawet wszystkie biura i rady cyrkułowe i parafialne. Chwila, w któréj plan tak doniosłéj reformy zarysowany został, nie była właściwa, gdyż sprawa samorządu dla Irlandyi postawioną została przed parlamentem i wobec niéj wszystkie inne, jakkolwiek żywotne, usunęły się na dalsze plany. W r. 1886 przyszedł wprawdzie znowu gabinet Gladstona na kilka miesięcy do władzy, ale wobec uraganu, który mu od pierwszéj chwili groził i który miał go obalić niebawem, odsuwając aż do chwili obecnéj od steru spraw publicznych, o reformie municypalnéj organizacyi londyńskiéj mowy być nie mogło. W każdym razie, nawet gdyby do rozpraw i rozbioru takiego projektu prawodawczego było przyszło, nie byłoby możliwém przeprowadzić go wówczas przez arkana parlamentarne, skoro i obecnie jeszcze wyprzedza on znacznie przeciętny stan opinii pod tym względem.

Jak czytelnikom wiadomo, ministeryum lorda Salisbury, które dostało się do władzy w lipcu 1886 r. dzięki koalicyi zachowawczych torysów z tém skrzydłem liberalnego stronnictwa, co zerwawszy z armią whigów, przezwało się liberalnymi unionistami, przeprowadziło na sesyi r. 1888 nową reformę samorządu prowincyonalnego w t. zw.

Local Government Act. Bezspornie może ona być postawiona obok tych dwóch doniosłych reform 1832 i 1835 roku, które pchnęły niepowrotnie Wielką Brytanią na nowe tory, ku demokracyi, i zastąpieniu przywilejów kastowych i miejscowych przez równość w obliczu prawa. Nie tu byłoby miejsce rozbiérać powody, jakie skłoniły rząd uosobiający w sobie potęgę arystokracyi gruntowéj i działający w jéj interesie, do zadania im śmiertelnego ciosu, wprowadzając na jéj miejsce rady wyborcze, czerpiące źródło swéj władzy z łona masy społecznéj. Jeżeli przypominają, że większa część reform radykalnych przeprowadzona została w Anglii przez zachowawczych torysów, którzy dzięki téj zuchwałéj taktyce wytrącali oręż z rąk swych współzawodników; drudzy dostrzegają w tym niewątpliwym a oryginalnym fakcie igraszkę ironiczną dziejów, sprawiającą, że klasy uprzywilejowane dobrowolnie znoszą głazy do mauzoleum, w którém żywcem pogrzebane bywają. Jakiekolwiek jednak przyczyny ten ostatni *Local Government Act* wywołały, nie mamy prawa zaprzeczać, że od r. 1889, od chwili gdy wszedł on już w życie, cała administracya krajowa, samorząd wiejski, jak i miejski, wstąpił przez rady hrabstw w nową fazę.

Stanowią one najważniejszą część nowéj ustawy, nadanéj najprzód Anglii i Walii, następnie Szkocyi, a wreszcie na obecnéj sesyi zaproponowanéj przez rząd dla Irlandyi, lubo na całkiem innych wyjątkowych podstawach. Anglia i Walia podzielone zostały na 60 hrabstw, a każde z nich posiada swą radę—*County Council* — dla zarządu administracyjnego i finansowego. Oryginalnym rysem ustawy było to, że obok owych istniejących geograficznie 60 hrabstw utworzono jeszcze sztucznie jedno dodatkowe, 61-sze, a mianowicie hrabstwo Londyńskie. W skład jego weszły części hrabstw Middlesexu, Kentu i Surreyu, na terytoryach których Londyn jest zbudowany. City Londyńska o swym korporacyjnym ustroju, oraz City Westminsteru i Wieża londyńska (*the Tower*), które to obie ostatnie także pewne swe starodawne odrębności przechowały, nie zostały całkowicie poddane zwierzchnictwu rady hrabstwa londyńskiego i na pierwszy rzut oka możnaby mniemać, że nic się w dawnym stanie rzeczy nie zmieniło. Niebawem przekona się jednak czytelnik, że olbrzymi krok naprzód uczyniony został ku zjednoczeniu i ujednostajnieniu administracyi Londynu.

Ażeby doniosłość wpływu i całe znaczenie nowéj organizacyi zrozumiéć, wystarczy sobie przypomniéć, jaką ona była, a jaką jest, jakie władze stały u steru administracyi stołecznéj do r. 1888, a jakie istnieją obecnie.

Najprzód znajdowała się korporacya City londyńskiéj, złożona z 206 *Common Councilmen* i 26 aldermanów, która posiadała pełną władzę zwierzchnią nad całą City i pobiérała tam podatki i cła. Daléj, istniało poważne ciało, ustanowione w r. 1855, zwane *Metropolitan Board of Works*. Składało się ono z 43 członków delegowanych przez parafie z dodatkiem 3 delegatów od korporacyi City. To biuro robót publicznych miało w swych atrybucyach dozór i zarząd kanalizacyi, regulacyę Tamizy, mosty, wybrzeża, ulepszenia ulic, gmachów publicznych, ogrodów, parków, placów, straż ogniową i t. d. Trzecie ciało odrębne stanowiło 23 *Vestries*, t. j. parafii, i 15 biur okręgowych, które wybiérały 2,450 radzców do nadzoru nad brukiem, oświetlaniem, kanalizacyą, zamiataniem ulic, uprzątaniem śniegu, oraz do ściągania podatków parafialnych na utrzymywanie domów roboczych dla biédnych. Czwarte ciało stanowił *School Board*, składający się z 50-ciu członków wybieranych co trzy lata przez wszystkich płacących podatki obywateli płci obojéj; obowiązki jego rozciągały się do zarządu szkółkami elementarnemi. Piąte ciało stanowiło biuro opiekuńcze (*Board of Guardians*), złożone z 30 członków wybiéranych, albo mianowanych w rozmaity sposób: zajmowało się ono administracyą zakładów dobroczynnych, wchodzących w sferę *Poor law*. Szóstém, oddzielném ciałem było biuro rzeki Tamizy, bez żadnych delegatów wyborczych, a nakoniec za siódme uważać mamy prawo kontrolę nad policyą miejską, znajdującą się w atrybucyach ministra spraw wewnętrznych, kiedy policya City jest pod zarządem jéj korporacyi. Towarzystwa dostarczające wodę, gaz, elektryczność, tak samo jak Towarzystwa omnibusów i tramwajów, zostawały wyłącznie pod swym własnym zarządem i mimo bezpośredniego interesu, jakie miały one dla bytu i rozwoju pięciomilionowego grodu, administracya miejska nie miała nad niemi żadnego nadzoru.

Wobec tego mnóstwa władz, rad i ciał o krzyżujących się atrybucyach, nie da się zaprzeczyć, że skargi na chaotyczną administracyę stolicy były w zupełności usprawiedliwione. Mówiliśmy już o rozmaitych usiłowaniach, jakie w parlamencie czynione były, aby drogą prawodawczą złe istniejące ukrócić, i o oporze, jaki wszelka zmiana radykalna napotykała. Po za sferą parlamentu wytworzyły się także komitety i stowarzyszenia, agitujące pomiędzy mieszkańcami przez meetingi, rozsyłanie broszur, przez niezliczone artykuły w prasie. Największe znaczenie miała „Liga reformy municypalnéj“, któréj duszą był niestrudzony lord Hobhouse. Polemiki, jakie się toczyły pomiędzy propagatorami reformy a obrońcami dawniejszego porządku, skandaliczne nadużycia i bezprawia, wyciągane bezprzestannie na

światło dzienne, stopniowo rozbudzały interes publiczny dla spraw municypalnych i przygotowywały grunt do reformy. Nowa organizacya r. 1888, stwarzająca hrabstwo londyńskie i radę hrabstwa, nie była tedy przedwczesną, ale wymuszoną, wywalczoną przez opinię krajową. Jakiekolwiek mogły były być sympatye ministeryum zachowawczego dla bezładu, w pośród którego przywiléj zawsze wygodne potrafił wynajdywać sobie kryjówki, musiało ono do pewnego przynajmniéj stopnia liczyć się z wymaganiami powszechnemi. Obecnie, gdy cztery lata od wprowadzenia nowéj organizacyi upłynęły, rażące jéj braki i niedostatki są surowo wytykane. Lecz aby być sprawiedliwym, wystarczy przypomnieć sobie stan onegdajszy: postęp wczorajszy i dzisiejszy pozwala jasno przewidzieć jutrzejszy.

Zasługą główną nowéj organizacyi było utworzenie centralnego ciała reprezentacyjnego dla całéj stolicy z wyjątkiem City. Wprawdzie większa część owych siedmiu ciał, rozdzielających między sobą zarząd rozmaitych spraw miejskich, zachowała i nadal swą odrębność i niezależność od rady hrabstwa, a między innemi biura szkolne, biura opiekuńcze, biura okręgowe parafialne, a stało się to nietylko z wyraźnem nadwerężeniem logiki, ale z pokrzywdzeniem najżywotniejszych interesów, lecz zniesiono przynajmniéj biuro robót publicznych, najpotężniejsze z ciał municypalnych, pohańbione przekupstwami i nadużyciami, a funkcye jego przelane zostały na radę hrabstwa. Już ta jedna okoliczność wystarczyłaby do oceny znaczenia, jakiego nabrała ta rada. Ale atrybucye jéj są i stają się coraz szersze. Nie mogło być inaczéj. Sam skład jéj za têm przemawiał. Londyn wybiera 120 radzców, po dwóch z każdego okręgu parlamentarnego na trzyletnią kadencyą. Raz utworzona, rada wybiéra aldermanów dwudziestu na lat sześć, odnawialnych w połowie po upływie lat trzech. Wyborcami są wszyscy mieszkańcy osiedli od dwunastu miesięcy w okręgu wyborczym i płacący podatki miejscowe. Każdy wyborca może być wybiéranym do rady hrabstwa. Przypominają sobie może czytelnicy, że przy pierwszych wyborach w r. 1889 skorzystano z tego artykułu ustawy i wybrano na radzców trzy kobiéty. Wybór ten został jednak unieważniony przez sądy i trzeba było na ich miejsce wybory powtórne rozpisać. W obecnéj kampanii wyborczéj, do drugiéj kadencyi, żadne kobiéty téż kandydatury swéj nie postawiły i zamknęły swą działalność w obrębie żywéj agitacyi wyborczéj i głosowaniu za kandydatami swych przekonań.

Rada hrabstwa londyńskiego dzięki szerokiemu prawu wyborczemu spoczywa tedy na demokratycznéj podwalinie. Po raz pierwszy kilkomilionowa masa mieszkańców, wszyscy płacący podatki bez-

pośrednie, powołani zostali do zbiorowego zabrania głosu w sprawach wspólnie miasto obchodzących. Upoważniać do rozpisywania i podnoszenia podatków jest pierwszym przywilejem wolnego obywatela, tak samo jak dozorowanie i kontrola nad sposobem, w jaki ten fundusz jest wydatkowany. W ustawie *Local Government* 1888 r. rząd zobowiązał się do przelania do kas prowincyonalnych wszystkich podatków, podniesionych na miejscowe potrzeby i rady hrabstw rozciągają w ten sposób ścisły nadzor nad sumami, których całość dochodzi od 5,600,000 do 6,000,000 funt. szt. Londyn rozporządza obecnie przypadającemi nań sumami i gdy uda mu się znieść ograniczenia, jakie co do zużytkowania tych lub owych sum jeszcze go krępują, doniosłość pozyskanych reform stanie się jeszcze widoczniejszą.

Nie należy szukać w téj nowéj organizacyi municypalnéj Londynu, w jego radzie hrabstwa, wielkiém administracyjném ciele bez źdźbła władzy wykonawczéj, żadnego logicznie przeprowadzonego systematycznego ustroju. Anglicy nie zdają się zdolni wznieść do takowego, a przynajmniéj nie próbowali tego dotąd. Uderzają też w niéj braki i niedostatki nadzwyczajne, a są one takie, że, jak powiedziano złośliwie, cała ta organizacya jest improwizacyą przyciśniętego do muru reakcyjnego ministra, który się pierwszemi lepszemi wybiegami oswobodził i dał Londynowi bezużyteczną instytucyą. Nie trzeba jednak téj krytyki, skierowanéj przeciwko dziełu p. C. T. Ritchie, brać dosłownie. Położył on pierwszy kamień do reformatorskiéj budowy; inne zniesione zostaną w następstwie. Ogromną zasługą było zrozumiéć, że Londyn ze względu na swój ogrom jest hrabstwem; nie trzeba jednakże było zapominać, że jest jednocześnie miastem i dać jego municypalnéj radzie co najmniéj takie same prawa i atrybucye administracyjne, jakie posiadają nawet najmniejsze mieściny prowincyonalne. Tego się obecnie Londyńczycy dopominają, a słuszność tych wymagań nie może ulegać wątpliwości.

Ale jeżeli głośne są skargi na najrozmaitsze ograniczenia atrybucyi rady i na wyłączenie z zakresu jéj działalności właśnie najpierwszych gałęzi municypalnych, jak np. bruków, oświetlania, polewania wodą, oczyszczania łożyska Tamizy i t. d., a pozostawienie wszystkich tych spraw w ręku *Vestries*, ciał wyborczych wprawdzie, ale bez powagi, wpływu i kompetencyi, to z drugiéj strony nieraz dały się słyszéć zdania wręcz przeciwne, wypowiedziane przez wytrawnych znawców, jak np. przez p. Acworth, a mianowicie, że jest to największém błogosławieństwem dla rady nowo utworzonéj, iż nie wprowadzono do jéj sfery tych niezliczonych kwestyi drobiazgowych, w których byłaby utonęła. Tenże wytrawny radzca municypalny twierdzi,

że nie potrzebuje rada żądać zniesienia biura szkolnego, ani biura opiekuńczego nad biédnymi, gdyż ma jeszcze na czas długi niesłychanie wiele w swoim własném łonie do zrobienia. Czego naturalnie potrzeba i czego wszyscy reprezentanci Londynu, do jakiegokolwiek należący obozu żądają, to utworzenia, pod zwierzchnictwem rady hrabstwa, trzydziestu rad okręgowych — *District Councils*, — któreby to ciała przedsięwzięły zarząd wszystkich drobniejszych i miejscowych spraw, niedołężnie prowadzonych dotychczas przez zarządy parafialne. Rada hrabstwa mogłaby wówczasześrodkowywać u siebie tylko te sprawy, które do całości miasta się odnoszą i nadawać im jednolitość. Nie można wątpić, że ustanowienie takich rad okręgowych nie da już długo na siebie czekać. Sam autor bilu o *Local Government* w pierwiastkowym projekcie miał je już na myśli i wykreślił je ze swego planu jeno wskutek życzeń wyrażonych w parlamencie. Ale obecna opinia daleko zdrowiéj zapatruje się na tę sprawę, a kilkoletnia działalność rad hrabstw wykazała potrzebę ich na prowincyi tak samo, jak w Londynie. Stronnictwo whigów nie zadawalnia się już nawet radami okręgowemi, ale żąda ich nawet w każdéj gminie wiejskiéj. Zanim do nich przyjdzie, obiecane już przez lorda Salisbury, rady okręgowe wystarczą najpilniejszym potrzebom. Dla Londynu dopiéro z ich utworzeniem rozpocząć się będzie mogła istotnie poprawna, odpowiadająca potrzebom działalność samorządu.

Ażeby zrobić sobie wyobrażenie o roli, jaką rada londyńska odegrała i o zainteresowaniu, jakie się w tak krótkim czasie co do jéj losów dalszych rozbudziło, wystarczy zobaczyć ją u dzieła. Jak już powiedziano, liczy ona 118 radzców i 19 aldermanów. Pierwsze jéj posiedzenie odbyło się 31 stycznia 1889 r. w gmachu będącym urzędową, chociaż tymczasową zapewne rezydencyą pierwszego ciała municypalnego, na Spring Gardens. Na prezydującego wybrali radzcy najprzód lorda Rosebery, a na vice-prezesa sir Johna Lubbock, zarówno znanego z naukowéj, jak z palamentarnéj działalności. Zbyteczném zapewne byłoby czynić wzmiankę, że obowiązki tak prezydujących, jak radzców i aldermanów są bezpłatne; jeden tylko członek rady, tak zwany *Deputy-chairman*, jako wyłącznie poświęcający swój czas i pracę zarządowi rady, pobiéra płacę 2,000 funt. szt. rocznie. Po śmierci pierwszego z tych delegowanych prezydentów, którym był J. B. Frith, znany autor rozmaitych gruntownych prac w dziedzinie instytucyi municypalnych, płacę tę zmniejszono do 1,500 f. Po usunięciu się lorda Rosebery, prezesem wybrany został sir John Lubbock. Jest wielką zasługą obu, że potrafili powstrzymać członków rady od niewłaściwéj dla nich agitacyi politycznéj i zaprządz ich wyłącznie do roztrząsania

spraw municypalnych, i że z żywiołów różnokierunkowych, po większéj części z zadaniem swém i metodą administracyjną nieobznajmionych, zdołali po upływie niedługiego czasu wytworzyć ciało jednolite, nadzwyczajnéj pracowitości, zastanawiające powagą, z jaką się na obowiązki swe zapatrywało. Już w pierwszym roku rada odbyła 134 posiedzeń ogólnych, a liczne komisye specyalne, na które się rozdzieliła, zasiadały 2,236 razy. Ogrom pracy, którą rada znalazła przed sobą, utrudniona jeszcze tą okolicznością, że co chwilę napotykała niemożliwość rozwiązania stojących przed sobą zagadnień przy braku kompetencyi skąpo i nielogicznie jéj udzielonéj, zdumiéwa, gdy się do ich protokółów zajrzy. Wielkich starań dołożono w zaprowadzeniu hygieny publicznéj. Rozciągnięto dozór nad parkami i ogrodami miejskiemi, ulepszono nad niemi nadzór, pootwierano nowe, zakupiono rozległe przestrzenie w ludnych dzielnicach, jak np. Bethnal Green i zapobieżono budowli natłoczonych domów. Energicznie wzięto się do budowli domów dla ludności robotniczéj i wytworzono typy znacznie lepsze od istniejących dotychczas. Mając ciągle interes wielkiéj masy na oku, starała się rada wyrównać, o ile to było w jéj możności, podatki miejscowe. W parafiach ubogich raty podatkowe, przeznaczone na utrzymanie domów roboczych, zostały zmniejszone; za to w parafiach bogatych podniesiono je o drobną sumkę. Naturalnie, że ani kwestyi podatkowéj saméj w sobie ani kwestyi ulepszeń miejskich, przeprowadzenia nowych ulic, ułatwienia komunikacyi, nie może rada przedsięwziąć i uskutecznić przy braku wszelkiéj władzy wykonawczéj i nie posiadając prawa asygnowania żadnéj sumy pieniężnéj wyższéj od 50 funtów. Zmuszona udawać się po sankcyę do parlamentu, napotykała, nie można powiedziéć złą wolę, ale niezaprzeczenie bierny opór względem nadesłanych z jéj łona propozycyi. Izba gmin, zdaje się, obawiała przyczynić się do popularności młodego jéj rywala.

Z młodzieńczą zuchwałością porwała się rada municypalna na walkę z monopolami wody, gazu i t. d. Są to dla mieszkańców stolicy kwestye pierwszorzędnéj wagi życiowéj, a jéj delegaci spotykają na każdym kroku piętrzący się przeciwko interesowi powszechnemu i gnębiący go interes prywatnych przedsiębiorstw i towarzystw. Typową jest pod tym względem kwestya dostarczania wody źródlanéj. Zaopatruje w nią Londyn ośm rozmaitych towarzystw. Wydatki, jakie te towarzystwa uczyniły w celu pochwycenia i doprowadzenia wody, urosły do olbrzymiéj sumy 14 mil. funt. szt. Popełnione zostały skandaliczne nadużycia, których rezultatem była aż taka suma. Ale obecnie towarzystwa te robią złote interesy: Londyn kupuje od

nich corocznie za 1,700,000 funtów wody a kosztuje ona towarzystwa tylko 700,000. Dzięki istniejącym kontraktom, Londyn traci tedy milion funtów rocznie, zbogacając akcyonaryuszy tego monopolu, a mimo tego jest niedostatecznie w wodę zaopatrywany a będzie jeszcze gorzéj obsługiwany przy wzroście liczby mieszkańców. Rada zarządziła gruntowne badanie całéj téj sprawy, i wykazawszy popełniane nadużycia, udowodniła, że towarzystwa istniejące nie posiadają bynajmniéj przywilejów, któreby można uważać za nienaruszalne. Ale na tém krytycznem osądzeniu ograniczyć się musiała. Nie ma ona prawa zmusić towarzystw dostarczających wodę ani do zniżenia ceny, ani do odstąpienia miastu do bezpośredniego wyzyskiwania swéj kanalizacyi, ani téż nie posiada możności zmuszenia współzawodników do kapitulacyi, przedsiębiorąc sprowadzanie wody na własną rękę. Położenie Londynu jest pożałowania godne, a niewątpliwą zasługą nowo utworzonéj rady jest to, że zaraz w ciągu swéj pierwszéj kadencyi tę ważną sprawę wyświetliła.

Nie wiele inaczéj stoi kwestya gazu. Trzy olbrzymie towarzystwa, pochłonąwszy z kolei kilkanaście drobniejszych, narzuciły Londynowi faktycznie swój monopol. Kapitał 14,270,000 funtów, który przedstawiają, daje najuboższemu więcéj niż 7% rocznego odsetku, a innym 13%. Akcyonaryusze otrzymują przeszło 1,000,000 f. szt. dochodu, za to Londyn płaci o pół miliona funtów więcéj za gaz aniżeliby to miało miejsce, gdyby postąpił sobie tak samo, jak wiele miast prowincyonalnych, które wykupiły fabryki od towarzystw i same gaz dla siebie fabrykują. Kwestya, jasno postawiona, znalazła u wszystkich mieszkańców, jak łatwo zrozumiéć, sympatyczne poparcie i wywołała żal, że parlament nie chce a rada municypalna nie może tak ważnéj kwestyi na korzyść wielomilionowéj masy rozstrzygnąć.

W kwestyi tramwajów rada uczyniła kilka stanowczych kroków. Jedno wielkie towarzystwo i dziesięć pomniejszych wyzyskują 122 mil tramwajowych w Londynie a podług urzędowego wykazu za r. 1889 przy kosztach 2,266,681 f. szt., dały towarzystwom czystego dochodu 713,543 f. Akcyonaryusze otrzymują dywidendę 10%. ale sposób, w jaki towarzystwa gnębią swych oficyalistów zrobiły je przedmiotem ogólnéj nienawiści. Wiele miast prowincyonalnych, a między innemi Glasgow, wykupiły tramwaje od towarzystw i wyzyskują je same ku wielkiéj korzyści mieszkańców. Rada londyńska, korzystając z tego, że artykuły statutu nadawczego pozwalają miastu wykupić niektóre linie w roku bieżącym, uchwaliła, że ze służącego sobie prawa skorzysta. Wprawdzie postanowienie to dotąd nie mogło być wprowadzone w czyn z rozmaitych postronnych powodów, ale nie

ma najmniejszéj wątpliwości, że kwestya niebawem w ten a nie inny sposób rozstrzygnięta zostanie.

Jak się z tego dorywczego przeglądu pokazuje, rada londyńska zaraz w pierwszym okresie swego istnienia wzięła na seryo siebie samą i swoje zadanie. Działając zawsze w interesie masy ludowéj, okazując na każdym kroku dążenie do ukrócenia przywilejów mniejszości oligarchicznéj, postawiwszy nawet przez organ swéj skrajnéj lewicy zasady „municypalizowania“ instytucyi, to jest wywłaszczenia na rzecz całego miasta, musiała ona znaleść daleko więcéj sympatyi u klas ubogich aniżeli u tych, którzy, słusznie czy niesłusznie, widzieli w jéj dążeniach zamach na zdobyte i utrzymywane wytrwale stanowiska. City londyńska z całą swą średniowieczną organizacyą korporacyjną, ze swemi cudacko poprzebieranemi urzędnikami i hajdukami, ze swemi maskaradami, ze swemi strupieszałemi, przeżytemi a w miliony opływającemi gildyami i korporacyami, zeszła naturalnie w opinii większości mieszkańców do ujemnéj roli, gdy się ją przeciwstawiało nowoutworzonéj radzie. Tam były skarby Golkondy a tu ubóstwo, tam zawarowane i tradycyą uświęcone przywileje, tu prawa wątłe, niejasne, zaprzeczane jeszcze, nieustalone; ale mimo tego nie można było zaprzeczyć, że ów świat dawniejszy zniknąć będzie musiał i abdykować na rzecz nowo rodzącego się niemowlęcia. Gdyby City i rządzący nią potentaci nie byli tak zaślepieni własną wielkością, iż przez jéj szkła prądu życiowego dostrzedz nie potrafili, to już dawniéj, przed kilku laty, zamiast sprzeciwiać się rozwojowi swobód municypalnych londyńskich, byliby podali im pomocniczą rękę i zamiast zasklepiać się w swych wyłącznościach i dyplomach, byliby mogli szeroko i szczodrobliwie przypuścić do nich cały aglomerat londyński. Dzięki takiéj taktyce byłoby się może udało City swoją organizacyę zachować i lord mayor byłby miał widok zostać merem pięciomilionowego Londynu. Ale obecnie o niczém podobném marzyć już nie podobna. Władze City znikają chociaż jeszcze dumnie przerzedzoną lwią grzywą potrząsają. Czasami rywalizować chcą z radą hrabstwa, czasami, lepiéj natchnieni, łączą się z jéj działalnością, jak np. przy badaniu nad dostarczaniem wody na użytek miasta. Nie ulega wątpliwości, że przy pierwszéj reformie obecnéj organizacyi municypalnéj, może nawet z okazyi rad okręgowych, któremi przyszły parlament się zajmie, nie jeden z przywilejów, jakie jeszcze City posiada, runie i niepowrotnie odjęty jéj zostanie.

W przewidywaniu takiéj przyszłości, można się było spodziewać, że skoalizowane żywioły zachowawcze Londynu, dołożą wszelkich starań aby popularność rady londyńskiéj podkopać. Istotnie nie za-

niedbano niczego, aby tego celu dopiąć. Odwołując się do opinii stolicy, która przy wyborach parlamentarnych zawsze torysów do izby gmin wysyła, wszystkie organy prasy tego stronnictwa, wszystkie meetingi i mowy wybitnych osobistości politycznych puściły wodze oskarżeniom zgryźliwym. Filipikom przeciwko radykalizmowi, socyalistycznym tendendyom rady municypalnéj nie było końca. „Times“ i cała ujadająca za nim zgraja reakcyjna nie zdawały sobie sprawy, że przez gwałtowność napaści nadają téj prześladowanéj instytucyi znaczenie i wagę, jakiéj dotąd nie posiadała u ogółu mieszkańców stolicy. W ogóle życie municypalne londyńskie wskutek skomplikowanéj jego organizacyi nie budziło istotnego zajęcia, a na dowód tego można przytoczyć, że wyjątkowo tylko znani i wytrawni mężowie polityczni brali w niém udział. Wywołało nawet pewne zdziwienie, gdy po utworzeniu rady hrabstwa tak wybitny mąż stanu, jak lord Rosebery, dawniéj minister spraw zagranicznych w gabinecie Gladstone'a, organizator i dusza ligi federalnéj, i Sir John Lubbock zgodzili się kandydatury swe postawić i gorliwie w pracach municypalnych brać udział. Jeżeli oni zrozumieli od pierwszéj chwili potęgę téj dźwigni dla postępowego dzieła, to publiczność przeciętna potrzebowała téj kociéj muzyki, jaka się w przededniu nowéj kampanii wyborczéj rozpoczęła, aby zająć stanowisko jasne za lub przeciw ciału reprezentującemu interesa mieszkańców Londynu. Jeżeli Jericho upadło przy dźwięku trąb, to Teby przy nich się podniosły a rada hrabstwa londyńskiego do tych drugich się zbliżyła. Widocznném się stało, że jéj *vis vivida* się wzmogła, że drzémiący dotąd patryotyzm municypalny budzić się zaczął i że całe niższe warstwy społeczne, cała klasa robotnicza. prowadzona dotąd przy wyborach parlamentarnych na pasku przez *leader*'ów politycznych, będzie przy téj sposobności głosować stosownie do swych bezpośrednich potrzeb. Postawienie wyborów municypalnych na platformie politycznéj, bez czego łatwo można się było obyć, stało się przy takim stanie wojowniczym żywiołu zachowawczego, koniecznością.

Walka wyborcza poprzedzająca wybory trwała prawie dwa miesiące, a temperatura ciała wyborczego stawała się z dniem każdym gorętszą. Przeciwnicy rady znajdowali się jednak w nadzwyczaj niekorzystném położeniu: programat ich był czysto ujemny, gdyż ograniczając się do oskarżenia tendencyjnego działalności rady w ciągu pierwszéj kadencyi trzechletniéj, nie byli w stanie ani żadnego znaleźć błędu kapitalnego, ani téż ze swéj strony nie postawili planu reform, któryby mógł masę na ich stronę przeciągnąć. Ilekroć wytykali brak doniosłych reform ze strony rady, otrzymywali odpowiedź,

że nie jéj wola grzeszyła, lecz że ma ona ręce skrępowane przez nadawczą ustawę. Ilekroć oskarżano ją, że podniosła ratę podatkową a żadnych ulepszeń nie wprowadziła, zarzut ten odparty został zwycięzko, bo wielkie ulepszenia zaprowadzone zostały bez żadnego widocznego podwyższenia podatków a po prostu wskutek większego ładu i wyrugowania nadużyć, których się dopuszczał dawniéj istniejący wydział robót publicznych.

Przeciwko tak licznemu i pozbawionemu jasności programatowi stronnictwa nazywającego się umiarkowaném, jego przeciwnicy, postępowi, stanęli z szeroką listą reform. Jak czytelnicy wiedzą, jest dla nich miejsca aż nadto i nie można wiedziéć od czego zacząć karczowanie. Główny nacisk położyli oni, jak naturalna, na kwestyę podatkową. Londyn posiada dług miejski, wynoszący obecnie 41,000,000 f. szt., co wynosi na głowę każdego mieszkańca 9 funtów, 3 szyl. i 8 pensów. Wprawdzie w porównaniu z Paryżem jest to suma mała, gdyż każdy Paryżanin jest obdłużony na 32 f. i 5 szyl., ale za to miasto wydatkuje tam na każdego mieszkańca więcéj niż 5 f. szt. rocznie, kiedy w Londynie wydatki wynoszą tylko 2 f. 7 szyl. i 9 pensów. Naturalnie, że przy budżecie miejskim wynoszącym 3,234,000 f. szt. nie może być mowy ani o spłaceniu długu i o podejmowaniu żadnych rozległych robót publicznych, ani o wykupieniu monopolu wody, gazów, tramwajów, ani o oczyszczaniu łożyska Tamizy i ulepszeniu portu londyńskiego. Wielkie fundusze, których do tego potrzeba, znalazłyby się jednak z łatwością, gdyby podatki pomijające aż do chwili obecnéj właścicieli gruntowych, zostały rozłożone sprawiedliwie i odpowiednio do dzierżonéj przez nich własności. Im większy nacisk kładli kandydaci postępowi na tę stronę kwestyi, tém dotkliwiéj dotykali potentatów gruntowych londyńskich, którzy dopatrywali w tego rodzaju propozycyach zamach socyalistyczny. A przecież kwestya sama w sobie jest tak jasna, że bez żadnych sofizmatów tendencyjnych, każdy umysł bezstronny musi przyznać konieczność naglącą reformy radykalnéj.

Nie potrzeba zapewne rozwodzić się nad tą oklepanką ekonomiczną, że wartość a zatém i cena gruntów, na których zbudowane jest miasto, wzrasta z samym biegiem czasu i że im więcéj wydatków czynionych jest na ulepszenia miejskie, na ulice, place, ogrody, mosty, kanalizacyę i t. d. tém bardziéj się ona i tém szybciéj podnosi. Wartość gruntu, na którym stoi Londyn wzmaga się ciągle i zbogaca jego właścicieli bardziéj aniżeli innych mieszkańców, niebędących właścicielami gruntowymi. Logiczném następstwem tego stanu rzeczy powinnoby tedy być większe opodatkowanie, a raczéj specyalne miejskich land-

lordów. Tymczasem rzeczy dzieją się wręcz przeciwne, i cyfry statystyczne do tego przedmiotu się odnoszące są przestraszające. Najprzód jest wiadomém, że roczne oszacowanie gruntu londyńskiego wyraża się w sumie 16,728,000 f. szt. Cena pojedynczych gruntów jest naturalnie rozmaita, stosownie do położenia mniéj lub więcéj korzystnego. Są grunta położone w City gdzie akr, ten sam który na prowincyi kosztowałby rocznie od 2—3 funtów, daje dochód od 65 do 87,000 f. szt. Gdyby domy londyńskie były własnościami prywatnemi podniesienie z nich podatków stosownie do ich wartości nie przedstawiałoby naturalnie żadnéj trudności i nie dawało miejsca żadnemu przywilejowi. Ale jak wiadomo, takich prywatnych własności, *freehold*'ów, jest dotąd nadzwyczaj mało, a prawie wszystkie grunta w ogóle są wydzierżawiane emfiteutycznie na lat 99 albo 80 co najmniéj, z warunkiem że lokator płaci wszystkie podatki od domów i gmachów, które albo się na tym gruncie już znajdowały, albo które sam wznosi, a że płaci właścicielowi przez cały czas emfiteuzy pewną stałą sumę bez żadnego uwzględnienia ciężarów i podatków miejskich. Właściciel tedy nie tylko korzysta z ciągłego wzrostu wartości gruntu, który powraca doń po upływie każdego kontraktu dzierżawnego ulepszony, ozdobiony gmachami tak, że przy nowym wydzierżawieniu cena podnosi się nieraz od 10 do 35% a często nawet więcéj, jak się to zdarzyło przed trzema laty z gruntami należącemi do księcia Bedfordu, ale otrzymuje rok w rok swój czynsz dzierżawny bez strącenia zeń jednego pensa na podatki miejskie. Korzyści właściciela nie ograniczają się jednak nawet do téj rocznéj raty którą pobiéra, gdyż nie trzeba zapominać, że oprocz niéj otrzymuje przy zawieraniu kontraktu z góry i jednorazowo pewną znaczną sumę, jako *praemium*, a suma ta, która przy wydzierżawianiu wielkich dzielnic miejskich wynosi nieraz sta tysięcy, daje właścicielowi olbrzymi dochód, który lubo otrzymany z gruntu, żadnym podatkom i ciężarom nie podlega.

Łatwo zrozumiéć, że gdy taki stan rzeczy został wyłuszczony i takie niezbite fakta, przedstawiane wyborcom we wszystkich formach i z cyframi oraz nazwiskami uprzywilejowanych magnatów, puszczone zostały w obieg, łatwo zrozumiéć, powiadamy, że się agitacya wzmogła. Wielcy właściciele, pod przywództwem najbogatszego z milionerów brytańskich, księcia Westminsteru, oraz innego magnata księcia Norfolku, zawiązali wprawdzie komitet ku obronie swych praw, które gdyby się miało dać im wiarę, nie tylko są zagrożone ale nawet już faktycznie pokrzywdzone; lecz ich protestacya, jak wyobrazić sobie można, nie przekonała bynajmniéj stronnictwa postępowego. Zapisało ono na swéj chorągwii reformę systemu podatkowego opartą na

zasadzie, że odrębne podatki płacone będą od budowli, a odrębne od gruntu, zabudowanego lub swobodnego, a każde odpowiednio ich szacunkowéj wartości.

Już sama jedna taka reforma miałaby dla mieszkańców Londynu w ogóle olbrzymie znaczenie a dostarczając skarbowi miejskiemu milionów rocznego dochodu, uczyniłaby tak wielką ilość ulepszeń możliwą, że trudno się dziwić iż rozpłomieniła wyobraźnie. Wprawdzie pomiędzy sformułowaniem programatu a wprowadzeniem go w czyn drogą prawodawczą, szczególniéj gdy idzie o skruszenie oligarchicznéj potęgi magnatów, jest ogromny przedział, ale nie ulega z drugiéj strony wątpliwości, że reformy społeczne idą obecnie przyspieszonym krokiem i że klasy uprzywilejowane nie ośmielają się już urągać energicznie wyrażonéj opinii masy. Wystarczyło zresztą postawić jasno ten punkt na programie wyborczym do rady londyńskiéj: sumienie publiczne otrzymało zadośćuczynienie pierwsze.

Jak powiedzieliśmy wyżéj, kandydaci postępowi występowali także przeciwko monopolom udręczającym Londyn i podnosili, każdy w swym okręgu wyborczym, bądź będące na porządku dziennym kwestye miejscowe, bądź przedmioty leżące na sercu wszystkim obywatelom, jak organizacya policyi, ulepszenia straży ogniowéj, zakładanie bibliotek i czytelni publicznych, publicznych łazienek, pralni, ogrodów, i t. d. Gdy im zarzucano, że zdążają do wytworzenia „komuny,“ odpowiadali że nie przesądzając bynajmniéj przyszłości, na dzień jutrzejszy świeci im po prostu ideał *free city in a free country* — wolnego miasta wśród wolnego kraju.

Gdy wybiła godzina wyborów, stanęło do urn z biuletynami wyborczemi 249,278 obywateli miejskich, do głosowania uprawnionych. Cyfra ta jest o 50,312 głosów wyższa od téj, jaka zebrana została przy pierwszych wyborach przed trzema laty. Ale byłaby mogła być znacznie większa, gdyby wielu wyborców nie było się od spełnienia tego obowiązku municypalnego wstrzymało. 175,000 głosów oświadczyło się za umiarkowanymi a 250,000 za postępowymi kandydatami. Zamiast 69 postępowych, a 49 zachowawców jak to miało miejsce w dawniejszéj radzie jest obecnie 83 pierwszych a tylko 35 drugich. Dodając 19 aldermanów liberalnych, których większość wybrała, nowa rada municypalna Londynu rozporządza większością 103 przeciwko 35 głosom mniejszości.

Nie jest to tedy pospolite zwycięstwo ale istotny tryumf, i całe stronnictwo liberalne przyjęło go za taki. Letargiczny sen Londynu widocznie uległ przerwie; jasny programat przyszłego rozwoju nakreślony i przyjęty został; dawni zasłużeni działacze, jak między inny-

mi lord Rosebery chociaż kandydatury swéj nie postawił, ponownie wybrani zostali; duch postępu i dążenie do zaspokojenia interesów powszechnych a poskromienia indywidualnych przywilejów będą kierowały obradami nowéj rady. Byt jéj, niedawno jeszcze wątły i chwiejny, ustalił się i nie ma wątpienia, że przyszły parlament atrybucye tego municypalnego ciała ściśléj określi i rozszerzy. Chociaż na skrajném skrzydle wybranych zasiada słynny agitator demagogiczny John Burns z grupującymi się około niego siedmiu socyalistami, chociaż wielu przywódców radykalnego stronnictwa a między innymi Sidney Webb, autor książki „London Programme,“ która stała się głownią rozpalającą agitacyę wyborczą, znajdą się na ławach rady; nie można się obawiać ażeby dopuścili się jakichkolwiek wybryków awanturniczych. Znajdą się oni pod kierunkiem wytrawnych i doświadczonych wodzów stronnictwa liberalnego, jak sir John Lubbock, sir Th. Farrer, lorda Hobhouse, lorda Monkswell, lorda Carringtona a przedewszystkiém wybranego natychmiast na prezesa, lorda Rosebery. Ta poważna cyfra arystokratycznych przedstawicieli w pośród przedstawicieli daleko naprzód posuniętego liberalizmu nie jest wprawdzie nowością w Anglii ale uspokoić może przynajmniéj trwożliwych, że o komunie w rewolucyjném i zbrodniczém słowa tego znaczeniu mowy nie będzie.

Cokolwiek rada londyńska przedsięweźmie na obecnéj swéj sesyi, zawsze znajdzie zwróconą ku sobie sympatyczną uwagę masy narodowéj, która zrozumiała że z jéj łona wyjdzie siła nowa, co zdepcze wiele potwornych pozostałości epok dawniejszych, przechowanych jakby na urągowisko ideom i zasadom całkiem odmiennym. Czy rada uorganizuje się w kilka komitetów, mających na swém czele dyrektorów działających w charakterze ministrów, odpowiedzialnych każdy w swym wydziale, — jest to życzenie lorda Rosebery — czy téż pozostanie i nadal wielkiém ciałem obradującém bez żadnéj władzy wykonawczéj, niedaleka przyszłość pokaże. Ale nie ma już wątpliwości iż życie municypalne stolicy rozpocznie się obecnie na dobre, że się stanie rzeczywistością, i że cały szereg reform postępowych będzie téj nowéj ery wyrazem.

John Mill, w dziele *Considerations on Representative Government*, do którego zawsze się powraca jak do niewyczerpanéj prawd politycznych kopalni, powiada słusznie, że po nad ustawą pisaną i jéj artykułami wznoszą się domniemane jéj maksymy, i że w nich-to złożona jest polityczna moralność narodu, a także wskazówka jak uniknąć starcia między władzami. Tamże wskazuje on, że interesa wspólne narodu albo municypalności powinny być roztrząsane w jednėm ciele, nie zaś

rozdrobione w niezależnych jeden od drugiego organizmach. Trafność spostrzeżeń głębokiego myśliciela raz jeszcze ujawniła się w obrocie, jaki sprawa samorządu Londynu wzięła. Litera ustawy była ułomna i koślawa, ale ponieważ jądro było w niéj zdrowe, więc się niebawem po za narzucone sobie szranki wzniosła i nakreśliła sobie arenę szeroką, na którój prawo postara się postawić nowe słupy graniczne. Z chaotycznéj ilości ciał wyborczych i instytucyi, w których rozdrabia się życie municypalne potężnego grodu, przewidzieć już można, że upadnie niejedna a spadkobierczynią jéj nie kto inny będzie jak rada hrabstwa londyńskiego. Bucle w Historyi cywilizacyi w Anglii już przewidział, że gdy demokracya zatryumfuje, znajdzie ona tam mniéj zapór konstytucyjnych aniżeli w innych krajach. Sprawa samorządu municypalnego udowadnia słuszność tego spostrzeżenia.

Dr. M. E. Trepka.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

II.

Budowa komórki roślinnéj i zwierzęcéj. — Plazma, jądro, chromatofory, centrosomy. — Funkcye fizyologiczne tych organów komórki. — Chromatofory i ścianka komórki, jako charakterystyczne części komórek roślinnych.—Sprawność życiowa rośliny i zwierzęcia. — Roślinne niekomórkowe organizmy. — Pobudliwość protoplazmy i jéj życie psychiczne. *)

„Do najważniejszych zdobyczy, jakiemi w ostatnich dziesiątkach lat na polu badań fizyologicznych chlubić się możemy, należy zaliczać ten fakt, że podścieliskiem wszelkich zjawisk życia jest gęstociekła zawartość komórek organicznych, zwana protoplazmą czyli zarodzią.“ Słowami temi jeden z najznakomitszych współczesnych biologów, profesor Edward Strasburger, rozpoczyna niedawno temu wygłoszony wykład o protoplazmie i jéj pobudliwości. Wykład ten zapoznaje czytelnika z rozwojem pojęć o budowie najprostszych pierwiastków organicznych żywéj materyi od najdawniejszych czasów. Dzieje tego rozwoju, to jeden z najważniejszych rozdziałów historyi wiedzy przyrodniczéj, która logicznem powiązywaniem poszczególnych ogniw na drodze swego postępu, doszła do zbudowania tego wspaniałego gmachu, z którego dzisiaj umysł nasz czerpie poznanie rzeczy przystępnych i nieprzebraną mnogość nowych motywów, świeżych zagadnień, nierozwiązanych dotąd problematów.

Dzieje naszych poglądów na budowę i funkcye żywéj komórki krótkie są stosunkowo i nie obfitują w wielkie momenty. Gdy Schlei-

---

*) Ob. Prof. Edwarda Strasburgera: „Das Protoplasma und die Reizbarkeit. Rede zum Antritt des Rectorates der Rhein. Friedrich-Wilhelm-Universität. Am 18 October 1891.“

den i Schwann pierwsi zapoznali badaczów z komórką roślinną i zwierzęcą, a następnie inni uczeni (pomiędzy nimi zwłaszcza Kölliker) nacisk położyli na to, że zoologia i botanika razem winny kroczyć, gdyż istotnie na tych samych opiérają się podstawach i z jednakowemi czynnikami życia, oraz z podobnemi materyałami mają do czynienia — to późniéj usilna praca całego legionu gorliwych ich uczniów szczegóły tylko badać mogła. Lecz wśród pracy téj zagłębiano się tak konsekwentnie w budowę ciała żywego, uzbrojoném okiem wejrzano w tak drobne cegiełki tajemniczego gmachu życia, że ostatecznie to, co dzisiejsza wiedza w tym względzie posiada, przerasta swym ogromem w wysokim stopniu skromne napozór marzenia twórców teoryi komórki.

Istotnemi, najbardziéj w oko wpadającemi częściami komórki, są protoplazma i jądro. Temu jądru badania lat ostatnich szczególniejszą poświęciły uwagę. Składa się ono z delikatnych niteczek powiązanych ze sobą w siatkę. W przeciwstawieniu do protoplazmy, masy gęsto ciekłéj, przedstawia ono utkanie bardziéj spoiste, stałe, z czém zgadzają się w zupełności te poglądy, jakie utworzyliśmy sobie o zadaniu jądra w komórce. Ze względu na zachowywanie się jądra w procesie rozmnażania się, uważamy je za podścielisko właściwości dziedzicznych i przypuszczamy, że ono to właśnie daje impulsy, które skierowują rozwój każdego organizmu na ściśle określone szlaki. Plazmie natomiast przypada w udziale rola bardziéj bierna, przedewszystkiém wykonywania pracy wskazywanéj jéj przez jądro i czuwanie nad odżywianiem ciała.

Lecz i plazma komórek zawiera w sobie w określony sposób ukształtowane utwory, których uważać nie można za coś przypadkowego. Przedewszystkiém w komórkach roślinnych spotkano takie części składowe, które nazwano chromatoforami. Nie uszły one uwagi badaczów już znacznie wcześniéj, zanim jeszcze wniknięto głębiéj w istotę zawartości komórki. I nic dziwnego, gdyż do tych chromatoforów należą także owe zielone ciałka, którym rośliny barwę swą zawdzięczają. Wilhelm Schimper w czasach niezbyt dawnych (1883) szczegółowo zbadał te części komórki i doszedł do wniosku, że ciałka chlorofilowe, barwiące pewne części (liście) rośliny na zielono, zarówno jak inne utwory nadające owocom i kwiatom żółtą lub czerwoną barwę, oraz pewne bezbarwne we wnętrzu rośliny zawarte ciałka, w których tworzą się ziarna mączki, że wszystko to są wytwory jednakowego pochodzenia. W istocie, wszystkie one powstają przez podział z określonych drobnych, bezbarwnych ciałek protoplazmatycznych w młodych komórkach, i dopiéro w dalszym swym wzroście

i rozwoju różnią się wzajem, zależnie od funkcyi, do której sprawowania są powołane. Na obwodzie rośliny barwią się na zielono i nabywają jednocześnie zdolności rozszczepiania w świetle dziennem kwasu węglanego, wody i pewnych soli wchłanianych przez roślinę i wytwarzania z nich materyi, składających żywą tkankę. Lecz gdy dotychczas zdawało się, że tą zdolnością asymilowania (przyswajania) materyi nieorganicznej obdarzone są jedynie tylko wyindywidualizowane, zielono zabarwione części plazmy roślinnej, to badania ostatnie przekonały, że i pewne gatunki bezbarwnych bakteryi zawartych w gruncie potrafią do pewnego stopnia podobną wykonywać pracę. Te zaś chromatofory, które barwią się, ozdabiając kwiaty i owoce, służą za przynętę zwierzętom, które bądź wykonywają zadanie roznoszenia pyłku roślin, bądź też rozsiewają nasiona. Wreszcie bezbarwne chromatofory, we wnętrzu roślin umieszczone, wytwarzają z cukru znów mączkę, która skupia się w tkankach, jako materyał zapasowy do dalszego użytku.

Bliższe wejrzenie w budowę plazmy komórek wykryło inną jeszcze jej część składową, t. zw. centrosomy, nader drobne utwory, które zdają się stanowić pewien rodzaj ośrodków sił w komórkach i odgrywać bardzo ważną rolę w rozmnażaniu się komórek.

Tak więc powinniśmy obecnie w żywej protoplazmie odróżniać następujące części składowe: właściwą plazmę komórek czyli cytoplazmę, istotne ciało komórki stanowiącą, dalej jądro, chromatofory i centrosomy, które przedstawiają niby organy cytoplazmy. Prócz tego jeszcze spotykamy w ciele komórek inne, martwe pierwiastki, jak ziarna mączki, kropelki tłuszczu, kryształy, sok komórkowy i t. p., które wszakże nie należą do integralnego pojęcia protoplazmy i komórki.

Zróżnicowaniu protoplazmy na cytoplazmę, jądro, chromatofory i centrosomy odpowiada podział pracy, który w głównych zarysach da się już z pewną dokładnością scharakteryzować.

Jądra komórek rządzą zjawiskami rozwoju i kierują także najprawdopodobniej pewnemi procesami przemiany materyi. O funkcyach chromatoforów już wspomnieliśmy. Cytoplazma jest przedewszystkiem organem odżywiania komórki, prócz tego zaś, dzięki swym własnościom fizycznym (przesiąkliwość) ma za zadanie regulować wymianę materyi pomiędzy komórkami; rządzi więc ona także ciśnieniem soku komórkowego na ścianki, od czego, jak wiadomo, w tak wysokim stopniu zależny jest wzrost poszczególnych części rośliny. Centrosomy wreszcie, o ile się zdaje, są ogniskami sił rządzących podziałem jądra i plazmy.

Nie można stanowczo twierdzić, żebyśmy w powyższych organach komórki poznali już wszystkie jéj wyróżnicowane części składowe. Niedawno temu zwrócono (Zimmermann) uwagę na drobne utwory w plazmie, tak nazwane *granula*, które może także oddzielną obdarzone są funkcyą.

Cytoplazma, jądro i centrosomy właściwe są zarówno komórkom roślinnym, jak i zwierzęcym. Przedstawiają one już stan dość daleko posuniętego zróżnicowania protoplazmy, tak iż na podstawie dzisiejszych naszych poglądów na rozwój organizmów, przypuścićby wypadało, że stan ten poprzedzony był innym, mniéj wydoskonalonym. Przypuszczenie to istotnie zostaje poparte przez badanie niższych organizmów. U najprostszych roślin, jakie znamy, odnajdywano komórki zarówno pozbawione jąder, jakotéż takie, które w całéj swéj masie na zielono są zabarwione. Za tém, iż rzeczywiście w rozwoju organizmów komórki stopniowo w swych funkcyach ulegały różnicowaniu, przemawia przedewszystkiém ten fakt niezbity, że w komórkach roślinnych stale są zawarte chromatofory, że brak ich natomiast w komórkach zwierzęcych. Protoplazma roślinna wraz z zabarwieniem swém zielonem zdobyła zdolność przemiany pewnych związków nieorganicznych na organiczne. W miarę postępu w podziale pracy właściwość ta przypadła w udziale pewnym częściom protoplazmy, które wyosobniły się jako samodzielne utwory. W zwierzęcych natomiast komórkach nie było potrzeby do wyindywidualizowania podobnych organów.

Podobnie, jak z jednéj strony badania mikroskopowe wykryły postępowe rozczłonkowanie w protoplazmie żywych istot, tak z drugiéj chemia dowiodła, że protoplazma składać się musi nie z jednego, lecz z sumy wielu rozmaitych ciał białkowych. Odczyny chemiczne z dokładnością dowiodły, że tak być musi, jakkolwiek dotychczas istoty tych ciał nie zbadano dostatecznie i tylko hypotezami zadawalniać się musimy w sprawie budowy chemicznéj cząsteczki białka. W wielu téż procesach życiowych, odbywających się w komórkach, jak np. w następujących po sobie fazach podziału jąder i komórek, bezwątpienia dokonywa się przemiana wzajemna poszczególnych ciał białkowych. Że zaś, według przypuszczeń Pflügera, zjawiska życiowe protoplazmy ściśle są związane z bezustannem rozszczepianiem się i syntezą cząsteczek białka, przeto obraz chemiczny żywego ciała protoplazmy w każdéj chwili musi być inny

W przeciwstawieniu do komórek zwierzęcych, roślinne otoczone są chemicznie różną błoną, co niejako nadaje im cechy specyficznie roślinne. W jaki sposób wytworzyły one te błony, o tém możemy są-

dzić z historyi rozwoju istniejących obecnie jeszcze roślin prostszych. Przeważna część zielonych wodorostów, zamieszkujących nasze stawy i bagna, rozmnaża się w ten sposób, że protoplazma ich komórek przez podział rozpada się na wiele części. Ścianka komórki rozpuszcza się w pewném miejscu i przez otwór ten cząstki komórki wypełzają na zewnątrz. Mają one przeważnie kształt gruszki, a na zwężonych, przednich swych końcach zaopatrzone są w cieniutkie rzęsy. Rzęsami temi uderzają po wodzie i odpływają. W tym stanie części te komórek zdają się być zwierzętami, i w istocie poruszają się jak zwierzęta, póki nie są otoczone błoną. Lecz wkrótce już po oddzieleniu się od komórki macierzystéj poczyna się odkładanie błonki na powierzchni ciała protoplazmatycznego. W miarę posuwania się tego procesu zwalnia się ruch protoplazmy: przednim swym końcem przyczepia się ono do jakiegokolwiek obcego ciała, poczyna się wydłużać, dzieli się zazwyczaj w poprzek i wreszcie przedstawia taką samą roślinkę, z jakiéj powstała. Oczywistém jest, że wskutek obecności tych ścianek, które oddzielają w roślinie pojedyńcze ciałka plazmy, ogólna sprawność całego organizmu cierpiéć musi.

Do niedawna przyjmowano, że ciałka plazmatyczne komórek roślinnych w zupełności są od siebie oddzielone powyższemi błonkami i że wcale nie łączą się ze sobą. Wobec tego uprawnioném było pytanie, jak objaśnić w tych warunkach współdziałanie pojedyńczych komórek na usługi całego organizmu i w jaki sposób wytłómaczyć to wypada, że jednakże roślina w całéj swéj masie niepodzielną jest jednostką życiową. Zagadnienie to zostało wkrótce rozwiązane, gdy wykryto, że poszczególne ciałka plazmy komórek połączone są ze sobą delikatnemi niteczkami protoplazmatycznemi. Nitki te przebijają ścianki, sięgają od komórki do komórki i w ten sposób sprawiają, że żywa substancya rośliny istotnie znajduje się w nieprzerwaném połączeniu, że więc roślina, podobnie jak zwierzę, stanowi jeden, niepodzielny, żywy organizm. Lecz to połączenie żywych komórek w organizmie roślinnym jest ograniczone, i ogólna sprawność rośliny nie mogła zatém wykroczyć po za pewne określone szranki. Objawy życia rośliny pozostały niejako tylko sumą ograniczonych funkcyi oddzielnych komórek, gdy tymczasem ciało zwierzęcia, dzięki głębszemu zespoleniu się i wzajemnemu przeniknięciu swych pierwiastków, stworzyło wyższe jednostki, obdarzone zdolnościami odpowiednio spotęgowanemi.

Nader jest pouczającém, że w niektórych grupach państwa roślinnego postępowe różnicowanie się komórek i funkcyi kroczyło po drodze odmiennéj, niż zazwyczaj. W tych razach rośliny osiągnęły

stosunkowo wysoki stopień rozczłonkowania zewnętrznéj swéj postaci i względnie daleko idący podział funkcyi, choć ciało nie podzieliło się na mnóstwo odrębnych komórek. W roślinach takich widzimy organizmy niekomórkowe, dowodzące sobą, że podział komórek jedną jest tylko z wielu rozmaitych dróg prowadzących do wyższego rozwoju i do doskonalenia czynności życiowych. Lecz ta droga komórkowego różnicowania się widać najlepszą, najkorzystniejszą się okazała, skoro organizmy niekomórkowe spotykamy tylko w pewnych grupach wodorostów i grzybów. Rośliny te w całém swém ciele składają się z jednego tylko skupienia plazmy i posiadają liczne jądra rozsiane nieregularnie. Znajdują się one w większych ilościach śród wodorostów morskich w wielkich głębiach mórz południowych.

W roślinach tylko młode komórki, komórki tkanek jeszcze niezupełnie wyrosłych i gotowych do doskonałego spełniania swych czynności, całkowicie są wypełnione protoplazmą; w komórkach tych jądro niepomiernie jest duże w stosunku do reszty ciała komórki, i to samo już wskazuje, jak znaczny ma ono udział w zjawiskach kształtowania się. Kiedy dla tkanek zwierzęcych komórka całkowicie plazmą wypełniona jest stałą cechą charakterystyczną, to rozwinięta, zupełnie wyrośnięta komórka roślinna zazwyczaj jest wydrążona. Protoplazma kurczy się w niéj i przylega do ścianki, a wnętrze komórki wypełnia się wodnistym sokiem komórkowym. W części komórki wydrążone biorą na siebie pewne bierne zadania, jak np. służą za kanały, któremi rostwory odżywcze od korzenia płyną ku liściom.

Wiadomo ogólnie, że plazma komórek i ich jądro powstają wyłącznie drogą podziału, którego szczegółowe fazy z niezmierną gorliwością zostały wyśledzone. Przez długi czas wszakże nie były znane sposoby powstawania innych części komórki: chromatoforów i centrosomów. Lecz i w tym kierunku ostatnie czasy przyniosły mnóstwo faktów, które streścić można w ten sposób, że wiedza dzisiejsza nie zna wogóle wolnego powstawania komórek, jąder, chromatoforów i centrosomów. Wszystkie te części składowe żywych tkanek powstają jedynie drogą podziału z podobnych do siebie utworów. Dziwna, że tym sposobem ostatecznie doszliśmy do rezultatów sprzecznych z temi, na których opiérały się pierwsze, zasadnicze badania nad komórkami Schleidena i Schwanna. Obadwaj bowiem ci badacze twierdzili, że komórki i jądra na nowo powstają, obecnie natomiast wszystkie komórki organizmu wyprowadzamy z jednéj pierwotnéj komórki jajowéj, a wszystkie jądra, centrosomy i chromatofory z jądra, centrosomów i chromatoforów téjże komórki jajowéj.

Najelementarniejszą, rzec można, własnością fizyologiczną pro-

toplazmy jest jéj pobudliwość, czyli zdolność odpowiadania ruchem na bodziec zewnętrzny. Nie umiemy sobie objaśnić w sposób zadawalniający mechanizmu pobudliwości. Kiedy w istotach zwierzęcych, obdarzonych zawiłym aparatem nerwowym, sam akt pobudliwości, — czy to w postaci względnie prostego odruchu, czy téż jako nader złożony kompleks ruchów w zjawiskach myśli i świadomości—daje się analizować w swych częściach składowych i z powodu właśnie swéj zawiłości badać w szczegółach; inaczéj natomiast dzieje się, gdy mamy do czynienia z istotą jednokomórkową lub z bezkształtnym kłaczkiem protoplazmy. Ostatecznie i przy badaniu pobudliwości wyższych tworów dochodzimy zawsze do najprostszych pierwiastków, do zwykłéj komórki. Tak więc — ogólnie mówiąc — wszystko zmierza do poznania objawów i przyczyn ruchu protoplazmy w najprostszéj jéj postaci. A w tym względzie wiedza współczesna nie daje odpowiedzi wolnych od wszelkich wątpliwości. Przeciwnie, wyraźnie w dzisiejszych kierunkach naukowych dostrzedz się dają dwie tendencye z różnych wychodzące założeń. Jedni powiadają, że mamy tu do czynienia ze zjawiskami tego samego szeregu, które u wyższych tworów obdarzamy nazwą psychicznych; drudzy zaś całkowicie pozostają na gruncie mechanistycznym i w procesie pobudliwości nie widzą większych tajemnic, aniżeli np. w zjawisku powszechnego ciążenia martwéj materyi lub w przyciąganiu się i odpychaniu atomów. Kierunek wiedzy dzisiejszéj sprawia, że badania przyrodnicze poruszają się w zakresie mechaniki cząsteczkowéj, gdyż brak nam zupełnie możności i środków do mierzenia zjawisk psychicznych. Płodność tego kierunku, stwierdzona tyloma doniosłemi zdobyczami, pozwala się spodziéwać, że i na téj drodze dojdziemy do pewnego zrozumienia zajmujących nas tu faktów. Trudności zaś, które dotąd piętrzą się przed badaczem, zagrzéwają jedynie do zapału i pociągają za sobą doskonalenie metod badania, jakiego dotychczas nie znają dzieje wiedzy.

Dla charakterystyki tych trudności, jakie badacz napotyka przy studyowaniu objawów życia najprostszych istot żyjących, przytoczę tu tylko dwa przykłady, dość dawno temu już opisane przez Cienkowskiego i Engelmanna.

Vampyrella Spirogyrae jest mikroskopową małą, nagą, czerwono zabarwioną komórką, która okazuje się zupełnie bezkształtną. Cienkowski nie mógł w niéj dostrzedz jądra, drobne zaś ziarenka w protoplazmie są może tylko resztkami pokarmu. Otóż ta mikroskopowa kropla protoplazmy odszukuje sobie z pomiędzy wszystkich gatunków roślin wodnych jeden zupełnie określony, mianowicie *Spirogyrę*, a gar-

dzi wszelką inną żywnością. Widać ją pełzającą i wyciągającą niby nóżki póty, póki nie natrafi na *Spirogyrę*. Gdy dopnie tego, przysiada do ścianki błonnikowéj jednéj z komórek Spirogyry, rozpuszcza ją w miejscu zetknięcia i wsysa w siebie jéj zawartość, następnie wędruje do innéj komórki i powtarza ten sam manewr. Nigdy nie widział Cienkowski *Vampyrelli* napastującéj inne wodorosty lub przyjmującéj do swego ciała wogóle jakiekolwiek inne materye; umyślnie w tym celu pozostawionemi *Vaucheriami*, *Oedogoniami* zawsze gardziła. U innéj monady, *Colpodella pugnax*, zaobserwował Cienkowski, że karmi się ona wyłącznie roślinką *Chlamydomonas:* „nakłuwa *Chlamydomonas*, wysysa występujący chlorofil i ucieka.“ „Zachowanie się tych monad—mówi Cienkowski—przy odszukiwaniu i przyjmowaniu pokarmów jest tak zadziwiającém, że zdaje się, iż widzimy przed sobą czynności istot świadomych.“

Arcelle są to również istoty jednokomórkowe, ale z ustrojem o tyle zawilszym od *Vampyrelli*, że posiadają jądra i wydzielają skorupę. Skorupa ta ma formę wypukłowklęsłą. Pośrodku wklęsłéj powierzchni znajduje się otwór, z którego występują nibynóżki i ukazują się na krawędzi skorupy, jako jasnoszkliste wyniosłości. Gdy kroplę wody, zawierającą *Arcelle*, przenieść pod mikroskop, często można zauważyć, że niektóre z tych żyjątek, że tak powiem, padają na grzbiet, t. j. wypukłą powierzchnią dotykają podstawy, tak że występujące u krawędzi skorupy nibynóżki nie mogą nigdzie znaleść punktu oparcia. Widać wtedy w protoplazmie po jednéj stronie w pobliżu krawędzi powstające pęcherzyki gazu; strona ta staje się gatunkowo lżejszą i podnosi się; wtedy zwierzątko staje na przeciwległéj krawędzi. Teraz udaje mu się przyczepić do podkładki nibynóżkami i obrócić się, tak że wszystkie u krawędzi wystające nibynóżki dotykają podkładki. Wtedy dopiéro wciąga w siebie napowrót pęcherzyki gazu i swobodnie pełza. Gdy kroplę z *Arcellami* przeniesiemy na dolną powierzchnię szkiełka pokrywkowego komory gazowéj, wówczas *Arcelle* przedewszystkiém, dzięki sile ciężkości, zbiérają się na dolnéj powierzchni kropli. Jeżeli nie znajdują tu punktu oparcia, w takim razie wydzielają duże pęcherze gazu, przez co całe zwierzę staje się gatunkowo lżejszém od wody, i podnoszą się ku górze w kropli wody. Jeżeli do górnéj powierzchni szkła przybywają w takiém położeniu, że nie mogą się oprzéć nóżkami, zmniejszają wówczas pęcherze gazu z jednéj strony lub zwiększają je z drugiéj, niekiedy także jednocześnie z jednéj zmniejszają, a z drugiéj zwiększają, aż wreszcie zwierzątka brzeżkiem skorupy dotykają powierzchni szkła i mogą się obrócić. Gdy cel ten został osiągnięty, pęcherze gazu znikają;

zwierzęta mogą teraz poruszać się, pełzając po powierzchni szkła. Gdy przez ostrożne dotknięcie cienką igłą odrywamy je od powierzchni, padają one znów najprzód na dolną powierzchnię kropli, znów wydzielają pęcherzyki gazu, podnoszą się i tak daléj. I jakimkolwiek sposobem starać będziemy nadawać *Arcellom* niewygodne położenie, zawsze umieją one przez wydzielanie pęcherzyków gazu odpowiedniéj wielkości i w odpowiedniém miejscu przejść w położenie właściwe, by módz się naprzód poruszać. .Gdy cel ten zostaje osiągnięty, natychmiast znikają pęcherzyki. „Trudno zaprzeczyć, — powiada Engelmann—że fakty te dowodzą procesów psychicznych w protoplazmie.“ (Porów. Bunge, „Witalizm i mechanizm“).

W czasach ostatnich znakomity biolog francuski, Alfred Binet, zebrał wszystkie fakty, przemawiające za nader skomplikowanemi zjawiskami życiowemi protoplazmy, w dziełku p. t. „*La vie psychique des microorganismes.*“

Maksymiliam Flaum.





FILOLOG POLSKI

WIEKU XVI.

Kazimierz Morawski: „Andrzéj Patrycy Nidecki, jego życie i dzieła“. Kraków, 1892. Nakładem Akademii umiejętności. 8-o, str. 402.

Andrzéj Patrycy Nidecki (1522—1587) był najświetniejszym reprezentantem uczonych humanistów polskich. Pisał dzieła filologiczne, apologetyczne i historyczne. Za młodu przyjął niższe święcenia kapłańskie, wyższe dopiéro w dojrzalszym wieku wahając się długo, czy ma zostać księdzem. Z początku nie bardzo ugruntowany w wierze, stał się następnie gorliwym katolikiem, tak dalece, że kiedy Batory zabiérał się do przywrócenia katolicyzmu w Inflanciech, Nideckiego przeznaczył na biskupstwo inflanckie. Karyerę swoją rozpoczął od posady sekretarza u biskupa kujawskiego, Zebrzydowskiego; potém przeszedł do kancelaryi królewskiéj, w któréj był czynny za Zygmunta Augusta, Anny Jagiellonki i Stefana Batorego, doszedłszy w téj służbie do wielkiego znaczenia.

Nidecki był przedewszystkiém filologiem. Sławę europejską zawdzięczał krytycznemu wydaniu fragmentów Cycerona (pierwsze wyd. w Wenecyi r. 1561). Zachwycał się pracą tą Sigonius i pisał, że nikt już chyba na podobne zadanie po Nideckim porwaćby się nie ośmielił. Winszował tego dzieła Nideckiemu Pietro Vettori, jeden z najznakomitszych humanistów wieku. Sławny profesor Sorbony, Dyonizy Lambin, w wielkiém wydaniu Cycerona z r. 1566 osobną wzmianką wyszczególnił jego zasługi. Profesor ingolstadzki, Anglik Turner, nie miał dosyć słów na wyrażenie swego podziwu, wołając do wydawcy: „*Apollo es, non coniectator!*“ W nowszych czasach (1862) znakomity znawca Cycerona, Karol Halm, Niemiec, odsyła dzisiej-

szych wydawców fragmentów cycerońskich do drugiego, rozszerzonego wydania Nideckiego z r. 1565, jako do źródłowego, bez którego przy studyach cycerońskich nie można się obejść. Świadczą tedy głosy cudzoziemców poważne, że praca ta, obejmująca najtrudniejsze zadania krytyki, wyszła z nich zwycięsko. Książka Nideckiego jest też „najznakomitszém dziełem, jakie filologia polska wydała i zaszczyt naszemu odrodzeniu przynosi“.

Ale w Polsce o Nideckim głucho—bo filologia u nas się nie rozwinęła. Dopiéro prof. Morawski odkrył go nam na nowo i wykazał, że do plejady świetnych imion naszego XVI wieku należy przydać i to imię.

W r. 1884 wyszła pierwsza część dzieła prof. Morawskiego, obejmująca czasy do r. 1572 i już wtenczas zwróciła uwagę nietylko erudycyą i skrzętném, a umiejętném wyzyskiwaniem źródeł, ale też niepospolicie, zaiste, rozległym horyzontem autora i wszechstronnością jego umysłu, obdarzonego prawdziwym zmysłem historycznym. Obecnie wychodzą obie części w jednym tomie, tak, że część pierwszą mamy tu w drugiém wydaniu, poprawioną i wzbogaconą na podstawie nowych źródeł; część zaś druga, obejmująca czasy Batorego, nietylko godną jest swéj poprzedniczki, ale przewyższa ją może, mianowicie pod względem nadobnego sposobu przedstawienia rzeczy, bez najmniejszéj ujmy dla przedmiotu, ale właśnie z wielką dla niego korzyścią.

Tytuł książki zapowiada tylko żywot znakomitego filologa i ocenę jego dzieł; ale książka daje bez porównania więcéj, a tytuł jéj powinienby właściwie brzmiéć: „Nidecki i jego czasy“.

Po kilku uwagach wytrawnego znawcy humanizmu o jego zawiązkach i rozwoju w Polsce XV i XVI wieku, mamy we wstępie krótki, a misternie szczegóły grupujący rzut oka na Akademią krakowską. Rozdział I zaczyna się opowiadaniem o rodzinie Nideckiego, wykazaniem, że rzeczywiście szlacheckiego był pochodzenia; jest tu zajmująca charakterystyka dziejowa miasta Oświęcimia, rodzinnego miejsca Patrycego. Następnie wstąpiwszy z Nideckim do Krakowa, otrzymujemy charakterystyki Lismanina, biskupów: Tomickiego i Maciejowskiego, uczonych Royziusa, Illicinusa, a wreszcie Zebrzydowskiego, naoczas biskupa kujawskiego, u którego Nidecki został sekretarzem. I „*villa Promnicensis*“, nasza sławiona przez pisarzy XVI w. przystań humanizmu na Prądniku pod Krakowem, znalazła tu należne sobie miejsce. Do Krakowa powrócił wkrótce Nidecki, gdy Zebrzydowski został biskupem krakowskim. Dwór biskupi i jego goście, tudzież wzmianki o współczesnym stanie umy-

słów co do sprawy religijnéj tworzą rozdział IV. W V udajemy się z Nideckim do Włoch, do szkoły padewskiéj, dokąd go wysłał Zebrzydowski; poznajemy się z Robortellem, z Manucyuszem i z padewskimi kolegami Patrycego, wśród których błyszczy nazwisko Jana Kochanowskiego; wzajemny stosunek „dwojga luminów zacnych korony Polskiéj“, które się w Padwie spotkały, wychodzi z pod pióra autora tak, że sam w sobie mógłby tworzyć drobny, ale piękny, a w szczegółach zupełnie wykończony obrazek literacki. Rozdział VI przedstawia nam, po powrocie Nideckiego do kraju, stosunki nasze „wśród burzy reformacyi“, krótko, w przelocie, tak jak krótkim był pobyt w Polsce Patrycego, który wnet powtórnie wyjechał do sadu humanizmu włoskiego. Druga ta podróż była dłuższą, trwała półtora roku i miała „wycisnąć na jego osobie znamię niczém nie zatarte“. To też w rozdziale VII zapoznaje nas autor dokładniéj z uczonymi włoskimi, z Polakami, bawiącymi równocześnie we Włoszech, a zwłaszcza z dwoma osobami: słynnym, czy też osławionym późniéj biskupem-apostatą, Andrzejem Dudyczem (który bywał czynnym téż w Polsce w misyach dyplomatycznych) i ze skromnym Stanisławem Fogelwederem, późniejszym sekretarzem i dyplomatą Zygmunta Augusta, który nie narobił wrzawy swą osobą i mniéj téż jest znany, ale zato zawsze — dobrze wspominany.

Słusznie autor dopiéro przy drugiéj podróży włoskiéj Nideckiego „zamyka jego młodość“; teraz bowiem dopiéro ukończyło się i dojrzało to, co jest zadaniem młodości, przygotowanie do życia czynnego, t. j. do samodzielnego działania w kierunku zdolności indywidualnych. Dopiéro drugi pobyt we Włoszech, że się tak wyrażę, skrystalizował umysł Nideckiego. Po powrocie do kraju rozpoczynają się pierwsze naukowe prace, w zaciszu wsi Bierzanowa (dokąd schroniono się przed powietrzem) dojrzéwa pierwsze wydanie fragmentów cycerońskich, dokonane pomimo wielkiego, bo niemal zupełnego braku pomocniczych środków naukowych na miejscu. Nowi ludzie występują zarazem na widowni życia Nideckiego. Filip Padniewski, następca Zebrzydowskiego na stolicy krakowskiéj, któremu Nidecki dedykuje fragmenty i Piotr Myszkowski, ten uczeń Łazarza Bonamico, o którego względy starał się nawet Manucyusz. Słusznie mówi autor o Myszkowskim, że to „jedna z najciekawszych, bardziéj pociągających postaci w dziejach naszego humanizmu“; to téż od VIII rozdziału aż do XV spotykamy się z nim ustawicznie, ciągle z jakiéj innéj strony przypatrując się jego charakterowi i działalności, którą tyle objął pierwszorzędnéj wagi spraw publicznych. Rozdział IX opisuje „humanizm w kraju i jego wpływy“; ważném tu jest zwłaszcza zwrócenie uwagi na zajęcie, jakie u współczesnych Polaków

znajdowały prace filologiczne Nideckiego, bo to rzeczywiście „ciekawe rzuca światło na stan naszéj kultury, tego bujnego życia naukowego, które naówczas w Polsce zakwitało“. Wśród tych, którzy się tą pracą żywo interesowali, stoi na pierwszém miejscu nie kto inny, jak Jan Zamojski, który nie przestał być uczonym humanistą, późniéj, gdy został kanclerzem i hetmanem. Czynność Zamojskiego w zakresie filologii przedstawił nam autor dokładnie.

Z Zamojskim schodzi się Nidecki w kancelaryi królewskiéj, do któréj wstąpił jako sekretarz w r. 1560, już w trzydziestym ósmym roku życia. Używano go przeważnie do spraw pruskich, zwłaszcza biskupstwa warmińskiego. Daje to pochop autorowi do podania jędrnego obrazu działalności Hozyusza. Są też portrety kolegów Nideckiego z téj kancelaryi: Solikowskiego, Wolskiego, Zamojskiego i znów Kochanowskiego, którego stanowisko na dworze scharakteryzowane krótko a dobitnie. Obszerniejszą od innych jest charakterystyka Marcina Kromera, najdokładniejsza i najbardziéj informująca ze wszystkiego, co u nas dotychczas o Kromerze napisano; dużo światła rzuca tu stały stosunek z Nideckim, rozpatrywany też stale przez autora w różnych miejscach życia Nideckiego. Osobny rozdział, będący wzorem gruntowności i objektywności w sądach, poświęcony jest wyłącznie charakterystyce samego Nideckiego. Na tymto rozdziale (XII) kończy się część pierwsza książki.

Część druga zaczyna się świetném przedstawieniem osoby i roli Anny Jagiellonki, tudzież dworu Henryka Walezego, tak, że czytelnik wchodzi od razu *in medias res* nowéj sytuacyi. Nidecki przeszedł na służbę infantki; idąc w ślad za nim sumienny autor nietylko śledzi wszystkie jego czynności, ale swoim zwyczajem studyuje gruntownie tło, na którém one się rozwijały. I znowu powiedzieć można śmiało, że nigdzie nie znajdzie się tylu wiadomości do spraw Anny Jagiellonki, ile w tém „życiu Nideckiego“; nigdzie osoba infantki nie jest opracowana tak dokładnie, a przytém tak po mistrzowsku: opisując stosunek jéj do Batorego przywodzi autor dużo nieznanych szczegółów. A jak przedstawiony Batory, z jakim pietyzmem, z jaką czcią, a przytém jak wiernie, jak historycznie! Książka obejmując całe panowanie króla Stefana, dotyka mnóstwa spraw politycznych, społecznych i religijnych, a zawsze w ten sposób, że znać na każdym kroku niepospolite obycie się z przedmiotem. Autor używa tu źródeł ekspedycyi rzymskiéj i stąd znajdujemy tutaj niejedno, czego jeszcze nie było w książce prof. Zakrzewskiego „Stefan Batory“ [1]).

---

[1]) Teki rzymskie wyzyskane są aż do roku 1890. Ktoby był ciekaw. co nowego do czasów Batorego przyniosły badania roku 1890, znajdzie wskazówki

Wiadomo, że prof. Zakrzewski jest *par excellence* naszym historykiem XVI wieku. On studya nad nim podźwignął, on podał program i wskazał sposób wydawania źródeł tego stulecia, sam je téż wydawał. Wszyscy wiedzą, że w sprawach XVI w. głos jego ma dla historyków wielką powagę. Nie wszyscy jednak przeczytają jego dzieło „Po ucieczce Henryka“—bośmy do czytania grubszych książek nie tacy skorzy! — a nie każdy ma tyle historycznego przygotowania, ażeby mógł czytać „Stefana Batorego“ nietylko z tą przyjemnością, jakiéj użycza zawsze lektura w doskonałą formę przybranych pism tego autora, ale zarazem z trwałą korzyścią; kto tedy nie może czy nie chce czytać tamtych dzieł, znajdzie w „Nideckim“ także krótkie niejako ich repetytoryum. Kto tamte czytał, ten to bezwarunkowo czytać musi, bo to także praca samodzielna a przytém to i owo znajdzie tu nowego. Przeczytanie zaś „Nideckiego“ zachęci nawzajem niezawodnie niejednego, ażeby sięgnął z kolei do tamtych, obszerniejszych i wyczerpujących dzieł specyalnych. Doprawdy, kogo prof. Morawski tą książką nie poruszy, nie zaciekawi, w kim ona nie wzbudzi żywego interesu do bliższego poznania czasów króla Stefana, ten chyba nie ma w sobie ani odrobiny tego zmysłu historycznego, który za naszych właśnie czasów stał się niejako cechą powszechnéj europejskiéj inteligencyi i przejawia się nietylko u uczonych z pod przeróżnych znaków, ale téż manifestuje się u ogółu wykształconéj publiczności na każdym kroku, w jéj zamiłowaniach szlachetnego dyletantyzmu, w zapatrywaniach estetycznych i t. p.

W „Nideckim“, którego każda ćwiartka na gorące zasługuje pochwały, opisanie spraw Batorego jest koroną dzieła. Rozdziały takie, jak XV—XVII „Kierunki duchowe za Batorego“, „Dwór i Jan Zamoyski“, „Podczas wielkiéj wojny“, muszą się wryć każdemu w pamięć nawet po jednorazowém przeczytaniu, tak są pisane dobrze i zręcznie; ale zarazem tak pięknie, że wyjątkowo ktoś chyba poprzestanie na jednorazowém przeczytaniu.

Pod wpływem wielkiego króla (wszak każdy zacny i rozumny bywał pod jego wpływem!) Patrycy zostaje — historykiem. Pisze *„commentarii de tumultu gedanensi“* i drugie obszerne dzieło, którego niewydane, ślady odnajduje autor w roku 1776, wyrażając nadzieję że może się jeszcze da odszukać. Podróżując ciągle, jako sekretarz

---

w sprawozdaniu z posiedzenia Akademii, wydziału historyczno-filozoficznego z dnia 10 kwietnia 1891, tudzież w „Bulletin International de l'académie des sciences de Cracovie“ Avril 1891. str. 136. W roku 1890 znaleziono nowe akta zasadniczéj doniosłości, do panowania Batorego.

królewski, ma nareszcie i on wraz ze swym królem „rok pokoju i wczasu“ (1583). Nazbierał sobie tymczasem tyle beneficyów, że wyliczenie wszystkich jego tytułów duchownych byłoby typowym przykładem kumulacyi, bo zajęłoby kilka wierszy druku. Miał o to kłopoty z legatem, ale wiadomo, że pod tym właśnie względem księga ustaw soboru trydenckiego długo jeszcze została u nas martwą literą. Ten rok wypoczynku poświęcił pracy naukowéj; wydał cztéry mowy. Cycerona z komentarzem, tudzież dzieło apologetyczne: „*De ecclesiae vera et falsa*“ (przedtém już, w r. 1574, napisał: „*Paralella ecclesiae Catholicae cum Haereticorum Synagogis*“). W następnym roku, 1584, mianował go król biskupem inflanckim, ale do swéj dyecezyi zdążył zjechać dopiéro na wiosnę r. 1586. Nie długo używał swego dygnitarstwa, bo już w lutym 1587 r. żywot zakończył, przeżywszy o niecałe dwa miesiące tego, którego przedwczesnéj śmierci samo wspomnienie dziś jeszcze okrywa nas żałobą: króla Stefana.

Dobiegłem szybko do końca książki, o któréj streszczenie należyte i tak nie można się kusić. Trzeba jednak jeszcze zaznaczyć, ilu tu różnych spraw dotknięto, ile opracowano, ile tu w szczegółach nareszcie nowych rzeczowych przyczynków do ogólnéj znajomości XVI wieku. Tak np. wprowadza nas autor do kancelaryi królewskiéj, a rzecz tę studyuje tak, że nigdzieindziéj nie można się dowiedziéć więcéj o téj kancelaryi; przesuwa przytém przed oczyma naszemi wszystkie te wielkie sprawy, cały ten ruch i wszystkie przewroty ówczesnéj polityki. Patrycy pisał także w obronie kościoła katolickiego; a więc autor wprowadza nas w wir tych sporów XVI w., maluje żywemi barwami powstanie t. z. „kontrreformacyi“, a w wybornych charakterystykach przedstawia szereg współczesnych wybitnych mężów. Niektóre postaci, jak np. Górski i Herbest, tutaj dopiéro po raz pierwszy wyłaniają się wyraźniéj z mgły dziejowéj [1]) Ten drugi przedstawia się nam teraz dopiéro postacią wykutą z jednéj bryły kamienia, tęgim, konsekwentnym charakterem, jakim był rzeczywiście [2]). A ileż tu postaci jeszcze epizodycznych, jak np. ten krakowski mieszczanin, Trzecieski (rozdział XI) tak charakterystyczny i ciekawy, lub ów siostrzeniec Nideckiego. O Szymonie Maryckim mamy tu téż tyle wiadomości, a w znacznéj części nowych, że

[1]) Nie udzielił autor bliższych wyjaśnień w sprawie osławionego sporu o peryody. Uczyni to zapewne w zapowiedzianéj monografii Górskiego i pouczy nas, co właściwie o tém sądzić należy.

[2]) O trafności charakterystyki Herbesta przez prof. Morawskiego miałem sposobność przekonać się z własnych poszukiwań w archiwum watykańskiém.

„Nidecki“ i do niego najlepszym będzie informatorem. Poprzestaję na tych przykładach, a reasumując, powtarzam, że autor obdarzył nas obrazem całego społeczeństwa polskiego XVI w.; wszystko, cokolwiek wpływało na tok spraw publicznych i społecznych, doznało tu sumiennego, gruntownego opracowania.

Mamy tedy do czynienia z poważnym, pierwszorzędnym objawem literatury naukowéj, historycznéj. Autor już od dość dawna zmuszał do pytania: czy go za filologa uważać, czy téż za historyka. Pytanie to powraca teraz na wielką skalę. Zważmy, że dziś każda nauka (a na zachodzie bardziéj, niż u nas) pozostaje w ścisłéj łączności z dziejopisarstwem. W naszych czasach historya nadaje ton wszystkiemu; każda téż nauka zwraca się do swéj przeszłości, a znakomici reprezentanci nauk specyalnych poświęcają swe pióra krytycznemu opracowaniu ich dziejów. Jeżeli filolog polski zabrał się do napisania monografii z historyi filologii w Polsce, jest to tedy tylko pożądanym objawem, że europejski prąd naukowy przechodzi w nasze granice. Taka monografia jest téż w książce prof. Morawskiego, wraz z oceną naukowéj działalności Nideckiego ze stanowiska zawodowego.

To pisał filolog. Ale jest w téj książce jeszcze coś więcéj i to znacznie więcéj. Cóżby nam filolog (jako taki) mógł powiedziéć o Nideckim, jako o sekretarzu królewskim i autorze pism apologetycznych? Różnorodność życia Patrycego zmusiłaby biografa-filologa, ażeby w znacznych okresach życia swego bohatéra poprzestawał na prostém zestawieniu dat biograficznych—do których dostarczyć tła, skonstruować je syntetycznie, objaśnić je i w należytém okazać świetle mógłby tylko historyk. Cóż filologa obchodzi sprawa barska sum neapolitańskich, któremi to sprawami zajmował się dużo Nidecki, cóż go obchodzi stosunek Anny Jagiellonki do społeczeństwa lub Węgrzy na dworze Batorego i t. p. Kto życie Nideckiego przedstawił tak, jak tego dokonał prof. Morawski, ten bezwarunkowo zalicza się do historyków i to do bardzo dobrych. Trzy czwarte téj książki pisał historyk, zaledwie jedna czwarta przypada na filologa. To téż stanie się ona własnością duchową wszystkich, którzy się interesują literaturą historyczną.

Krytyka historyczna pyta najpierw o źródła. Drukowanych znalazło się niewiele, zaledwie luźne wzmianki u Górnickiego, Górskiego, Kochanowskiego, w listach ogłoszonych przez Przezdzieckiego w „Jagiellonkach polskich“, przez Wisłockiego w korespondencyi biskupa Zebrzydowskiego, tudzież wydanych przez ordynacyę warszawską Aktach podkanclerskich Krasińskiego. Niewiele znalazło się w ko-

respondencyi Pawła Manucyusza, Hozyusza, Reszki i Turnera, Anglika. Dzieło prof. Morawskiego opiera się w lwiéj części na materyale niewydanym, który sam autor w archiwach wyszukał i zebrał. Jak do każdéj pracy historycznéj w ostatnich latach, tak też i do téj przysłużyło się nieprzebrane w swych archiwach muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie (8 kodeksów); kilku listów dostarczyły dwa kodeksy bibl. Jagiellońskiéj. Główny materyał pochodzi z dwukrotnéj podróży archiwalnéj autora; nawiedził bibliotekę ordynacką w Warszawie i biskupie archiwum we Frauenburgu, gdzie znalazł skarb: około 100 listów samegoż Nideckiego. Na resztę złożyły się archiwum w Suchéj, archiwum akt grodzkich krakowskie, akta konsularne krakowskie, archiwa kapituł krakowskiéj i włocławskiéj, archiwum pelplińskie, „teki rzymskie“ naszéj ekspedycyi archiwalnéj włoskiéj, tudzież metryka koronna. Gorliwe te poszukiwania ukoronowało nareszcie (po trzechletnich zachodach) odszukanie obszernego testamentu Nideckiego, aktu bardzo ciekawego do historyi kultury wogóle, a do biografii jego obfitującego w mnóstwo ważnych dla biografa szczegółów, znalazł się w aktach konsystorskich dawnéj kolegiaty warszawskiéj. Opiera się tedy autor wyłącznie na współczesnych źródłach, a jeszcze ważniejsza, niemal wyłącznie na źródłach bezpośrednich. Rzadkie-to szczęście nawet w pracach nad XVI wiekiem, żeby się módz obejść bez źródeł pośrednich; podnoszę tedy tę okoliczność, która niezmiernie dodaje wartości książce.

Źródła swe cytuje też autor przez cały ciąg książki w przypiskach, motywując w ten sposób każde ze swych twierdzeń z osobna.

Co do faktów podawanych przez autora żaden historyk nie będzie miał chyba sposobności polemizować o nie; każdy zaś na pierwszy rzut oka spostrzeże, ile tu nowych faktów się odkrywa. Do licznych zagadnień XVI wieku jest książka ta właśnie ostatnim wyrazem stanowiska dzisiejszéj nauki.

Tyle, co do treści — a teraz przejdźmy do formy. Trzeba mieć trochę odwagi, żeby powiedzieć śmiało, co się pod tym znowu względem o téj książce myśli; można się bowiem narazić na zarzut panegiryzmu; ale wolę taki zarzut, niż wyrzut, że się własne zdanie trwożliwie skurczyło. Piszący recenzye z lichot, mają przynajmniéj tę (marną) satysfakcyę, że stwierdzają własną wyższość ponad zwymyślanym autorem [1]); pisząc ją z arcydzieła, jest się zawsze w niebezpie-

---

[1]) Czy też przypadkiem nie téj „satysfakcyi“ przypisać wypadnie, że o książkach absolutnie bez wartości pojawiają się wcale liczne recenzye; gdy niestety, o kilku bardzo dobrych dziełach ostatnich lat szersza publiczność nawet nie wie, że wogóle istnieją.

spieczeństwie, że się opinię co do własnego znawstwa na szwank narazi. Znajdą się w dziele usterki, jak na słońcu plamy, — a każda usterka (choćby wyszukana mikroskopem) będzie niezbitym dowodem, że nie znał się na rzeczy ten, kto nowy klejnot literacki pierwszy nazwał po imieniu.

Forma w „Nideckim“ jest arcydziełem.

Kiedy w literaturze naszéj szukam dzieła, z któremby tę książkę można porównać, nasuwa mi się na myśl ciągle arcydzieło Szajnochy: „Jadwiga i Jagiełło“. Książka jest mniejsza i mniejszą osoba stanowiąca oś opowiadania, ale nie o to chodzi, tylko o to, że taki sam tu polot myśli, tak samo szerokie tło dziejowe i zrozumienie warunków całéj współczesnéj kultury, ta sama rozległość widnokręgu odsłaniającego się przed czytelnikiem, to samo powszechno-dziejowe stanowisko autora, te same przejawy europejskiego zakroju umysłu,— a wreszcie, ta sama swoboda pióra, opanowanie form i ta sama zdolność „przeléwania własnych ogni“ w czytelnika. Takich dzieł jest wogole nie dużo, a u nas niezmiernie mało. Poniemczyły się nasze pióra, pisujemy zawile i ciężko; chcąc czytać coś w ten sposób, aby było „*utile dulci*“, odsuwamy uczoną książkę polską, pisaną na wzór ciężkich niemieckich kalibrów, a uciekamy się dla wypoczynku do francuskiéj, która, choćby nie wiedzieć jak uczoną, nie przestaje być powabną, ponętną.

Najcięższym kłopotem dla autorów bywa to, ażeby szczegóły zręcznie wpleść w opowiadanie, żeby niemi czytelnika nie znużyć i nie wywołać uwagi o „ciężkim balaście“. Ten trudny, najtrudniejszy może węzeł literatury naukowéj rozwiązuje autor nader szczęśliwie. Szczegółów jest w téj książce tyle, ile rzadko w któréj, a jednak czyta się ją od początku do końca z takiém zajęciem, jakby jaką dobrą powieść. Uzbrojony w najwytworniejszą formę, porywa autor czytelnika za sobą w koło swoich rozmyślań i przymusza do zastanawiania się, gdzie tkwią prawdziwie dziejowe momenty przedmiotu. A ten długi szereg lotnych charakterystyk! Jakiż one mają urok przez to, że autor nie bawi się w rejestrowanie i klasyfikowanie oderwanych przymiotów, nie wojuje wcale banalnym aparatem przymiotników i dopełniaczy z pseudo-psychologicznéj zbrojowni literackiéj, ale opowiada nam nieustannie o czynach tych osób, których charakterystykę podaje; to téż jest w jego książce na każdym kroku życie i ruch.—Osobny rozdział poświęcony jest krytyce filologicznéj Nideckiego; zdawałoby się, że tu już z konieczności trzeba będzie być „cięższym“. Ale gdzież tam! nawet ten rozdział tak samo swobodnie i w nadobnéj

formie napisany i zajmujący dla wszystkich nie-filologów, jak cała książka.

Tyle co do formy. Teraz zaś pozwolę sobie podnieść pewne wątpliwości co do niektórych ogólnych myśli historycznych, zawartych w „Nideckim“. O ile co do znawstwa samego humanizmu i spraw związanych ściśle z wiekiem XVI-ym, można śmiało pisać się na wszystko, co „Nidecki“ zawiera, o tyle zastrzedz się trzeba przeciw niektórym z tych poglądów autora, które są wyrazem zapatrywań jego na całokształt naszych dziejów, lub przynajmniéj dotyczą ogólnéj dziejowéj charakterystyki narodu polskiego. Nie zwracałbym na nie uwagi i nie rozpisywałbym się o tém, bo poglądy te nie należą do *meritum* sprawy i rzucone są w książce niejako mimochodem, przy sposobności tylko—ale zniewala mnie do tego jedna okoliczność. Książka ta rozejdzie się niezawodnie w szerszych kołach publiczności, będzie nietylko czytaną, ale i odczytywaną, a wszystko, cokolwiek w niéj złożono, wywrze wpływ na opinię czytelników znaczny, dlatego że to podane w tak pięknéj formie. W umysł przeciętnego czytelnika najłatwiéj zaś wbijają się zawsze ogólniki, cóż dopiéro, gdy będzie nań oddziaływał stale, urok złotych iskier najpiękniejszego z talentów. Wielki talent pisarski bywa zazwyczaj zarazem wielkim darem przekonywania; czar pięknego słowa, to zawsze i wszędzie potęga niesłychana, a urok pięknéj formy jest najlepszym zadatkiem powodzenia treści. Gdyby nie te względy, możnaby pominąć niektóre mylne zapatrywania autora, skoro nie dotyczą one właściwego tematu; ale zachodzi obawa, że niejeden czytelnik sam je sobie na pierwszy plan wysunie.

Zachowanie się szlachty wobec Batorego tłómaczy autor antydynastycznością społeczeństwa (str. 307) [1]. O cały wiek zawcześnie użyto na tém miejscu tego argumentu. Byli wprawdzie już za Batorego ludzie antydynastyczni z zasady, których typem jest poseł Niemojewski, ale to były wyjątki i to nader rzadkie; ogół narodu i znaczna większość izby poselskiéj nie podzielała wcale tych zasad. Stając przeciw tronowi, robiono to już-to z czasowéj niechęci do osoby króla, lub do jego przedsięwzięć — ale przenigdy z zasady. Przeciwnie, szlachta była za Batorego jeszcze bardzo dyna-

[1]) Chodzi mi tu ściśle o historyczną, naukową stronę przedmiotu. Na téjże stronnicy są swoją drogą głębokie uwagi, płynące ze szczerego przekonania, a tak słuszne, że tylko życzyć wypada, ażeby się wryły w umysł jak najliczniejszych czytelników. Dużo wogóle jest miejsc w téj książce, którym bodaj się powiodło własne ognie autora przelać w piersi czytelników.

styczną. Mamy na to jaskrawy dowód w wyborze Anny Jagiellonki; czémże wytłómaczyć ten smutny objaw braku zmysłu politycznego, jeżeli nie dynastycznością aż do zbytku? Wkrótce zaś nastąpić ma wybór Zygmunta III-go [1]), przyczém zasada dynastyczna znowu niepośledni wpływ wywarła. Jeszcze zasady Niemojewskiego, jako takie, nie wpływają na tok spraw publicznych, jak to mylnie autor przypuszcza. Co się działo między Batorym a społeczeństwem, to nie ma związku z kwestyą dynastyczności; antydynastycznością niczego tu tłómaczyć nie można.

Autor niesłusznie uogólnia wnioski, które nasuwają się z przemówienia posła Niemojewskiego na sejmie. Poseł ten odradzał wojnę, argumentując, że „Cezaryanie po zwycięstwie stali się okrutnymi opresorami republiki". Dowodzi to tylko, że on, Niemojewski, był królowi niechętny, jako takiemu, z zasady i jest zarazem wskazówką, że w tych czasach można szukać genezy polskiéj antydynastyczności w powierzchowném wykształceniu humanistyczném. Jeszcze naród téj cechy nie ma, jeszcze się do tych zasad wcale nie stosuje, ale są już ich objawy (sporadyczne), są już jednostki (liczne), które je wyznają, są pierwsi u nas tych zasad apostołowie. Głoszona przez nich wiara polityczna, opór przeciwko rządowi z zasady, przeciw każdemu rządowi zawsze i wszędzie, żeby nie był silny, ta doktryna nie musiała jeszcze bynajmniéj przez naród być przyjętą; o tém miało dopiéro rozstrzygnąć następne pokolenie, bo pokolenie Zygmunta Augusta i Batorego wcale się temi zasadami nie przejmowało. W ten sposób ograniczyć należy pogląd prof. Morawskiego w téj sprawie.

Co do genezy naszéj antydynastyczności, można tę kwestyę uważać po „Nideckim" już za zupełnie wyjaśnioną. Miewano już różne podejrzenia co do polskiego humanizmu; oglądany zbliska wydawał się on już niejednemu złowróżbnym; a teraz największy jego znawca przemawia w ten sposób (str. 310): „Ten świat klasyczny powierzchownie tylko poznany, straszliwe wtedy w głowach polskich i w życiu ówczesném robił spustoszenia. Zapamiętywano sobie głównie rzeczy, któremi jak taranem w władzę królewską godzić było można. Ze spartańskich urzędników umiłowano eforów, z rzymskich—trybunów ludu." Dlaczego? bo ten świat klasyczny był u nas „powierzchownie tylko poznany"; oczywiście, że tylko powierzchow-

---

[1]) W archiwum watykańskiém pracując, stwierdziłem, że kandydatura Zygmunta III-go pojawia się już r. 1580. Zob. cytowane wyżéj sprawozdania.

ność mogła wydawać takich Niemojewskich. Kiedy się zaś przyjrzymy tym książkom, z których dalsze pokolenia czerpały swą humanistyczną mądrość, spostrzeżemy, że autorowie ich byli ignorantami i powierzchowność stawała się coraz większą. To też w XVIII wieku już lada szlachcic sejmikowy, choć w sztuce czytania mniéj biegły, sypał z rękawa tyrady na temat wszczęty przez Niemojewskiego. Po licznych spostrzeżeniach, nagromadzonych w różnych miejscach „Nideckiego“, trzeba już przyjąć, że „złota wolność“ jest dziecięciem humanizmu polskiego, pogrobowém wprawdzie, ale niemniéj przeto rodzoném. Naród nabył nową cechę, nieznaną zgoła dawniejszym pokoleniom: stał się antydynastycznym z zasady.

Wszystko to — przez powierzchowność. A wszakżeż w XVI w. mieliśmy — Nideckiego, filologa europejskiéj sławy! A tak; mieliśmy nadto i kilku jeszcze tęgich, choć mniéj słynnych filologów, ale potem już ich w Polsce całkiem nie było.

Nauka jest rzeźbiarką społeczeństw niemniéj od wpływów rasy lub klimatu. Stan nauki w daném pokoleniu decyduje poniekąd o zapatrywaniach ogółu w pokoleniu następném. Byle tylko działalność uczonych była c i ą g ł ą, pojęcia ich, przechodząc do coraz szerszych warstw, wejdą nareszcie w soki społeczeństwa. Na Zachodzie umiejętna filologia przekonywała społeczeństwa coraz bardziéj, że tamten świat swoją drogą, a nasz nowożytny swoją; że łączyć je, a cóż dopiéro mieszać, to absurdum; tam filologia rozbiła wszystkie ekstrawagancye humanizmu. A równocześnie u nas fantazya tych, którzy tylko „liznęli nauki“ nie miała hamulca.

Czemuż nie rozwinęła się filologia, pomimo to, że w XVI w. zapowiadała się u nas tak świetnie, że dodziśdnia szczycić się możemy takim Nideckim?

Wielu sądzi, że „brak twórczości naukowéj jest właściwością i wadą Polaków;“ prof. Morawski jest także tego zdania (str. 125). Przeciwko temu trzeba podnieść stanowcze *veto*. Przedewszystkiém dwie teoretyczne uwagi. Po pierwsze: Nieistnienie nie jest bynajmniéj dowodem niemożliwości bytu; może coś nie istnieć pomimo możliwości istnienia, (można być nieukiem pomimo zdolności). Powtóre: Nie ma specyalnéj naukowéj zdolności twórczéj; twórczość jest przymiotem ogólnym, który specyalizuje się dopiéro przez zastosowanie. Nie ulega wątpliwości, że naród polski posiadał zdolność twórczą w stopniu nader wysokim, o tém świadczy historya państwa, historya jego pracy cywilizacyjnéj i historya literatury. Mnie się nawet zdaje (trudno to na prędce bliżéj rozwijać), że my właśnie celujemy zdolnością twórczą; dokonaliśmy też cudów tam, gdzie ta zdolność obja-

wiała się stale, gdzie była ciągłą, działając z pokolenia na pokolenie. Skoro zaś była zdolność twórcza w ogóle, musiała być także do nauk. Przypominamy średniowieczną naszą filozofię scholastyczną, następnie Długosza, Kopernika, Brudzewskiego, Oczkę, Strusia, Brożka i t. d. Co do filologii, właśnie przecież „Nidecki“ dostarcza niewzruszonych dowodów, żeśmy okazali niepospolitą zdolność twórczą, która wysoko nawet rozwinąć się dała. Nie może tedy o to być żadnéj kwestyi, a zagadnieniu temu należy nadać inną formę, a mianowicie: Dlaczego u nas tak mało zastosowywano zdolność twórczą do nauk? w szczególności zaś, w tym wypadku, zapytać się: Dlaczego Polacy tak prędko przestali swą zdolność twórczą zastosowywać do filologii?

Pytanie to stawiano sobie u nas często i różne dawano odpowiedzi. Wszystko naraz pochłaniamy, nie przetrawiamy niczego spokojnie; raz to, drugi raz co innego chwytamy, a stałości w uprawianiu jednego działu nauki nie mamy żadnéj. Tak się dziś mówi powszechnie; a rzecz ciekawa, że tak samo mówiło się już w wieku XVI, bo właśnie te słowa wyjąłem — z przedmowy dedykacyjnéj Nideckiego do biskupa Padniewskiego z r. 1565! („Nidecki“ str. 127). Prof. Morawski zapisuje to zdanie, jako „złote słowa piętnujące nieurodzajną ruchliwość polskiego umysłu, który tak lubi rozstrzeliwać się i bujać na szerokiém polu nauki, świecić, a nie oświecać.“ Mamy przed sobą jednomyślny werdykt XVI i XIX wieku. Ale stwierdzenie faktu, że nasze siły umysłowe rozpraszaliśmy, a one przez to w znacznéj części się zmarnowały, jest tylko stwierdzeniem pewnego objawu, ale bynajmniéj nie przyczyny, o którą nam tu chodzi. Co innego rozpraszanie się, a co innego nieudolność do skupienia się; (jedno z drugiém nie musi wcale być identyczném!) tamto pierwsze wykazano nam, jak na dłoni, ale nikt nie udowodnił nam i udowodnić jeszcze nawet nie próbował tego drugiego.

Nidecki złożył dowody, że potrafi się skupić i wydać znakomite dzieła naukowe; a przecież i on się rozpraszał. Filologią zajmował się w swém życiu (niestety) niewiele. Szesnaście lat spędził w kancelaryi królewskiéj; szkoda było na to czasu, bo nie miał wcale wybitnych zdolności politycznych lub dyplomatycznych; tam mógł go nie jeden wyręczyć. Był apologetą i historykiem, bo sobie tego życzyli ci, którzy losy jego dzierżyli w swych ręku: Hozyusz i Batory. I na to szkoda było u niego czasu, bo teologiem był miernym, do historyi nigdy zamiłowania nie okazał. Cierpiała na tém filologia, ucierpiała na tém wielce jéj historya w Polsce. Zagranicą tacy ludzie wytwarzali szkoły; u nas nie zostało po Nideckim nic.

Czy Nidecki temu winien? On nigdy nie był panem swo-

jéj woli. Nie będąc majętnym, musiał chwycić się tego, co mu w danych warunkach zapewniało znaczniejsze dochody i wybitniejsze stanowisko społeczne, dwie rzeczy potrzebne dla wybitnych umysłów, a niezbędne dla wielkich uczonych. Jeżeli uczony nie znajdzie tego przez swoją naukę, szukać musi poza nauką; a choćby miał na to wydać sił umysłowych nie tylko połowę, ale nawet $^3/_4$ i $^4/_5$ części ich zasobu, chcąc nie chcąc uczynić to musi. Działać naukowo, ale działać stale, ciągle, trwale, a w swym zawodzie wszechstronnie, nie mając stosownéj podstawy materyalnéj — to przecież utopia! Nasz Nidecki był zaś w tém smutném położeniu, że gdyby siły swe poświęcił całkiem i wyłącznie filologii, byłby w Polsce nie znalazł dla siebie miejsca!

Jakto? A uniwersytet krakowski? Zagranicą zasiadali tacy Nideccy na katedrach, ale katedry uposażone tak, jak w Polsce, dobre były w sam raz dla tych, którzy nie czuli się na siłach, żeby sobie zdobyć lepszą pozycyę. Autor, mówiąc obszernie o téj sprawie, nie spostrzega, że w tém było rzeczywiście *punctum saliens*. Zarzuca profesorom, że skarżąc się na swą ciężką biédę, pokrywali tém umysłowe ubóstwo[1]). Było i tego sporo, zapewne; ale może nawet ci sami ludzie staliby się bogatszymi na duchu, gdyby im ubyło materyalnego ubóstwa, a zatém, gdyby im przybyło środków do pracy nie na siebie, lecz nad sobą? W każdym zaś razie lepsza dotacya zwróciłaby do tego zawodu tę najinteligentniejszą młodzież, która dotychczas wolała iść do kancelaryj biskupich, a cóż dopiéro do królewskiéj![2]). Polepszenie doli profesorów byłoby niewątpliwie poprawiło uniwersytet w następném pokoleniu, a odtąd już na zawsze.

Inne mieli życie filologowie włoscy! Sigenius został profesorem w Bolonii, mając lat dwadzieścia dwa, następnie uczył w Wenecyi, w Padwie i znowu w Bolonii; spędziwszy całe życie w zawodzie naukowym, usunął się na stare lata do — swych własnych dóbr pod Modeną. Porównawszy ilość czasu i pracy, którą poświęcili nauce filolog włoski a polski, spostrzeżemy, że polski zdziałał stosunkowo więcéj, więcéj też widocznie posiadał zdolności twórczéj. Czemże tedy

---

[1]) Skarżyli się jednak i tacy, którzy byli wcale bogatymi na duchu. Że zaś tacy należeli do wyjątków, to ten objaw powtarza się zawsze i wszędzie w każdéj źle uposażonéj naukowéj instytucyi. Składać śluby dobrowolnego ubóstwa, nawet nie będąc zakonnikiem, rzadko kto się odważy i rzadko kto może.

[2]) Wszak Szymon Marycki, o którym napisano, że się akademia obejść bez niego nie mogła, porzucił ją dla posady u drugorzędnego biskupa (chełmińskiego); widocznie nawet tam było lepiéj. Czyż Nidecki i Marycki nie byliby woleli obejść się bez tych urzędów? Wiemy z ich własnych zeznań, jak one im fatalnie ciążyły.

mógł być Nidecki, gdyby mu danem było rozwinąć skrzydła! Żywot jego, z tego stanowiska rozważany, bolesne robi wrażenie; co za szkoda dla naszéj cywilizacyi, że ten człowiek, który pomimo najfatalniejszych warunków, zdołał jednak dotrzymać kroku zagranicznym znakomitościom, nie mógł poświęcić się wyłącznie nauce!

A teraz zważmy, że Nidecki zrobił przecież karyerę; miał poważane, wpływowe stanowisko, zebrał kilkanaście beneficyów, a umarł biskupem. Innym nie wiodło się tak dobrze, ale znacznie, znacznie gorzéj; totéż jeszcze mniéj od niego mieli „*otium*,“ jeszcze mniéj sposobności pielęgnowania nauki. Czyż teraz będziemy się dziwili, że w Polsce nie rozwinęły się umiejętności? Czyż nam to nie wytłumaczy tego szczególnego zjawiska, że miewaliśmy uczonych wielkich, a nie mieliśmy nigdy tego zastępu średnich zdolności, który jest niezbędnym do wytworzenia „świata naukowego“ i przekazywania jego ciągłości z pokolenia w pokolenie? Tylko wielka zdolność i wielka energia mogła przebić ten mur i wybić się w tych stosunkach; zdolności średnie musiały padać na samym początku zawodu.

Nie rozstrzeliwanie się, a tém mniéj nie brak zdolności twórczéj pozbawił nas świata nauki, ale — powiedzmyż to sobie całkiem po prostu a śmiało: b r a k c h l e b a d l a u c z o n y c h, j a k o t a k i c h. Na Zachodzie tego chleba nie brakowało!

Względy materyalnéj natury zmarnowały życie Nideckiego [1]). Robił on co mógł, ażeby zebrać mająteczek, marząc o tém, że będzie żył kiedyś *procul negotiis*. Łaje go prof. Morawski za tę chciwość grosza, łaje za łapczywość na beneficya. Nidecki byłby pewnie poprzestał na trzeciéj części swych beneficyów, gdyby nie to, że nie płacono już wówczas dziesięcin! (W kancelaryi królewskiéj raz przez półtora roku nie dostał zapłaty). Im mniejszy dochód dawały beneficya, tém więcéj mieć ich było trzeba. Szkoda, wielka szkoda, że Nideckiemu nie udało się za wczasu zebrać majątku, bo byłby porzucił dworską służbę, która w nim szpik formalnie wysuszała, byłby się cofnął w zacisze krakowskiéj kanonii i pracował naukowo. Całe jego życie dowodzi bowiem, że skoro tylko znalazł kiedy choć trochę *otium*, zawsze śpieszył poświęcić je nauce.

---

[1]) Zmarnowaném nazywam życie każdego, kto wydobędzie z siebie cząstkę tylko tego, na co go stać. Poprzestawać w téj mierze na jakiejś problematycznéj „średniéj mierze“, byłoby zaślepieniem; a przynajmniéj krótko-widzeniem. Etyka życia publicznego każe domagać się *maximum* wydatności społecznéj od każdego indywiduum, a tylko przez zastosowenie się do tego prawidła kwitną narody. O powodzeniu społeczeństwa stanowią warunki pomagające lub przeszkadzające indywiduom do wydania z siebie tego *maximum*.

To jest zasadniczy moment życia Nideckiego, którego jednak autor nie dostrzegł. Nie ma nigdzie ani słówka żalu, że Nidecki marnuje się w kancelaryjnym kieracie, nie ma całkiem stwierdzenia tego faktu, że Patrycy życie swe pragnął przepędzić na nauce, a musiał na walce o byt. Rzecz-to charakterystyczna dla dzisiejszéj naszéj psychologii, teraz, na schyłku XIX wieku, że jeden z najświetniejszych przedstawicieli inteligencyi polskiéj, umysł tak wszechstronny, o prawdziwie europejskim horyzoncie myśli, a przytém tak lubiący badać i dociekać, jak autor „Nideckiego“ — nawet nie dostrzegł całkiem, że tu istnieje taka kwestya materyalna i że ona-to właśnie oddziaływa na tok sprawy. Życie Nideckiego... ach, to ballada, jakich u nas mnóstwo, a tém przykrzéj się robi, gdy się widzi, że te kwestye do dziśdnia nie zwracają jeszcze uwagi. I to także jest zagadnienie historyczne, a nawet ze względu na swoje skutki bardzo ważne. Zawisła nad polskim horyzontem w XVI wieku gwiazda nauki nowożytnéj, taka sama, równie piękna i wspaniała, jak na Zachodzie; aleśmy jéj nie przytwierdzili materyalnie do polskiéj ziemi i ziemskich na téj ziemi potrzeb, a więc — musiała zagasnąć.

Przeciągnęły się te moje uwagi. Niechże się usprawiedliwię, dlaczego taką przywiązuję wagę do téj dyskusyi. Jednę tylko uznaję przyczynę upadku państwa, a mianowicie: upadek społeczeństwa. Jednę téż tylko uznaję przyczynę upadania społeczeństw: upadek oświaty. Dla tego téż nie ma dla mnie donioślejszego zagadnienia dziejowego, jak następujące pytanie:

Dlaczego od XVII wieku nie kwitły u nas nauki; dlaczego w wieku czy Bakona, czy Kartezyusza, czy Spinozy (obojętny mi tu kierunek) nie pojawili się u nas w nowożytną szatę przyodziani dawni Vitelonowie, Grzegorze z Sanoka, Janowie ze Lgoty, Pawły Włodkowicze i t. p. i t. p. Dlaczego nie osiągnęła ciągłości filologa, ta macierz nowożytnych nauk.

Prawdopodobnie dla tego, że te czasy, których to było zadaniem, a mianowicie schyłek XVI i początek XVII wieku, nie zdołały wytworzyć i zorganizować odrębnego stanu uczonych. Nie nastąpiło to widocznie dla tego, że nie zapewniono im bytu materyalnego.

Ta kwestya pozostaje w ścisłym związku z całém tém przesileniem ekonomiczném, którą Polska przeszła w wieku XVI, niestety, wcale nie zwycięsko. Nastały wówczas nowe pod względem materyalnym czasy, nowe drogi wymiany międzynarodowéj produktów pracy, nowe rodzaje saméjże pracy ekonomicznéj i nowe sposoby oznaczania ekonomicznego równoważnika pracy. Nastał nowożytny okres, którego cechą jest: gotówka i termin. Ale polskie gospodarstwo społecz-

ne pozostało archaicznėm; dodajmy do tego kilka innych błędów, jak np. zakaz wywozu, ułatwienie przywozu, a upadek materyalny kraju tłumaczy się łatwo. Nie zganiajmyż winy na odkrycie Ameryki i zamianę handlu lądowego na oceaniczny! Pomimo tych faktów, można było przesilenie przetrzymać, gdyby się było zrozumiało znaczenie gotówki i doniosłość terminu.

Ale nie o to tu chodzi — tylko o historyę nauk w Polsce. Otóż zdaje mi się, że w nowożytnych czasach uniwersytet oparty na dobrach ziemskich i żupach solnych, katedry oparte na probostwach — to utopia! Zajmować się zaś wyłącznie nauką było w Polsce niemożebném, boby się nietylko niewiedziało, ile się będzie miało dochodów i w jakich terminach, ale nawet, z czego w ogóle te dochody będą?

Dziś staramy się otrząsnąć z siebie dużo wad przeszłości. Ale pod względem materyalnym jesteśmy ciągle jeszcze archaiczni. Znamy się kapitalnie na ujemnych stronach pieniędzy-gotówki ale nie zastanawiamy się nawet nad jego stroną dodatnią, nad temi sposobami i środkami, które go czynią motorem postępu społecznego, słowėm: nad zupełném zastosowaniem go do cywilizacyi. Téj nauki z przeszłości jeszcze nie wyciągnęliśmy. Jestem silnie przekonany, że wywołam u najliczniejszych czytelników wzruszenie ramion, za to, że z kwestyi filologii i wogóle nauk zszedłem na — gotówkę i termin. Te dwa pojęcia: rozwój nauk, a rozwój gospodarstwa pieniężnego (to znaczy: ścisłe przestrzeganie jego zasad) w wyobraźni naszéj wykluczają się nawzajem.

Każdy czytelnik przyzna mi jednak, że instytucya ze wszystkich najbardziéj moralna, mianowicie: Kościół — nie mógłby spełniać swych zadań należycie, gdyby nie to, że ma podstawę materyalną, zastosowaną do potrzeb nowożytnych. Nie uznawać tego samego przy nauce — to przesąd!

A zatém nie brak twórczości naukowéj lub niezdolność skupienia umysłu przeszkodziły rozwojowi nauki polskiéj, ale zabiło ją niezastosowanie się do nowożytnego urządzenia materyalnéj strony życia. Nie ma tu co mówić o żadnych „cechach narodowego charakteru;“ te niczego nie wytłumaczą. Wątpliwém zaś nader jest samo istnienie takich cech generalnych a stałych, wspólnych różnym pokoleniom, od Klodwiga do Napoleona, od Wilhelma Zdobywcy do Pitta, od Mieczysławów do Stanisławów; przeciwnie, narody mogą się w ciągu dziejów zmieniać i zmieniają się téż nieraz do niepoznania. Totéż można mówić tylko o cechach pewnego pokolenia, co najwięcéj, pewnego (niezbyt długiego) okresu; cech niezmiennych ogólno-dziejowych dla jednego narodu — nie ma.

Polemika, to rzecz względna; czasem rodzaj polemiki bardziéj chwali dzieło od panegiryków. Książka najwięcéj warta wtedy, jeżeli się staje punktem wyjścia dla dalszego toku myśli. Dzieło, które nie ma w sobie téj siły, żeby poruszyć innych do zastanawiania się, choćby najlepszém zresztą było, nie posiada warunku najszczytniejszego, to jest téj żywéj potęgi twórczéj. Taka książka podobną jest do sztucznéj fontanny, która, gdzie się zaczyna, tam téż kończy, kręcąc się na jedném miejscu. Książka prof. Morawskiego posiada zaś w wysokim stopniu przymioty ożywcze żywéj krynicy. Zresztą, nie ja pierwszy stwierdzam, że działalność naukowa tego autora, działa pobudzająco; już mu za to inni przedemną dziękowali.

„Nidecki" należy do rzędu tych książek, dzięki którym mogą następcy kroczyć naprzód w dziedzinie nauki, czując za sobą silne podstawy. W ten-to sposób powstaje ciągłość, nieprzerwalność pracy naukowéj. Przyznać trzeba, że pokolenie reprezentowane przez prof. Morawskiego uprawiło już dużo, bardzo dużo roli pod zasiew przyszłości; on sam bacznie a gorliwie koło téj uprawy chodził, a nowemu jego dziełu do rzędu licznych pochwał przybywa i ta, bezwarunkowo największa, chwała, że nietylko jest objawem znakomitéj twórczości, ale też samo daléj twórczo na umysły oddziaływać będzie. To zaś zaliczyć każe tę książkę do szeregu tych które i w przyszłości będą przez ogół pamiętane, a przez uczonych odczytywane, bo oni na niéj uczyć się będą i do swych badań szukać tam wskazówek i materyału.

Dr. Felix Koneczny.





POJMOWANIE PRZYRODY

ZE STANOWISKA

HISTORYI I TEORYI POZNANIA.

Sięgając okiem w zamierzchłą przeszłość dziejów myśli ludzkiéj, w czasy, gdy myśl ta stawiała pierwsze kroki ku opanowaniu zjawisk przyrody, widzimy dwojaki kierunek działalności w tym celu. Jedne narody, posiadające przeważnie zmysł praktyczny, dążą do tego, aby zjawiska przyrody opanować w dosłownem tego wyrazu znaczeniu, t. j. aby uczynić je użytecznemi dla człowieka; drugie, obdarzone umysłem filozoficznym, badawczym i twórczym, starają się opanować je myślą, t. j. uczynić zrozumiałemi. Pierwszy z tych kierunków spotykamy najdobitniéj wyrażony w społeczeństwach wschodu starożytnego; głównym przedstawicielem drugiego jest rasa indoeuropejska, a w starożytnych społeczeństwach ucywilizowanych przeważnie Helleni [1]). Kierunki te nie mogły oczywiście zachować zupełnéj odrębności, bo, jak Grecy, nie mogli się obejść bez praktycznego zastosowania zdobytych zasobów wiedzy, tak też narody wschodnie musiały mieć ślady jakiéjkolwiek, chociażby grubéj teoryi. Ale przewaga jednego lub drugiego z tych prądów daje się łatwo dostrzedz nawet przy pobieżnym rzucie oka na historyę cywilizacyi.

Do celów praktycznych potrzebna jest przedewszystkiem dokładna znajomość faktów. Widzimy też, że narody wschodnie na-

---

[1]) Porów. Diercks, „Entwickelungsgeschichte des Geistes der Menschheit", 1880.

gromadzają spostrzeżenia, robią ścisłe pomiary, słowem zbierają zasoby faktyczne — wprawdzie przeważnie w tym kierunku, jaki wynikał z zapotrzebowań praktycznych. Przytoczymy tu za przykład prace astronomów chińskich i asyryjskich, prowadzone z zadziwiającą systematycznością i ścisłością, a mające na celu ustalenie pomiaru czasu, lub geodezyjne prace Egipcyan, związane z wylewami Nilu.

Przeciwnie, szczep helleński mniéj jest skłonny do zastanawiania się nad faktycznemi szczegółami, dąży do objęcia całości, do zrozumienia przyrody. Nie mając jeszcze wiedzy, stara się stworzyć jéj filozofią.

Idąc myślą daléj w głąb wieków, w których żadnéj jeszcze usystematyzowanéj wiedzy nie było, ujrzymy te dwa kierunki w przypadkowém niemetodycznėm tłómaczeniu zjawisk i korzystaniu z nich. Człowiek, stojący na najniższych szczeblach kultury, korzysta z przypadkowo wykrytych właściwości ciał — zapala ogień za pomocą tarcia dwóch kawałków suchego drzewa, używa jednych ziół do zatrucia strzał, innych do leczenia ran i t. d. Swoją drogą niezwykłe lub imponujące zjawiska przyrody każą mu szukać w myśli jakiegoś tłómaczenia, któreby uczyniło zadość rodzącym się potrzebom pojmowania zjawisk. Jasném, zrozumiałém jest dla niego to, co widzi i odczuwa codziennie, co jest mu najbliższém. A cóż jest bliższém nad siebie samego? Zaczyna więc człowiek kształtować przyrodę na wzór i podobieństwo swoje; zapełnia ją istotami do siebie podobnemi, zaludnia ją nimfami, bóstwami, duchami myślącemi i czującemi tak, jak sam myśli i czuje. Powstaje w ten sposób myt, jako pierwsza próba pojmowania przyrody, a myt ten jakkolwiek oddziaływa na postępowanie człowieka, — bo, sądząc po sobie o zaludniających w wyobraźni jego świat bóstwach, stara się przebłagać je modlitwą, to znów przekupić ofiarą lub oszukać — nie wpływa jednak bynajmniéj na gromadzenie doświadczenia, którego zapas wzrasta ustawicznie, bez żadnych z jego strony systematycznych ku temu usiłowań, a które niemniéj wpływa na jego postępowanie.

Współczesne naukowe traktowanie zjawisk przyrody zawiera w sobie te trzy stopnie, które dają się już wykryć w zasadach umiejętności człowieka przedhistorycznego i w pierwszych próbach stworzenia systematycznéj wiedzy przyrodniczéj, t. j. poznanie faktów; ich wytłómaczenie — czyli teorye naukowe; ich zastosowanie wreszcie — czyli technikę umiejętną. Wzajemny jednak stosunek tych funkcyi wiedzy odmienny jest w każdéj z wytkniętych tu trzech epok. W epoce przedhistorycznéj nagromadzenie zasobu faktów oddziaływa

na postępowanie człowieka w tym samym stopniu, co i myt filozoficzny, służący za podstawę pojmowania przyrody; pierwsze stwarza zawiązki techniki, drugi — obrządki religijne i zabobonne; obadwa jednak zostają bez żadnego na siebie oddziaływania. Na początku dziejów wiedzy systematycznéj, w świecie starożytnym, widzimy inny stosunek: technika opiéra się wyłącznie na zdobyczach faktycznych, które również wyłącznie w kierunku utylitarnym są przedsiębrane; myt przeobraża się stopniowo: z filozoficzno-przyrodniczego staje się więcéj etycznym i wydziela się wraz ze stroną obrzędową z zakresu wiedzy przyrodniczéj, tworząc religią; miejsce jego zastępuje metafizyka przyrodnicza, która stara się zadośćuczynić bardziéj rozwiniętéj potrzebie pojmowania przyrody. Metafizyka ta jednak bardzo mało jest zależna od badania faktycznego a prawie wcale nie oddziaływa na nie. Przeciwnie, jak widzieliśmy, obadwa kierunki rozdzielone są wśród rozmaitych ludów, z których jedne uprawiają przeważnie faktyczny (z utylitarną tendencyą), drugie przeważnie metafizyczny.. Metafizyka przyrody filozofów greckich nie miała wcale na celu stać się myślą przewodnią w poszukiwaniach doświadczalnych, jeszcze mniéj dążyła do tego, aby kierować postępowaniem ludzkiém. Pragnęła ona tylko uczynić zadość naturalnéj żądzy pojmowania: była sama sobie celem [1]).

W wiedzy nowoczesnéj gromadzenie materyału faktycznego, zostaje w ścisłéj zależności od hypotez i teoryi, które swoją drogą od faktów są zależne; technika umiejętna zostanie przeważnie pod kierunkiem teoryi naukowych i tylko tam, gdzie one nie wystarczają, spoczywa na umyślnie dla swych celów nagromadzonym materyale empirycznym. Hypotezy i teorye stopniowo przestają być metafizycznie pojmowane; służą one nie tyle zadośćuczynieniu potrzebie poj-

[1]) Mówimy tu o filozofii greckiéj, nie zaś o wiedzy starożytnéj. W téj ostatniéj, w jednym przynajmniéj zakresie, znajdujemy ściśle umiejętne i zupełnie zgodne z duchem nowoczesnéj wiedzy pojmowanie hypotezy. Znakomity historyk wiedzy indukcyjnéj (Whewell) uważa epokę Hipparcha za pierwszy objaw myśli ściśle naukowéj. Gdy np. Ptolemeusz w III-éj ks. Almagestu wykazuje w ślad za Hipparchem, że niewielki epicykl powoduje takie same nierówności w biegu planety, jak i koło niewspółśrodkowe, to widzimy w tém zupełnie nowoczesne umiejętne pojmowanie hypotezy, jako sposobu ujęcia naukowego faków. Jeszcze wyraźniéj występuje to pojmowanie w następującym ustępie Ptolemeusza („Megista Syntaxis“, XIII, 2): „Nie powinniśmy się zrażać komplikacyą hypotezy, lecz starać się, o ile możemy, wytłómaczyć zjawiska. Jeśli hypotezy są zadawalniające dla każdéj pojedyńczéj nierówności, połączenie ich wytłómaczy całość. Dlaczegobyśmy mieli dziwić się temu, że niebo jest tak skomplikowane, skoro nic nie wiemy o jego własnościach, coby kazało widzieć jakąś niedorzeczność w tém przypuszczeniu“ (Cyt. u Whewella).

mowania, ile czysto technicznym potrzebom wiedzy, t. j. ułatwieniu wykrycia związku pomiędzy faktami; kiedy ich pierwotnéj metafizycznéj roli podejmuje się inna gałąź wiedzy — filozofia, tracą one znaczenie teoryi wszechświata i stają się prostym narzędziem myślenia naukowego.

Takim przeobrażeniom ulegało stopniowo zachowanie się człowieka wobec przyrody; taka jest genealogia teoryi i hypotez wiedzy współczesnéj: w postaci mytu pierwotnie uduchowniają one przyrodę, czynią ją przystępniejszą umysłowi ludzkiemu i starają się zastąpić pojmowanie; w postaci filozofii przyrody starają się osiągnąć prawdziwe rozumowe pojmowanie świata; schodzą wreszcie na proste narzędzia poznania, na wiążący fakty spostrzeżenia cement w wiedzy nowoczesnéj [1]).

Nie mamy w historyi prawie żadnych śladów tego, w jaki sposób poetyczna kosmogonia Hezyoda ustąpiła miejsce poglądom takiego Thalesa lub Demokryta; a wielotomowe traktaty nie wyświetlą nam lepiéj przeciwstawności tych dwóch poglądów na świat, niż piękny wiersz Szyllera p. t. „Bogowie Grecyi".

Nie ulega jednak wątpliwości, że kosmogonie mitologiczne wywierały wpływ na pierwsze próby myślenia filozoficznego [2]), niemniéj i to, że prawie wszyscy filozofowie pojmowali ten obraz świata, jaki sobie wytworzyli, jako prawdę bezwzględną, rzeczywiście istniejącą, t. j. w sposób metafizyczny. Wprawdzie już u Parmenidesa spotykamy się z traktowaniem hypotetyczném filozofii przyrody. Wykazawszy (zgodnie z doktryną całéj szkoły Elejskiéj) w 1-éj części poematu swego, że tylko byt istnieje, wszelka zaś przemiana jest złudzeniem zmysłowém, przedstawia on w drugiéj części powstawanie rzeczy niby ze stanowiska pospolitego myślenia; jednak ta druga część nie jest prostém przedstawieniem lub krytyką poglądów poprzednich filozofów; przeciwnie, stara się on ten pogląd na świat, jakkolwiek niezgodny z jego twierdzeniem zasadniczém, przedstawić w sposób według jego zdania najdoskonalszy, rozwija go i uzupełnia [3]). Zgodnie

---

[1]) Uogólnienie tego spostrzeżenia, rozpowszechnienie go na wszystkie zakresy myśli ludzkiéj spowodowało podział przez Comte'a historyi myśli na trzy epoki: teologiczną, metafizyczną i pozytywną. Nie powinno nas dziwić szerokie znaczenie, jakie nadał Comte temu następstwu; według niego bowiem cała myśl ludzka utożsamia się z wiedzą, skupia się w niéj; filozofia dla niego jest tylko uogólnieniem wiedzy.

[2]) Porów. Zeller, „Philosophie der Griechen", 3-te Aufl., Bd I, str. 68 i *passim*.

[3]) Zeller, Bd. I, str. 491.

z Zellerem (*l. c.*), widzimy w tém przedstawieniu fizyczną teoryą, traktowaną jako hypotezę [1]). W epoce znacznie późniejszéj znajdujemy u Epikura i jego uczniów również hypotetyczne pojmowanie świata, obok wyraźnie wypowiedzianych pobudek, dla których się ku hypotezie owéj przechylono. Dziwnym zbiegiem powody, dla których Epikur przekładał materyalizm nad inne poglądy, są te same, które w nas niechęć ku materyalizmowi budzą; są to pobudki moralnéj natury, chęć pozbycia się obawy wobec potęgi bóstw mytologicznych i strachu śmierci,—kiedy nas bojaźń niebytu zmusza do szukania filozofii bardziéj pocieszającéj. Każde tłómaczenie jest dobre w jego oczach, skoro uwalnia nas od bojaźni bogów i zabobonu, a przytém często nie zadaje on sobie pracy wybrania z dwóch nasuwających się prawdopodobniejszego [2]).

Takie zapatrywania się na pojmowanie zjawisk przyrody zbliża obudwu filozofów do współczesnych fizyków, mianowicie w tém, że nie nadają oni znaczenia dogmatycznego koncepcyom swoim. Jeśli więc Epikur traktuje swoją fizykę jako hypotezę, t. j. widzi w niéj

---

[1]) Zdaje mi się jednak, że Zeller, mówiąc o téj drugiéj połowie poematu Parmenidesa, niesłusznie nazywa ją przedstawieniem fałszywego poglądu na świat w przeciwstawieniu do prawdziwego, zawartego w 1-éj części i motywuje jéj obecność jedynie chęcią Parmenidesa nie pomijania i sprzecznych ze swoją opinii (*l. c.*, 490 — 91). Sądzę, iż, zgodnie z myślą wyróżnienia poznania zmysłowego od umysłowego (logicznego), filozof grecki głębiéj pojmuje znaczenie swoich hypotez fizycznych. Przekonawszy się, że tylko myślenie abstrakcyjne (*logos*) daje poznać prawdę, zmysły zaś tylko pozór, czuł jednak on, że tego pozoru uniknąć w żaden sposób nie możemy; że ta prawda abstrakcyjna wykryta myślą (t. j. twierdzenie niezmienności wszelkiego bytu) nie zadawalnia naszéj żądzy pojmowania, t. j. wysnucia logicznego zjawisk świata z pewnych zasad pierwotnych. Ażeby więc zadośćuczynić téj potrzebie, daje on obraz świata według wyobrażeń naszych zmysłowych, jakkolwiek zwodniczy, ale konieczny, jako prawdę względną, niższą, ale wynikającą z naszéj organizacyi, t. j. pojmuje go tak, jak dzisiejsza filozofia krytyczna pojmuje świat zmysłowy. Świadczyłoby to wprawdzie o głębszém rozumieniu zagadnień teoryi poznania, niż jakie przypisują dziejopisarze dzisiejsi filozofom przed-sofistycznym; ale sądzę, że takie uznanie prawdy względnéj (zmysłowéj), obok bezwzględnéj (logicznéj), wynika naturalnie z wyróżnienia dwóch sposobów poznania, na które kładzie nacisk Parmenides. Że te zawiązki myśli krytycznéj nie przybrały u niego tak określonych kształtów, jak u Protagorasa — tłómaczy się wprost tém, że zagadnienia teoryi poznania, jakkolwiek poruszone już przez Eleatów, miały jednak dla nich drugorzędne znaczenie, kiedy pierwsze miejsce zajmowały problematy metafizyczne.

[2]) Porów. Martha, „Le poëme de Lucrece.“ Paris, Hachette, str. 238—239. Również Lange, „Hist. fil. mat.“, t. I, str. 116.

nie cel poznania, lecz tylko środek do tego celu [1]), to jednak różnica ogromna zachodzi pomiędzy nim a fizyką współczesną w użyciu tych hypotez. Uczeni dzisiejsi również nie nadają hypotezom naukowym znaczenia prawdy bezwzględnéj; nie są one dla nich celem, tylko środkiem do celu; lecz cel ten nie leży po za wiedzą, jak u Epikura, ale w saméj wiedzy. Jakiekolwiekbądź zresztą nastąpiło przejście od surowego antropomorfizmu mytologicznego pojmowania przyrody ku mniéj wyraźnemu antropomorfizmowi dogmatycznéj metafizyki przyrodniczéj filozofów greckich, przejście od téj ostatniéj do nowoczesnych hypotez przyrodniczych śledzić możemy nietylko logicznie, ale i historycznie. Wiemy, że atomistykę współczesną, również jak i cały szereg pojęć, któremi operuje, odziedziczyła wiedza przyrodnicza po filozofach greckich. Ponieważ jednak przeznaczeniem hypotezy naukowéj nie jest wykrycie istoty świata, lecz tylko związku zjawisk, koncepcye filozoficzne materyalistów starożytnych, musiały ulegać stopniowemu przekształcaniu, przystosowywać się do swéj nowéj funkcyi.

Ażeby wyobrażenie o przyrodzie czyniło zadość naszéj potrzebie pojmowania, powinno ono przedewszystkiém odpowiadać dwóm warunkom:

1. Powinno być naoczne, t. j. zmysłowo wyobrażalne; wchodzić w nie zatém mogą tylko terminy percepcyi zmysłowéj.

2. Powinno być zrozumiałém, t. j. związek pomiędzy wyobrażeniami powinien zadawalniać nas na wszystkich punktach od pierwszego do ostatniego; innemi słowy, powinien się kształtować według tych kategoryi, które z nieuniknioną koniecznością stosujemy w myśleniu.

Stosownie do pierwszego z tych wymagań, metafizyka przyrody powinna budować gmach swój z tych samych pierwiastków, w jakich poznajemy ten świat, czyli z pierwiastków wyobrażeń. Atom lub cząsteczka w wyobrażeniu fizyków starożytnych, a nawet znacznéj części dzisiejszych, jest tylko nieskończenie małém ciałem, zresztą posiadającém prawie wszystkie zasadnicze własności każdego ciała, doprowadzone tylko do pewnego absolutu: jest ona bezwzględnie sprężystą i t. d., a przynajmniéj posiada te własności w stopniu o wiele przewyższającym własności podobne, znane w zwykłych ciałach.

---

[1]) A według Windelbanda nawet jako środek usunięcia innych poglądów, podejrzanych ze stanowiska etycznego („Gesch. der Phil.“, str. 161). Autor ten zestawia stanowisko Epikura ze stanowiskiem pozytywizmu.

Zgodnie z drugiém wymaganiem, wszystkie zjawiska przyrody wiążą się w jeden nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków, a nie powinno być żadnéj luki w tym łańcuchu, nie powinno brakować żadnego ogniwa; ukazanie się czegokolwiebądź bez przyczyny uzasadniającéj, zrywa całość budowy i sprowadza niezadowolenie umysłowe.

Innemi słowy, pojęcie o świecie powinno być substancyalne i przyczynowe; naoczność wymaga pojęcia jakiéjś substancyi pierwotnéj, z któréjby się tworzyły wszelkie rozmaite substancye wszechświata; zrozumiałość wymaga, ażeby nic nie było przypadkowém we wszechświecie, bo ukazanie się czegoś przypadkowego, niespodziewanego, może w każdéj chwili obrócić w niwecz wszelkie rozumowania, obliczenia i przewidzenia. Wymaga więc praw niezmiennych, rządzących światem. Te dwie cechy właściwe już są metafizyce przyrody starożytnéj [1]).

Nowa rola, w jakiéj występują wyobrażenia te jako hypotezy naukowe, zmienia przedewszystkiém znaczenie, które do nich przywiązujemy.

Jako koncepcye metafizyczne, mają one znaczenie bytu niezależnego od istot poznających; tkwią w saméj przyrodzie, nie w umyśle ludzkim. Inaczéj téż być nie może; bo pojąć istnienie czegoś, co samo przez się nie jest zrozumiałém, możemy tylko wtedy, gdy przypuścimy rzeczywiste istnienie czegoś innego, co nam to pierwsze tłómaczy. Obok tego, jak to wspomnieliśmy, w roli filozofii przyrody wyobrażenia te wcale nie służyły celom wiedzy; nie ułatwiały wykrycia związku między faktami spostrzegania, lub odkryciu nowych faktów, ale były tylko podstawą poglądu na świat.

---

[1]) Znajdujemy pojęcia odpowiadające tym wymaganiom, niejasno ukształtowane już w kosmogoniach mitologicznych Greków, jako *Fatum* (konieczność), któremu ulegać winni nawet bogowie (Adrastea w kosmogoniach orficznych) i Chaos — t. j. jak tłómaczy Zeller („Die Philosophie der Griechen“, 3-te Aufl., Bd. I, str. 71), przestrzeń nieskończoną, która jednak pojmowana była nie jako próżna przestrzeń matematyków, ale jako niezmierna, bezkształtna masa (*unermessliche wüste formlose Masse*), a więc materyalnie. Daléj wszelkie materye pierwotne, zaczynając od wody Thalesa i *archè* Anaximandra, a kończąc na 4-ch żywiołach Empedoklesa i atomistyce Leucyppa i Demokryta, są wyrazem téj potrzeby substancyonalności. Idea konieczności, zawarta w Pitagorajskim pojmowaniu porządku i prawa natury, wyrażającego się miarą i liczbą (pierwiastek współczesnéj wiedzy), zupełnie sformułowana jest w *ananke* Leucyppa (por. Windelband, „Gesch. der Philosophie“, 1890, str. 41). Doprowadzone do zupełnéj konsekwencyi są obadwa pojęcia w przechowanych do dziś urywkach pism Demokryta, zestawienie których z pojęciami współczesnéj wiedzy znajdzie czytelnik u Langego („Hist. fil. mater.“, t. I, str. 21—29 polskiego przekładu).

Wobec takiego pojmowania pierwszorzędne znaczenie mieć musiało prawdopodobieństwo koncepcyi. Nietylko szło o to, czy koncepcya dana dobrze wiąże zjawiska, ale przedewszystkiém o to, czy odpowiada rzeczywistości; a jeśli, jak widzieliśmy, Epikur mniéj przywiązywał do tego wagi na pierwszym planie, stawiając racyonalność w tłómaczeniu zjawisk przyrody, pochodziło to stąd, że używał swych koncepcyi świadomie jako środka do celów etycznych.

Wiedza współczesna, dziedzicząc po starożytnych pomysły filozoficzne, które użytkowała do swoich celów, jako hypotezy naukowe, nie mogła się wyzwolić całkowicie z przywiązanego do tych poglądów znaczenia metafizycznego. Im bardzéj cofamy się wstecz w historyi wiedzy nowoczesnéj, im mniéj rozwiniętą gałąź téj wiedzy bierzemy pod uwagę, tém więcéj znajdujemy pierwiastków metafizyki przyrodniczéj; a nie zawsze są od nich wolni uczeni, pracujący nawet w tych gałęziach wiedzy, w których, jak w fizyce, rozległe zastosowanie metody matematycznéj najwięcéj się przyczyniło do wyświetlenia różnicy pomiędzy hypotezą naukową a koncepcyą metafizyczną w pojmowaniu przyrody.

Jednak coraz bardziéj szerzy się w pośród ludzi wiedzy nowoczesnéj pogląd na teorye i hypotezy naukowe, jako czyste narzędzia wiedzy; coraz więcéj wyzwalamy się z pozostałości i nałogów myślenia dawnego, odziedziczonych wraz z treścią hypotez nowożytnych, a korzystając z tego sądu o hypotezach, jaki fizycy wybitniejsi wydają, możemy już ogólniéj ocenić dążność wiedzy współczesnéj.

Nasze hypotezy w rozmaitych zakresach wiedzy są w drodze tego przeobrażenia, tego stopniowego stosowania się do nowéj swéj funkcyi, a jednocześnie ulega zmianom pogląd na trzy składniki wiedzy: teoryą, hypotezę i fakt, na zakres i granice każdego z nich. Przedewszystkiém więc winniśmy ściśle określić i rozgraniczyć te trzy pojęcia. Pomimo bowiem pozornie jasnéj różnicy najbardziéj tu daje się widzieć chwiejność i brak ścisłego oznaczenia granic.

Pojęcia, które ogół przywiązuje do tych trzech wyrazów: hypoteza, teorya, fakt są przeważnie pojęciami różnego stopnia prawdopodobieństwa. Różnica między hypotezą a teoryą, teoryą a faktem rozumié się w znaczeniu przeważnie ilościowym, czyli wyrażając się matematycznie, hypoteza i teorya przedstawiają ułamki wzrastające, których granicą jest jedność, czyli pewność matematyczna, jaką przedstawia fakt. Tak więc, różnicę pomiędzy hypotezą i teoryą z jednéj strony, a faktem z drugiéj, zostawiamy tymczasowo na uboczu, różnica teoryi i hypotezy nie wydaje się dość zasadniczą, granica

między niemi dość ścisłą, ażeby jedno nie przechodziło stopniowo i nieznacznie w drugie. Różnica ta zdaje się właśnie ściągać do różnego stopnia prawdopodobieństwa, jakie posiada fakt wysnuty z rozumowania, a fakt spostrzeżony; czyli znów do różnicy ilościowéj.

Clifford np. powiada: „teorya wibracyjna światła... wyszła ze stadyum teoryi i przeszła w stadyum faktu dowiedzionego“ [1]). Daléj tłómaczy autor różnicę pomiędzy hypotezą a faktem w sposób następujący: „wystawmy sobie, że ktoś zaszedł w ciągu dziesięciu minut od placu Zygmunta do Kopernika [2]); naturalnym wnioskiem będzie, iż osoba ta szła wzdłuż Krakowskiego-Przedmieścia (t. j. drogą najkrótszą). Teorya ta zdaje zupełnie sprawę z faktów, lecz nie służy im za dowód. Jeśli jednak przypuścimy, że czas był zimowy, że śnieg leżał na ulicach i że mogliśmy widziéć ślady tego człowieka na całéj drodze, będziemy przekonani, iż istotnie szedł tą drogą“ [3]).

Obok tego jednak tak w pojęciach wykształconego ogółu, jako téż i ludzi uczonych wiąże się z temi wyrazami pojęcie pewnéj jakościowéj różnicy, polegającéj na względnéj dowolności w tworzeniu hypotez i teoryi, a nieuniknionéj konieczności w percepcyi faktu. Świadomość téj różnicy, jak wspominałem, wykazują najwięcéj fizycy i matematycy, którzy dobrze wiedzą w jakim stopniu zależne jest ukształtowanie hypotez od wymagań analizy matematycznéj. Większa część przypuszczeń, dotyczących wielkości atomów lub cząsteczek, ich odległości wzajemnéj, częstości spotkań i t. d., wynika wprost z potrzeb nadania wzorom takiéj formy, w któréjby całkowanie równań było możliwe, z niedoskonałości w wielu wypadkach metod rachunku całkowego; a ponieważ wszystkie wzory matematyczne znakomicie się upraszczają jeśli pewne ilości przyjmiemy za nieskończenie wielkie lub nieskończenie małe, tłómaczy to nam, dlaczego w koncepcyach fizycznych mamy do czynienia z tylu nieskończonościami. Wielkość atomów jest nieskończenie małą w porównaniu z ich odległościami, te znów są nieskończenie małémi w porównaniu ze zwykłemi wymiarami ciał i t. d.

Mniéj już podobnéj świadomości spotykamy u chemików, którym dotąd nie udało się zastosować analizy matematycznéj do zasadniczych

---

[1]) „the „undulatory theory...“ of light... has passed out of the stage of beeing a theory and has passed into the stage of beeing a demonstrate fact.“ Lectures and Essays. Atoms. Lond. 1886. str. 117.

[2]) Zamieniamy niezrozumiałe dla naszego czytelnika nazwy angielskie na polskie.

[3]) W tém samém miejscu str. 117.

pojęć chemicznych, znaleźć miary ilościowéj powinowactwa chemicznego. Wzory rozumowane (przedstawiające budowę cząsteczki), używane pierwotnie jako proste symbole naoczne, poczęły przybierać stopniowo (dzięki świetnym wynikom hypotezy Kekulego o budowie ciał aromatycznych) w oczach chemików znaczenie realne; jak to widzimy w stereochemii dzisiejszéj, wiążącéj własności fizyczne ciał z układem atomów w przestrzeni o 3-ch wymiarach. Nierównie surowsze poglądy na teoryę i hypotezy spotykamy u biologów; nie ma chyba między nimi darwinisty, który by nie uważał rozwoju jednych gatunków z drugich za fakt historyczny, realny. Ci, którzy uważają „obawę próżni“ lub „siłę życiową“ za niedorzeczne, nienaukowe pomysły, nie wahają się używać „dziedziczności,“ „walki o byt“ i t. d., jako naukowych sposobów objaśnienia faktów. Kiedy fizycy i matematycy zupełnie świadomie używają w konstrukcyach swoich pojęć nie dających się ująć zmysłowo (np. przestrzeni o wielu wymiarach), niezrozumiałych (sił działających w odległości) lub sprzecznych z faktami codziennego spostrzeżenia (eter, łączący ogromną sprężystość z nieskończenie małą gęstością), nie krępując się żadnemi względami i mając na myśli jedynie cel naukowo-pomocniczy, inni przyrodnicy widzą jeszcze w hypotezach odzwierciedlenie, jakkolwiek niedoskonałe, prawdy i dla tego starają się nie odbiegać od pojęć i wyobrażeń codziennego życia, starannie przechowują domieszki antropomorficzne zamiast je odrzucić.

Pamiętam, że kiedyś słysząc utyskiwania jednego mineraloga na to, iż nauka jego nie zdołała dotąd wyrobić pojęcia osobnika, odpowiedziałem zapytaniem: czy nie jest, przeciwnie, brak pojęć podobnych znakiem wyższości mineralogii nad umiejętnościomi biologicznemi?

Któż istotnie nie dostrzeże w tém pojęciu, sprawiającém tyle kłopotu biologom, śladów naszéj osobowości ludzkiéj, opartéj na jedności samowiedzy? [1]) A pojęcie o wyższości lub niższości organizmów; a związana z niemi idea rozwoju, jako przejście od mniéj doskonałego ku doskonalszemu i tyle innych pięknych rzeczy, któremi się dziś szczyci biologia, czyż nie świadczą o antropomorfizmie jéj pojęć i ścisłym ich związku z kategoryami czysto ludzkiemi myślenia po-

---

[1]) Ktoby o tém wątpił, niech przejrzy spór w kwestyi nieśmiertelności organizmów jednokomórkowych, toczony przez autora tego twierdzenia (Weissmanna) z jego przeciwnikami (*Biolog Centralbl.*). Znajdujemy tam najpoważniejsze roztrząsania tego, co się dzieje ze świadomością osobnikową dzielących się wymoczków.

tocznego? Czyż nie widzimy tu całych dziejów ludzkości wraz z ideą postępu przeniesionych do zakresu biologii? Sam Darwin przyznaje, że myśl walki o byt nasunęło mu czytanie Malthusa; fałszywe więc uogólnienie, wzięte z nauk społecznych, stało się źródłem płodnéj hypotezy biologicznéj. Ale ktoby chciał widzieć w niéj coś więcéj nad przemijającą hypotezę, nad narzędzie, którém się do czasu posługuje nauka, aby je odrzucić, gdy minie potrzeba, ten niech sobie przypomni jak Empedokles, nicując również pojęcie celowości, aby utrzymać przyczynowość, tłómaczył powstanie przewodu pokarmowego przez to, że woda, ciągle wpływając do organizmu, wyżłobiła go.

Wszystkie hypotezy umiejętne możemy rozdzielić na dwie wielkie gromady; do jednéj z nich należą te, które przypuszczają trwałe istnienie czegoś wyobrażalnego, aby zrozumieć (w znaczeniu naukowém — t. j. wykryć związek przyczynowy) to co istnieje rzeczywiście, t. j. o istnieniu czego wiemy przez spostrzeżenie zmysłowe. Takie hypotezy nazywam ontologicznemi. Należą tu przedewszystkiém hypotezy fizyczne i chemiczne; przypuszczamy istnienie atomów o stałéj wadze i t. d., aby uzmysłowić („wyjaśnić“) prawa związków chemicznych; przypuszczamy istnienie eteru, aby związać w jedność zjawiska optyczne i t. d. Drugą gromadę stanowią hypotezy historyczne; nie wprowadzają one nowych bytów trwale istniejących, lecz inną formę istnienia w przeszłości tych, które znamy ze spostrzeżenia; objaśniają to co jest tém co było. Do takich należą hypotezy o powstawaniu światów z mgławic, o pochodzeniu gatunków i t. d.

Hypotezy historyczne posiadają szczególną skłonność do przeobrażania się w umyśle ludzkim w fakta. Przyczyną tego jest, że gdy w hypotezach ontologicznych natrafiamy bardzo prędko na granicę poznania zmysłowego, w hypotezach historycznych, obracamy się wciąż w zakresie wyobrażeń naocznych. Istotnie zdawałoby się, że w miarę tego jak nagromadzają się dowody na korzyść jakiejkolwiek hypotezy historycznéj, traci ona coraz bardziéj charakter przypuszczenia i przybiera cechy przekonania, że tak było i inaczéj być nie mogło. Wundt [1]) bardzo słusznie wyróżnia hypotezę od przypuszczalnego istnienia jakiegoś faktu. Przytoczony przezeń przykład przypuszczenia Galileusza o izochroniczności małych wahań ma tę wadę, że przypuszczenie to mogło być natychmiast stwierdzone doświadczalnie; nie miało więc racyi bytu jego wprowadzenie do nauki jako domniemania. Ale wystawmy sobie, że paleontolog, znajdując pojedyńcze części roślin skamieniałych, zrobi przypuszczenie, iż niektóre z nich należą do

[1]) Teorya Poznania str. 170.

tej samej rośliny. Domysł ten będzie zostawał domysłem dopóty, aż szczęśliwy przypadek nie da mu w ręce odcisku, na którymby te części były w związku widocznym. Traf jednak taki może nigdy nie nastąpić i domysł może zostać na zawsze tylko domysłem. Nie będzie on przeto jeszcze hypotezą.

Zdaje mi się, że nie popełnię błędu, jeśli, uznając za fakt tylko to, co jest przedmiotem ujęcia bezpośredniego, a więc — o ile mowa o przyrodoznawstwie — zmysłowego, hypotezę określę jako konstrukcyą czysto racyonalną (wywodową), sięgającą za granice spostrzeżenia zmysłowego, a służącą ku syntezie zjawisk spostrzeżenia[1]).

Granice, tu zaznaczone, mogą być zakreślone bądź przez samą istotę konstrukcyi, bądź przez nieskończoność w czasie lub przestrzeni. Pierwsze stosuje się np. do hypotezy falowego ruchu eteru jako przyczyny wrażeń świetlnych. Oczywista rzecz, że gdyby nawet możliwém było osiągnięcie takiego powiększenia, któreby dało nam możność widzieć ów ruch eteru, nie moglibyśmy go widzieć dla tego, że światło, rozłożone na swoje składniki mechaniczne, przestałoby być światłem. Napotykamy więc tu odrazu na granicę ujęcia zmysłowego. W innych wypadkach granicę tę zakreślają wymiary przestrzeni, jak w dopuszczeniu nieskończenie małych atomów i t. d., których sprawdzić nie możemy i prawdopodobnie nigdy nie będziemy mogli, lub nieskończenie wielkiemi przeciągami ubiegłego czasu, w który cofnąć się również nie możemy jak to ma miejsce w hypotezach kosmogonicznych lub w hypotezie pochodzenia gatunków. Wprowadzenie to nieskończoności do hypotezy jest jakby ubezpieczeniem od możliwych starć z udoskonaleniami, jakie zajść mogą w naszych metodach spostrzeżenia. Gdyby np. rachunek matematyczny wymagał dla cząsteczek ciał wymiarów kilkaset milionów razy większych od tych jakie obecnie przyjmują, nasze mikroskopy współczesne pozwoliłyby już sprawdzić zgodność tego przypuszczenia z rzeczywistością i zmusiłyby albo do przyjęcia go za fakt spostrzeżenia, albo do odrzucenia jako sprzecznego ze spostrzeżeniem. Gdyby hypotezy Laplace'a i Darwina nie wymagały nieskończonego przebiegu minionego czasu, nie mielibyśmy powodu uważać je za hypotezy, ale tylko za fakta domniema-

---

[1]) Wundt (*l. c.* str. 171) określa hypotezę jako „założenia gwoli faktów poczynione, a pomimo tego niepodlegające faktycznemu udowodnieniu", czemu można by nadać znaczenie zupełnie zgodne z przytoczoném w tekscie określeniem, — gdyby nie zbyt szerokie pojmowanie faktu, którego autor nie ogranicza do zakresu spostrzeżenia (por. str. 172).

ne; ten właśnie pierwiastek niedopuszczający sprawdzenia czyni je hypotezami.

Hypoteza więc nigdy nie może stać się faktem, chyba że sąd o granicach spostrzeżenia nie był poprawny. Istotnie granice te niekiedy mogą być czasowe, usuwające się w miarę udoskonalenia środków spostrzeżenia; w takim razie okazać się może, iż to, cośmy początkowo za hypotezę uważali, było wprost przypuszczeniem o fakcie, a nowe środki spostrzeżenia wykażą, czy przypuszczenie to było słuszne czyli mylne. Błąd w takim razie stosowałby się do oceny danéj konstrukcyi jako hypotezy. Ale zwykle mają co innego na myśli, gdy twierdzą, że hypotezy mogą przechodzić w fakty.

Za przykład, który nie mało kłopotu sprawia logikom, służyć może pogląd Kopernika na ruchy ciał niebieskich. B. E. Noville [1]) uważa go za hypotezę; Wundt [2]) twierdzi, iż był on hypotezą w XVI i XVII wieku, dziś zaś stał się faktem. Zdaje się nawet, że przykład ten głównie służy za pobudkę temu autorowi do rozszerzenia zakresu faktu, po za granicę spostrzeżenia bezpośredniego. Zdaniem mojém, sprzeczność ta wynika ztąd, iż heliocentryczny układ systemu planetarnego nie jest w rzeczywistości ani hypotezą ani faktem. Pomiędzy temi dwoma składnikami wiedzy spotykamy jeszcze jedno ogniwo — teoryą. Teoryą nazywamy cały aparat rozumowań, wiążący bądź fakta spostrzeżenia między sobą, bądź hypotezy z faktami [3]). Teorya nie dodaje do faktów nic nowego, tylko zmienia ich porządek lub nadaje im nowy. Ruchy ciał niebieskich (fakta, spostrzeżenia), mogły być powiązane z sobą bądź przy pomocy teoryi Ptolemeusza, bądź Kopernika, bądź Tycho-de-Brahe. Żadna z nich nie dodawała nic do faktów spostrzeżenia, a o wyborze stanowiło to, która z tych teoryi wiązała najlepiéj największą ilość faktów. Do teoryi również moglibyśmy zaliczyć te hypotezy historyczne, które nie wprowadzają innych czynników prócz znanych ze spostrzeżenia (jak hypoteza Darwina), gdyby nie rozszerzały one przypuszczeń swoich dowolnie po za granice spostrzeżenia (zmienność gatunków) a po części wbrew spostrzeżeniu i nie posługiwały się przypuszczeniami, usuwającemi możność sprawdzenia (nieskończoność w czasie), co im nadaje już

---

[1]) Revue philosophique, 1876, T. II, str. 127.

[2]) Teorya poznania str. 172.

[3]) Podobném jest określenie Clifforda: „The word theory... means an organised account of the facts, such that from it you may deduce results, which are applicable to future experiments, the like of which have not yet been made“ („First und last catastrophe“ w Lectures and essays. Lond. 1886 str. 139).

cechy hypotezy. Natomiast dawniejsze poglądy geologiczne, dopuszczające istnienie kataklizmów posiadają charakter czystéj hypotezy, wprowadzają bowiem przypuszczenia nowe, nie należące do zakresu spostrzeżenia.

Podane powyżéj określenie hypotezy, obok możliwego błędu co do oznaczenia granic spostrzegania, płynącego ze stopniowego rozszerzenia tych granic, nasuwa myśl, że gdybyśmy kiedyś mogli dojść do tak doskonałych sposobów spostrzeżenia, któreby przekroczyły przestrzeń zapasową, oddzielającą hypotezy od faktów, wszystkie nasze hypotezy mogłyby stać się faktami spostrzeżenia. Przypuszczenie takie wprawdzie jest w wysokim stopniu nieprawdopodobne i wprowadza nowy pierwiastek — nieskończonéj prawie doskonałości spostrzegania, który ma charakter hypotetyczny; ale możemy myśli téj inny kształt nadać. Wystawmy sobie, że dowody, nagromadzone na korzyść jakiéjkolwiek hypotezy np. termicznych ruchów cząsteczek gazu, nadałyby jéj taki stopień pewności, jaki np. posiadamy co do obiegu ziemi wokoło słońca lub jaką mamy o przejściu człowieka pewną drogą, gdy znajdujemy ślady jego nóg wzdłuż téj drogi. Wystawmy sobie daléj, że z postępem wiedzy wszystkie hypotezy naukowe przybrałyby w naszém przekonaniu ten sam stopień pewności. Czy obraz świata, otrzymany w ten sposób przy pomocy wiedzy, jakkolwiek widziéć byśmy go nie mogli, nie odpowiadał by w umyśle naszym temu, cobyśmy istotnie ujrzeli, gdyby jakimś cudem granice ujęcia zmysłowego zostały usunięte? Obraz taki nie byłby jeszcze prawdą bezwzględną, ale w każdym razie konieczną formą zmysłowego ujęcia, gdyby ujęcie to było możliwe.

Różnica pomiędzy hypotezą a faktem ściągałaby się w takim razie do różnicy faktu wywnioskowanego a faktu spostrzeżonego. Wracamy więc tu do pytania, czy fakt wywnioskowany może być postawiony na równi z faktem spostrzeżenia? Należy przedewszystkiém zaznaczyć, że nie idzie tu o sam tylko stopień pewności. Gdyby bowiem różnica na nim tylko polegała, to znowuż fakt wywnioskowany mógłby posiadać tak wielkie prawdopodobieństwo matematyczne, iż przedstawiający ją ułamek bez błędu uważaćbyśmy mogli za równy jednostce, czyli pewności. Różnica tu jest jakościowa i polega na poznaniu przez różne organa intelektualne. Fakt wywnioskowany jest produktem umysłowym (racyonalnym), kiedy fakt spostrzeżony jest produktem zmysłów; a jakkolwiek pierwszy przybiera również formy zmysłowe, bo w tych formach tylko myśleć zwykliśmy o rzeczach konkretnych, nie mniéj zostaje on zawsze tylko f a k t e m i d e a l n y m, kiedy drugi za realny przywykliśmy poczytywać. Ludzie

wiedzy, a zwłaszcza pracujący w gałęziach wiedzy, gdzie dokładność spostrzeżenia ma wielkie znaczenie, doskonale rozumieją, różnicę tych dwu rodzajów faktów, a głównym punktem wszelkiéj krytyki naukowéj jest właśnie ścisłe rozgraniczenie ich od siebie. Któż nie słyszał o tém, jak często naprzód powzięta idea zmuszała nawet wytrawnych mikroskopistów widzieć to, czego nie było? Tak Max Schulze, opisując ruchy okrzemków, powiada, że wypuszczają one wyrostki protoplazmatyczne, za pomocą których pełzają po szkle. Powodem tego błędnego spostrzeżenia było oczywiście przekonanie, że wszelkie istoty, odbywające ruchy dowolne, mieć muszą jakieś zewnętrzne organa tych ruchów; przekonanie to było tak silne, że zmusiło badacza widzieć podobne organa, których w rzeczywistości nie ma. Nasuwa nam to naturalne przejście do oznaczenia względnéj pewności faktów wywnioskowanych a faktów spostrzeżenia. Gdyby wspomniany wyżéj badacz dopuścił był możliwość innéj przyczyny ruchów okrzemków niż czynność organów zewnętrznych, nie był by popełnił błędnego spostrzeżenia. Gdybyśmy przeciwnie mieli niezbity dowód, że organizmy nie mogą się poruszać inaczéj, niż przy pomocy organów zewnętrznych, zmuszeni bylibyśmy przyjąć istnienie podobnych organów u okrzemek, jakkolwiek nie widzielibyśmy takowych. Niemniéj konieczność logiczna myślenia ma dla nas zupełnie inną wartość podmiotową, niż konieczność tkwiąca w spostrzeżeniu [1]). Na czém polega ta różnica? Czy na różnym stopniu pewności. Wszak mamy w matematyce cały szereg twierdzeń, mających tylko znaczenie konieczności logicznéj, nie mniéj uważamy stopień ich pewności za najwyższy jaki osiągnąć możemy. Skądże płynie przekonanie potoczne o wyższéj pewności faktu spostrzeżenia nad faktem wywnioskowanym? Przyczyna ta zdaje się być ta sama, dla któréj pierwsze poglądy na świat były materyalistyczne; nałóg myślenia niewyrobionego — uważać za „prawdę“ to, czego się dotyka, co się widzi. Wszelako, biorąc rzecz krytycznie, mamy słuszne podstawy, ażeby uważać pewność wywnioskowanego faktu za mniejszą niż faktu spostrzeżenia; z wyjątkiem bowiem twierdzeń matematycznych, nigdy prawie nie możemy mieć ścisłego dowodu, że żadne inne przypuszczenie, oprócz przyjętego przez nas, nie może również dobrze zdać sprawy z faktów spostrzeżenia.

Stosując to do hypotez naukowych, powinniśmy uwzględnić jeszcze jedną okoliczność, która obniża nadzwyczaj stopień ich pewności; jest nią to, że fakta idealne przedstawiane przez hypotezy odbie-

---

[1]) Poczucie to wynurza się w prawodawstwie małą względnie wagą, jaką sądownictwo nadaje t. zw. dowodom pośrednim.

gają zbyt daleko od zwykłych warunków spostrzeżenia, ażebyśmy stopień ich prawdopodobieństwa porównywać mogli z prawdopodobieństwem zwykłego wywnioskowanego faktu. Stosunek tu jest taki jaki istnieje pomiędzy ekstrapolacyą a interpolacyą w matematyce; przytém ekstrapolacya odbywa się w odległości prawie nieskończonéj po za granicami spostrzeżenia.

Hypotezy więc uważać możemy za fakta idealne o małéj prawdopodobności. Gdybyśmy zgodnie z Wundtem rozszerzyli zakres faktu po za granice spostrzeżenia, wprowadzając weń to, cośmy dotąd dla uniknienia nieporozumień nazywali faktami wywnioskowanemi, granica między hypotezą a faktem zatarłaby się zupełnie, przejście od jednéj do drugiego, byłoby nieznaczne; w miarę wzrastania prawdopodobieństwa, hypotezy przeistaczałyby się stopniowo w fakty. Trwała jednak granica istnieje pomiędzy temi dwoma składnikami wiedzy, a polega ona na odmienności organów intelektualnych, których czynności są wynikiem. Hypoteza jest wytworem myśli, fakt—wytworem zmysłów.

Jakkolwiek obadwa te organa umysłowości naszéj (jeśli wolno je tak nazywać) są w pewnych granicach ściśle koordynowane, nie są ich pola działania identyczne, nie pokrywają się nawzajem. Najlepszym tego dowodem jest możność wytwarzania pojęć, nie dających się w żaden sposób uzmysłowić; możemy myśléć o przestrzeni posiadającéj więcéj niż trzy wymiary; ale nie możemy sobie podobnéj przestrzeni wyobrazić. Formy myśli są inne, niż formy ujęcia zmysłowego, a cała nasza wiedza jest sztucznym gmachem, służącym do tego, aby jedne do drugich przystosować. Zjawisko, ujęte jako całość przez organ zmysłu, rozkładamy początkowo na rozmaite składniki, na pierwiastki czasowe i przestrzeniowe, substancyalne i dynamiczne, aby późniéj je nanowo połączyć, ale połączyć według wymagań logicznych. Odrywamy sztucznie od siebie rzeczy, które w istocie są nierozdzielne (np. siłę i materyę), aby je połączyć następnie w sposób również sztuczny. Ale w téj syntezie, w odbudowaniu z odłamków całości zjawiska, według wymagań pojmowania (t. j. według kategoryi logicznych) nie wystarczają nam często otrzymane przez analizę odłamki; nie dają się one dopasować tak, ażeby same nową całość tworzyły; potrzebujemy do nich coś dodać, coś wyobrażalnego, nie wziętego ze spostrzeżenia. Ten dodatek stanowi hypotezę, czyli fakt idealny.

W tém więc rozróżnieniu dwóch władz, wchodzących jako czynniki do wiedzy, które zaznaczył już Parmenides, znajdujemy trwały punkt oparcia dla rozgraniczenia dziedziny faktu od dziedziny hypo-

tezy a zarazem do ich oceny według probierza prawdy. Nie idziemy dziś w ślad za Eleatami, którzy dostrzegłszy sprzeczności w tych dwóch narządach umysłu uznali jeden z nich — zmysły, za zwodniczy, przypisując prawdziwość bezwzględną tylko drugiemu, ani za krańcowym sensualizmem, który tylko zmysłom prawdziwość przyznaje. Uważamy dziś wytwór jednego i drugiego za prawdę względną; prawdę, bo jest to wytwór konieczny, wynikający z organizacyi naszéj; względną — bo jest ona prawdą tylko dla tego zakresu, w którym powstała; to co jest prawdą dla zmysłów, może nią nie być dla myśli i odwrotnie. Tak widzimy codziennie słońce opisujące koło na niebie; wszystkie gwiazdy obracające się naokoło jednego punktu, ale dla umysłu naszego ruchy te są tylko pozorem; a pozorny spoczynek ziemi nieruchoméj pod stopami naszemi—ruchem. Winniśmy się więc wyrzec nadziei znalezienia prawdy bezwzględnéj w wiedzy, a gdziekolwiek będziemy jéj szukali, jakiekolwiek będziemy mieli nadzieje na jéj znalezienie, nie przyznamy jéj ani faktowi naukowemu, ani hypotezie. Przeświadczenie to zmienia istotnie wymagania nasze od hypotezy naukowéj. W miarę tego, jak szerzy się ono wśród ludzi wiedzy, w miarę, jak hypotezy tracą znaczenie „prawdy“ domyślnéj a przybierają charakter fikcyi metodycznych, służących do powiązania faktów wedle wymagań kategoryi logicznych, coraz mniéj ma w ich oczach znaczenia zmysłowo-naoczna forma hypotezy, a gdy jednocześnie wiedza pozbywa się roszczeń do pojmowania przyrody, dążąc jedynie do syntezy zjawisk, usuwa się również wymaganie zrozumiałości od hypotezy [1]). Pozostaje jedynie naoczność w tym stopniu, w jakim jéj od każdego symbolu wymagamy, bo bez téj naoczności nie moglibyśmy się hypotezą posługiwać. Za przykład najlepiéj wyjaśniający, posłuży nam pojęcie siły działającéj w odległości, o któréj doskonałe studyum znajdujemy w świéżo wydaném dziele jednego z matematyków niemieckich. Znaną jest rzeczą z jaką niechęcią przyjęta została hypoteza Newtona; niechęć ta spowodowana była niezrozumiałością twierdzenia, że coś (materya) działa tam, gdzie nie jest [2]). To téż od czasu Newtona pojawiają się wciąż próby

---

[1]) Por. w tym względzie Stallo: „The concepts and theories of modern physics.“ New York. 1882, str. 139—147. Kirchhof proponował zamiast niedokładnego wyrazu „wyjaśnienie“ (Erklärung) zjawiska mniéj pretensyonalny — „opisanie“ (Beschreibung). Najwłaściwszym wydaje się nam wyraz synteza, t. j. złożenie w umyśle zjawiska z domniemanych lub rzeczywiście spostrzeżonych pierwiastków. Wyraz ten, używany już w literaturze niemieckiéj, najlepiéj oddaje podmiotowy i względny charakter konstrukcyi naukowych.

[2]) „Panującą obecnie hypotezę działania z odległości uważano poprostu za niedorzeczną, a Newton nie inaczéj się na nią zapatrywał.“ Lange. „Hist. fil.

zastąpienia tego rodzaju działania przez naoczne i zrozumiałe uderzenie atomów. Pomijając jednak, iż wszelkie konstruowanie ciążenia napotyka na trudności prawie nieprzezwyciężone, dałoby się ono uskutecznić nie inaczéj, jak przy pomocy innych sił działających w odległości [1]). Wogóle żadna konstrukcya, przyjmująca za podstawę rozdrobienie materyi na atomy (a takiego wyobrażenia w żaden sposób uniknąć nie można [2]) nie może się obejść bez działania w odległości. Nie obchodzą się bez niéj i najnowsze próby cynetycznéj teoryi materyi [3]). Z trzech bowiem dających się wyobrazić sposobów udzielania ruchu od atomu do atomu, dwa, t. j. ciągnienie i popychanie, są tylko surowym faktem spostrzeżenia, wymagającym syntezy fizycznéj, która znów tylko przy pomocy sił działających w odległości uskuteczniona być może; uderzenie zaś, jeśli jest elastyczném, spoczywa również na działaniu atomów z odległości; jeśli jest nie elastyczném, pociąga ustawiczną stratę energii, a więc staje w sprzeczności z zasadniczemi podstawami mechaniki.

Siła więc działająca w odległości, zdaje się być pierwiastkiem, nie poddającym się dalszemu rozkładowi („*Elementar mechanismus*“ według terminologii P. Du. B. R.). Powinniśmy na niéj poprzestać jako na pojęciu graniczném wiedzy i przyjąć ją za podstawę naszych syntez pomimo jéj niezrozumiałość.

Skoro tak jest, jakaż rola pozostaje atomowi? Jest on poprostu „właścicielem“ (Eigner) siły; cechy substancyonalności okazują się mu zbytecznemi; możemy przyjąć wprost punkta matematyczne jako środek umiejscowienia sił i wyzuć w ten sposób atom nawet z najelementarniejszéj cechy materyi, t. j. z rozciągłości wszystkie bowiem sposoby oddziaływania materyi, ściągają się ostatecznie do sił, które jéj przypisujemy. „Materya a siła działająca w odległości — to jedno“ [4]). Bardzo zbliżone do tego określenie materyi podaje Clifford:

---

mater.“ T. I. str. 244, por. również następne karty. Whewell („Hist. umiej. indukc.“ t. II) przyznaje też, że teorya Kartezyusza tak długo utrzymywała się na lądzie Europy po odkryciu Newtona, dzięki temu, iż tłómaczyła zjawiska naocznem uderzeniem lub ciśnienieniem.

[1]) Paul Du Bois-Reymond. „Ueber die Grundlagen der Erkenntniss in den exacten Wissenschaften“. Tubinga, 1890. Rozdz. IV. Die Fernkraft.

[2]) *L.* c. R. III. „Continuirliche und atomistische Raumausfüllung durch die Substanz.

[3]) Wil. Thomson. „Steps towards a kinetic Theory of matter“ w „Popular Lectures and Adresses“. Lond. 1889. str. 218.

[4]) P. Du Bois-Reyomond *l. c* str. 103.

„zmiana posiadająca energię, jest ruchem materyi“... „Jest to, dodaje autor, może najbardziéj zrozumiałe z określeń materyi, jakie sobie pomyśléć możemy“ [1]).

Czémże jest siła lub energia? Siłę określa fizyka, jako przyczynę ruchu; energią nazywa się to, co wykonać może pracę. Jedno i drugie (jakkolwiek różnią się matematycznie) są tylko fizycznem upostaciowaniem przyczynowości t. j. kategoryi myślenia. Widzimy więc, że w ostatecznéj analizie mechanizmy elementarne naszych hypotez rozkładają się na czyste formy ujęcia zmysłowego: przestrzeń (względne położenie atomów, jako ośrodków sił) i czas (wchodzący w pojęcie ruchu), oraz umysłowego—przyczynowość, czyli siła. Materyał, czyli treść wrażenia zmysłowego topnieje i znika stopniowo, a miejsce jéj zastępuje pojęcie logiczne, nie dające się uzmysłowić inaczéj, jak za pomocą symbolu. Miejsce różnopostaciowych atomów Demokryta, czepiających się wyzębieniami swemi, zastępuje punkt matematyczny, służący za ośrodek siły. Nie hypotezy więc przechodzą w fakta, lecz przeciwnie, w miarę udoskonalenia się pewnéj gałęzi wiedzy, usuwa się z niéj materyał spostrzeżenia, fakt idealizuje się i przechodzi w dziedzinę hypotezy. Wyobrażenie zmysłowe (substancya) ustępuje miejsce pojęciu logicznemu (siła).

Tak stopniowo z rozwojem myśli ludzkiéj coraz więcéj pozbywa się ona charakteru zmysłowego. Na najniższych szczeblach, gdy jeszcze nie przybrała kształtu systematycznego wiedzy, posługuje się ona mytem filozoficznym, usiłując przy jego pomocy uczynić przyrodę zrozumiałą. Ale wkrótce myt ten odrywa się od poglądu na przyrodę i przenosząc się w dziedzinę ideału, wytwarza religię. Miejsce jego zastępuje metafizyka przyrody, usiłująca pojąć przyrodę za pomocą koncepcyi racyonalistycznych, którym nadaje się postać zmysłową i byt realny. Dalszy postęp usuwa jedno i drugie; koncepcye metafizyczne przerabiają się na hypotezy naukowe przez przeniesienie ich do zakresu idei. To, co było uważane dotąd za fakt domyślny, staje się faktem idealnym. Wiedza przyrodnicza nie szuka już pojmowania przyrody, lecz dąży do syntezy jéj zjawisk przy pomocy mechanizmów elementarnych, które w ostatniéj analizie sprowadzają się do czystych form poznania zmysłowego i umysłowego.

W. M. Kozłowski.



[1]) *L. c.* str. 139.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Antoni Sygietyński. „Wysadzony z siodła.“ Powieść z życia współczesnego. Wydanie drugie. Kraków. Nakład autora, 1891, str. 350.

Nazwisko autora znaném jest czytelnikom „Ateneum“ ze sprawozdań artystycznych i z szeregu rozpraw o współczesném powieściopisarstwie francuskiém, które tak żywe wśród inteligencyi budziły zajęcie. W sądach swoich był on dobitnym, stanowczym, a nawet jaskrawym przeciwnikiem wszelkiéj rutyny, wszelkiego fałszu, wszelkiéj mierności, wielbiąc natomiast szczerość przekonań, prawdę w odtwarzaniu zjawisk życia, siłę i jędrność wykonania. Trafność obserwacyi, rozum, a zwłaszcza dowcip i finezya miały w nim zawsze bystrego dostrzegacza i zapalonego chwalcę; uczuciowość natomiast, jak to widzieć można szczególniéj w artykule o powieściach Daudet'a, o wiele słabszém cieszyła się u niego uznaniem, ba, do drwin nawet pobudzać go się zdawała.

Jako powieściopisarz musiał naturalnie p. Sygietyński ujawnić te same właściwości swego umysłu. Bystra spostrzegawczość, patrząca na ludzi i ich stosunki bez obsłonek konwenansu, wstydliwości czy nieśmiałości, ale oczywiście nie bez pewnéj z góry powziętéj myśli, którą mu nasuwa temperament i cały zapas dotychczasowego doświadczenia; zamiłowanie w rysach ostrych, wyraźnie i dosadnie oddających sylwetki osób i rzeczy; dowcip cięty, nie przebierający w słowach, byleby wywołać zamierzony efekt; chęć wyjaśniania czynności ludzkich przez instynkty, pobudki czysto samolubne i poziome, a upośledzenie strony uczuciowo-szlachetnéj: to są cechy, które odnajdujemy zarówno w pierwszéj powieści p. S., wydanéj przed laty p. n. „Na skałach Calvados“, jak w nielicznych obrazkach później-

szych, pomieszczanych w „Wędrowcu“ i „Kurjerze Warszawskim“, jak wreszcie w utworze ostatnim, w „Wysadzonym z siodła“.

Dziennikarstwo i powieściopisarstwo nasze nieraz już, w ostatniém zwłaszcza trzydziestoleciu, miało sposobność do skreślenia losu wykolejonych, materyalnie i moralnie staczających się ku przepaści. Traktowano ich już to ze spółczuciem, już to szyderczo stawiając pod pręgierzem jednostki, które mogły coś zrobić dla siebie, dla swéj rodziny, a nawet dla społeczeństwa, ale wskutek niedbalstwa, nieumiejętności rządzenia się, słabego charakteru zmarnowały wszystko, co posiadały i zeszły na sam spód nędzy materyalnéj i znikczemnienia moralnego. Dość tu będzie przypomniéć głośną przed paru laty satyrę p. Aleksandra Mańkowskiego p. t. „Pan Wojciech“, gdzie milionowy pan zostaje w końcu błaznem, żebrakiem i pijakiem.

Jedną z takich postaci wybrał sobie i p. S. do studyum artystycznego. Tytuł powieści: „Wysadzony z siodła“ łączy się ściśle z pojęciem charakteru Załogowskiego. Jest-to z pochodzenia i z wychowania przedewszystkiém rycerz, któremu najlepiéj na koniu czy to w bitwie, czy na polowaniu przynajmniéj. Zamożny, czujący, że pracować ani uczyć się nie potrzebuje, bo za niego robić i myśléć będą inni, otrzymał wykształcenie powierzchowne na pensyi pośród podobnych, jak on „paniczów“, głowy sobie ani nad łaciną, ani nad matematyką nie łamał, bawił się już za młodu, nabiérał ogłady, ani gorszy, ani lepszy pod względem moralnym od innych ze swego koła, awanturki miłosne uważał za sposób przepędzenia czasu zarówno w stanie kawalerskim, jak i w małżeńskim, ożenił się młodo, żonę niewątpliwie kochał, lecz to mu nie przeszkadzało zerkać pożądliwie na ładne twarzyczki i pobałamucić się od czasu do czasu. W opiniach ogólnych nie miał żadnych zdań samodzielnie wyrobionych, lecz posiadał szlachetne rycerskie popędy i tym dawał folgę przy sposobności.

Uniesiony okolicznościami na Wschód daleki, pozostawił żonę i kilkoletnią córeczkę pod opieką krętacza prawnika. Zbyt częstym u nas typem ten, któremu szlachta nie chciała początkowo podawać ręki, z biegiem czasu, zręcznie manipulując, dając ofiary na kościół, nie skąpiąc rad, a nawet pieniędzy dla sąsiadów, pozyskał sobie niebawem poważanie, a nawet szacunek; zapomniano o pochodzeniu jego dorobku, podziwiano jego zręczność, obrotność, kłaniano się jego majątkowi.

Po latach 15-tu wraca Załogowski do kraju; majątku nie zastaje już ani śladu, dowiaduje się, że córka jego została ogródkową aktorką;

dotknięty têm do żywego, przekląwszy córkę, ulegając pierwszemu popędowi, rzuca się do Wisły. Wydobyty, odchorowawszy zimną kąpiel, wraca do życia lubo z niechęcią. Stary Cieżyński już nie żył, ale jest jego syn, prawnik i przebieglejszy jeszcze matacz. Do niegoto udaje się Załogowski, ażeby zażądać rachunku i z administracyi majątku i z pokierowania córką. Dąży do mieszkania adwokata wielce wzburzony, układa sobie piorunującą mowę, ale zarówno z powodu temperamentu, który jest porywczy, lecz łatwo stosownemi środkami daje się uspokoić, jak i z powodu osłabienia wskutek choroby energia jego rychło się wyczerpuje, zwłaszcza że musiał dość długo czekać na zjawienie się Cieżyńskiego i przetrawił już w sobie złość pierwotną. Obłudnie słodkie słowa adwokata, udana serdeczność, odwoływanie się do dawnego koleżeństwa, zręczne a przewrotne tłómaczenie postępowania i z majątkiem i z córką Załogowskiego, wreszcie wyprawione w handelku śniadanie rozwiewają, przynajmniéj chwilowo, nienawistne postanowienia „wysadzonego z siodła“, godzą z Cieżyńskim i każą w nim widziéć życzliwego przyjaciela.

Otrzymawszy jako resztę wartości majątku swego 3,000 rubli, Załogowski, który z powodu swoich uprzedzeń szlacheckich nie chciał posłuchać rady Cieżyńskiego, żeby albo się ubiegał o rękę bogatéj przechrzcianki, albo też szukał miejsca rządcy w dobrach jakiego żyda, coby za honor posiadania dobrego szlachcica zapłacił, umieszcza prawie całą swą gotówkę niefortunnie jako kaucyę administratora, traci ją, potém dostaje miejsce rządcy, nie umié sobié dać rady z rachunkami i znowu się znajduje bez miejsca. Przekonywa się dowodnie, że wśród nowych, zmienionych warunków gospodarowania, nie posiadając wykształcenia fachowego, ani przyzwyczajeń zgodnych z wymaganiami sytuacyi, zupełnie jest niezdatny do tego zajęcia, które mu się najwięcéj uśmiéchało i które zdawało się najstosowniejszém jeszcze dla niego.

Musiał się więc obejrzéć za inném. W czasie dwuletniego obracania się ponownie wśród braci szlachty, dowiedział się on szczegółów o łotrowskiém, ale sprytnie prowadzoném przez Cieżyńskich wyzyskiwaniu dawniejszego jego położenia, o zręczném zagrabieniu jego majątku przez sztuczne obdłużenie i hojnie liczone rachunki, z powodu choroby zmarłéj jego żony i edukacyi córki. Stratę majątku już prawie przebolał, ale go drażniło nikczemne postępowanie Cieżyńskiego. O tyle już spraktyczniał, że ani pomyślał o ukaraniu łotra dawnym rycerskim sposobem, wiedząc, że to-by żadnego wyniku pieniężnego miéć nie mogło; wolał się schwycić środka mniéj rycerskiego, ale także oddawna wśród szlachty praktykowanego, to jest procesu. Nie-

stety! po naradzie z prawnikiem musiał odstąpić od zamiaru, który nie rokował pomyślnych rezultatów. Pozostał trzeci sposób: zagrożeniem skandalu wymusić na Cieżyńskim jakąś sumkę. Sposób ten się powiódł, Załogowski otrzymał tysiąc rubli, za które nabył dorożkę. Z końmi obchodzić się umiał, powoził doskonale, prezencyę posiadał; dlaczegóż nie miałby zapewnić sobie szczęścia w tym fachu? Tak; lecz grała w nim fantazya i do przepisów stosować się nie lubił; „za zbyt kawalerską jazdę“, jak się wyraził Kurjer, został raz na zawsze pozbawionym prawa zajmowania się procederem dorożkarskim.

Wówczas został posłańcem publicznym. W tym charakterze sprowadziła go służąca do mieszkania jego córki-aktorki, która chciała odesłać listy aspirantowi na kochanka. Załogowski zrazu nie poznał córki, ale ona go poznała i spragniona serdeczniejszego uczucia, może podbudzona trochę rolami, jakie grywała, rzuciła mu się na szyję, potém do nóg, całowała jego ręce, błagała, żeby u niéj zamieszkał. Posłaniec z początku onieśmielony bogactwem otoczenia i wytworności stroju Zofii, biernie przyjmował oznaki jéj czułości, lecz wreszcie zbudziła się w nim powaga i obrażona duma ojca, wybuchnął niechęcią, oburzeniem, przekleństwem. Udobruchany atoli został niebawem wódką, przekąską... Dowiedziawszy się wszakże od córki, że Cieżyński był jéj uwodzicielem i pierwszym sprawcą jéj nieszczęścia i całego dalszego trybu jéj życia, poczuł obrazę głęboko, pobiegł do Cieżyńskiego, dał mu w twarz, a widząc, że prawnik nie bierze tego po rycersku, rzucił się nań z całą wściekłością długo tamowanych instynktów zwierzęcych i zbił go należycie.

Za to dostał się do aresztu. Zofia użyła wpływu swych wdzięków na Cieżyńskiego, który teraz dopiéro po latach jakich dziesięciu zapłonął gwałtowną miłością dla swojéj niegdyś ofiary, wybawiła ojca z więzienia, umieściła go przy sobie, dając mu funkcyę teatralnych „ciotek“, odprowadzających aktorki do teatru, oraz służących, co niosą za niemi pudła ze strojami. Upadek moralny i umysłowy w Załogowskim objawił się już wtedy w sposób zastraszający. O pożyciu rodzinném nie mogło tu być mowy, a tém mniéj o utrzymaniu powagi ojca. Załogowski pogodził się ze stanowiskiem swéj córki i obojętnie patrzył na jéj kolacyjki w liczném gronie mężczyzn i na zmieniających éj ulubieńców, oraz stałego adoratora, który płacił za mieszkanie. Nałóg pijacki przytępił, a może i zupełnie stłumił poczucie godności i pojęcia moralne. Nie było jego obowiązkiem otwiérać drzwi przychodzącym, ale razu pewnego pod nieobecność służącéj odemknął przychodniowi, dostał za fatygę, palił go ten pieniądz, z porady córki posłano po buteleczkę, ażeby śladu po nim nie pozostało—i odtąd do-

browolnie sam się do otwiérania drzwi nastręczał, zły był, gdy nic nie dostał, a w razie otrzymania datku nie mówił o tém córce, lecz wieczorem odprowadziwszy ją do teatru, szedł do garkuchni, spijał piwo kuflami, przegradzając je kieliszkiem wódki. Ba! posyłany przez córkę po sprawunki, umiał sobie przywłaszczyć grosz niejeden pod tym lub owym pozorem. W ostatniéj scenie widzimy go zapijającego w gronie, podobnie jak on wykolejonych i wyrażającego nadzieję, dla uzyskania od kelnerki kredytu, że otrzyma posadę szwajcara przy zakładzie zastawniczym, bo prezes téj instytucyi, Cieżyński, dobrze jest teraz z jego córką...

Taki jest pomysł. Trafności i świéżości w ogólnych zarysach odmówić mu niepodobna. Ale czy został konsekwentnie przeprowadzony? Gdyby się brało każdą scenę oddzielnie, możnaby tylko przyklasnąć bystrości oka, umiejętności podpatrywania nietylko grubych, ale i subtelnych rysów naszego życia towarzyskiego. Są epizody, np. śniadanie w handelku lub kolacya u Bocquet'a, tryskające życiem, prawdą i finezyą wykonania. Są inne, jak np. sceny wewnętrzne w mieszkaniu aktorki, w których bardzo różnorodne i skomplikowane uczucia, usposobienia, nastroje z wielką swobodą, a z subtelném poczuciem artystyczném są odtworzone.

Ale powieść musimy rozpatrywać jako całość. Otóż pod tym względem „Wysadzony z siodła“ zadowolnić nie może. Wygląda on raczéj jako szereg kilku obrazków, w których pewna postać jest łącznikiem, aniżeli jako obraz jednolity. Zarówno ze strony psychologicznéj, jak kompozycyjnéj powstają liczne zarzuty.

Załogowski, pomimo wszelkich wyjaśnień autorskich, umieszczonych tu wbrew zasadzie czysto przedmiotowego tworzenia, bynajmniéj jasno się nam nie przedstawia. Żeby szlachcic, chociażby nie bardzo rozumny, ale otrzymujący przecie wieści z kraju, przez lat 15 zakonserwował się w niewiadomści zmian, jakie tu zaszły, oraz w tych wyobrażeniach i nałogach, jakich nabrał za młodu; na to potrzeba okoliczności szczególnych, które powieściopisarz powinien wyłożyć. Autor tymczasem podaje objaśnienia sprzeczne ze sobą. Na początku powieści w rozmowie z Cieżyńskim, który proponuje założenie dystrybucyjki, Załogowski odpowiada: „Ja wiem, co handel, a ja jestem szlachcicem!... Łokciem ani miarką herbu nie splamię!... Tam, co prawda, z a j m o w a ł e m s i ę t é m p a s k u d z t w e m, bo nie miałem co i robić“ (str. 50). Tymczasem późniéj ani słówkiem już o tém autor nie potrąca, owszem z naciskiem zaznacza, że, mając dosyłane z kraju 500 rubli, Załogowski niczém się zgoła nie zajmował, czasami jakąś gazetę przeczytał, a najczęściéj polował na szerokich przestrze-

niach (str. 97, 98). Taka sprzeczność jest wysoce rażącą, a do wyrobienia sobie opinii o Załogowskim wcale nie dopomaga. Zachowanie się Załogowskiego zaraz po przybyciu do Warszawy, t. j. rzucenie się do Wisły, niezupełnie jest zrozumiałém. Wszak przed przybyciem już wiedział (str. 27), że majątku nie ma, a pozostałość w gotówce jest bardzo szczupła. A więc nie utrata stanowiska, nie perspektywa biédy popchnęła go do ryzykownego skoku. Chyba zatém widok upadku moralnego córki, gdy ją odwiedził i gdy ją jakiś młokos Zośką nazwał, dodając: „Zośka, powiédz temu dudkowi, żeby się wynosił.“ Zdaje się jednak, że byłby to objaw nadczułości w uczuciu ojcowskiém, nie bardzo licujące z temperamentem Załogowskiego. Po co więc ten skok do Wisły? Ażeby zacząć powieść od sceny efektownéj i pokazać paru przewoźników w sposób naturalistyczny, oraz aby miéć potém osłabienie po przebytéj chorobie, osłabienie, z którego korzysta Cieżyński, by uspokoić Załogowskiego i pozbyć się jego pretensyi łatwym kosztem.

Metamorfozy Załogowskiego (administrator, rządca, dorożkarz, posłaniec) nie zostały odmalowane, ale zaznaczone tylko po to, iżby dojść do obrazku ojca-pijaka, utrzymywanego przez córkę-aktorkę. Ażeby uprawdopodobnić zgrubienie przyzwyczajeń, zanik pojęć i poczucia moralnego, nie dosyć powiedziéć, że tak było, trzeba to okazać; nie łatwo bowiem czytelnik uwierzy, iżby w przeciągu trzech lat (bo dwa przebył Załogowski jeszcze w sferze szlacheckiéj) mogła się dokonać tak stanowcza i tak rażąca przemiana. I znowu dla efektownego przeciwstawienia poświęcona została prawda wewnętrzna, a przynajmniéj zaniedbana trudna praca wyjaśnienia przemiany psychicznéj w sposób artystyczny. Końcowy obraz Załogowskiego niewątpliwie z natury został odtworzony, lecz antecedencye są w części dokomponowane, w części skrócone z większego przeciągu czasu. Nie rozszerzam się już nad drobniejszemi uchybieniami, jak to np. ze śladu popędu rycerskiego nie zaznaczył autor w Załogowskim, gdy szedł wydusić z Cieżyńskiego pewną sumę i dopiéro go odnalazł w posłańcu, gdy się o zhańbieniu córki dowiedział, albo to, że spotkanie posłańca z córką odmalował z początku tak, jakby to było po raz pierwszy od lat kilkunastu, a nawet wyraźnie to wypowiedział (str. 226) i dopiéro późniéj, przypomniawszy sobie, co już czytelnikom wiadomo, rzecz tę sprostować się starał.

I druga figura główna w powieści, Jan Cieżyński, nie jest artystycznie jednolitą. Wybornie w nim umiał przedstawić autor to urastanie osobistości poważanych i wpływowych, które dzięki niejakiéj obrotności i obłudzie zaciérają bardzo rychło zdobytym majątkiem

niegodziwe środki, jakiemi do niego doszli; ale w rozwinięciu téj postaci popełnił błąd niejeden. Przedstawił go nam jako człowieka sprytnego. Tymczasem prócz łatwego zresztą nad osłabionym chorobą Załogowskim zwycięstwa w pierwszych dwu rozdziałach, widzimy go wszędzie bitego na głowę, czy w scenie wydarcia mu tysiąca rubli, czy na kolacyi u Bocquet'a, czy wreszcie w stosunku do Zofii. A i ten stosunek jakże naciągnięty! Żeby uwodziciel po latach dziesięciu znowu kosztem majątku, kosztem skandalu publicznego chciał znowu kosztować owocu, który nadgryzł, na to potrzeba jakiegoś zboczenia patologicznego, albo co najmniéj, żeby ten owoc nagle mu znikł z oczu. Ale Zofia była ciągle na widoku, często ją widywał Cieżyński i często spotykał...

Najlepszą jest sama Zofia. Dobrą jest kiedy odwiedza ojca w szpitalu, dobrze się zachowuje podczas kolacyi u Bocquet'a, wcale niezły pisze list do Melci, scena przywitania się z ojcem-posłańcem troszeczkę może za patetyczna, lecz ze względu, że to mówi aktorka, łatwo się z nią oswajamy, wiedząc, że ten wybuch to objaw chwilowy, że późniéj, gdy życie wróci do normalnych, codziennych stosunków, ujrzymy ją w roli odpowiedniejszéj, gdy będzie rozkazywać ojcu, patrzéć przez szpary na jego wybiegi celem zatrzymania trochę grosza przy sobie, gdy mu powié na słabe jego wyrzuty, że przecież nikogo gwałtem przy sobie nie zatrzymuje. Wabienie oczyma i słowami, umiejętne lawirowanie, i wyzyskiwanie są zupełnie w tonie i charakterze doskonale utrzymane. Ale i w Zofii jest jedna drobna skaza. Wstręt jéj do Cieżyńskiego jest bardzo naturalny, korzystanie z jego słabostki nakazane jéj niemal okolicznościami; ale żeby bez koniecznéj potrzeby dać się unieść blaskowi brylantu wartości 2,000 rubli, ofiarowanego jéj przez tego znienawidzonego i tém bardziéj niecierpianego, że wyzyskiwanego adoratora, to chyba nie bardzo odpowiada temperamentowi Zofii, która przecie potrafi długo trzymać wielbicieli na uwięzi.

Z figur pobocznych Hebalski, król reporterów, schwycony został z natury; w Kulirowskim, „literacie i tabetyku“, może zadużo pomieścił autor dojmującego a trafnego sarkazmu.

W kompozycyi główną wadą jest przewaga epizodów nad wątkiem głównym. Taka np. kolacya u Bocquet'a, sama w sobie doskonała, obejmuje 84 strony, t. j. stanowi prawie czwartą część powieści, a zaledwie paru wierszami z całością się łączy. Pomiędzy poszczególnemi rozdziałami nie ma przejść, ale przeskoki, nieraz gwałtowne. Rozdziały te (z wyjątkiem początku 3-go, wykonanego według starego szablonu) są świetnie pisane, ale niezharmonizowane w całość arty-

styczną. W trzech miejscach pofolgował autor chętce opisu lokalów, wykonał opisy barwnie, ale ich umieszczenie jest prawie zupełnie bezcelowe, bo z rozwojem wątku powieściowego nie łączą się wcale; rzeczy nie służą tu do wyjaśnienia ludzi. *P. Chmielowski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Władysław Stesłowicz.* **Cechy krakowskie w okresie powstania i wzrostu.** — Od czasu, kiedy p. Łoziński w kilku cennych monografiach przedstawił życie i rozwój dawnego mieszczaństwa lwowskiego—ożywiła się w Galicyi literatura historyczna w tym kierunku, że młodzi pisarze już to w monografiach miast i miasteczek, już to w pracach prawno-historycznych, zaczęli daléj badać dzieje „stanu trzeciego“ w dawnéj rzeczypospolitéj. Mamy właśnie przed sobą tego rodzaju rozprawę p. Stesłowicza, która jest o tyle oryginalną, że autor obeznany widocznie z nowszemi kierunkami ekonomii społecznéj — pracę swą o „cechach krakowskich“ na szerszéj oparł podstawie. Cechy, jako organizacye przemysłowe, dostały się do nas w ślad za emigracyą mieszczan niemieckich, a ponieważ odpowiadały w zupełności całemu ówczesnemu ustrojowi społecznemu, więc znalazły na tutejszym gruncie racyę bytu. Kraków, jako stolica, najwcześniéj i najlepiéj cechy swe zorganizował, z czego p. Stesłowicz wnioskuje, że i inne miasta w taki sam sposób cechy swe urządziły. Definicyę cechu podaje autor w tych słowach: „cech przedstawia się jako korporacya lub stowarzyszenie, które ma pewne prawa i obowiązki na wewnątrz i na zewnątrz, które jednak jest przystępném tylko dla tych, którzy uczynią zadość oznaczonym warunkom przyjęcia“. Zdaniem naszém, definicya ta nie jest ścisła—przedewszystkiém zaś brak w niéj wyraźnego dopowiedzenia, że cechy były—korporacyą przemysłową względnie, bo np. przekupnie miejscy korporacyą handlową, na roli zaś takich organizacyi nie spotykamy. „Członkami cechu są—mówi autor—r z e m i e ś l n i c y“, — wyrażenie także, jak sądzimy, nie ścisłe, boć przecież przekupniów sam autor do rzemieślników nie zaliczy — naodwrót wyrazami rzemiosło—rzemieślnik można sobie przedstawiać także system produkcyi, opartéj na t. zw. manufakturach, które stanowią przejście od cechów do fabryk. Nie ujmując w niczém wartości rozprawy p. Stesłowicza, musimy jednak zrobić uwagę, że, pisząc pracę przeważnie ekonomiczno-historyczną, powinien był być w wielu razach ściślejszym.—Z drugiéj strony barwny i krytyczny zarazem jest opis rozwoju cechów i ich życia społecznego. Z rozprawy widać ja-

sno, o ile organizacya cechowa przywiązaną była do rękodzieła i małych rynków handlowych i o ile z drugiéj strony wzrost techniki produkcyi i rynków, wskutek ułatwionéj komunikacyi niszczył je, aż wreszcie pogrzebał zupełnie. Sama szlachta, dążąca raz do ograniczenia wzrostu mieszczaństwa cechowego,—powtóre, żądna szerszych widnokręgów handlowych dla swych produktów surowych, niszczyła ograniczeniami prawnemi silną organizacyę cechów. Równocześnie z upadkiem cechów i wskutek zmiany formy produkcyi miejskiéj musiała naturalnym biegiem rzeczy wyłonić się kwestya robotnicza, która nie istniała w cechach z tego powodu, że zapłata za pracę — czas téjże i termin potrzebny do wyzwolenia czeladnika na majstra były to z góry prawami i zwyczajami cechów ściśle określone kwestye.—W życiu wewnętrzném cechów widzimy z pracy p. S., jak tam, podobnie jak w całych ówczesnych feudalnych społeczeństwach, nurtowały silnie prądy klerykalne — niemniéj prądy wprost arystokratyczne, dążące do tego, ażeby z wolnych gałęzi rękodzielniczych stworzyć coś w rodzaju kast, opartych na prawie urodzenia. Syn np. majstra już tém samém był więcéj uprawniony do zadośćuczynienia ciężkim wymaganiom organizacyi cechowéj—niżeli czeladnik obcy — bez znanych przodków. Prądy te nie osiągnęły jednak zwycięstwa, z powodu, że cechy nie były samoistnemi korporacyami na zewnątrz, ale podlegały rozporządzeniom rady miejskiéj, która częstokroć do wewnętrznego ich działania wglądała w interesie ogólnego wzrostu przemysłu i handlu. — Taką jest krótka treść rozprawy p. S. Jak już z góry zaznaczono, rzecz oparta jest na szerokiéj podstawie społecznéj, uważamy téż ją za pożyteczny dla nauki nabytek.

K. J. Gorzycki.

— *Bolesław Ulanowski.* **O założeniu i uposażeniu klasztoru benedyktynek w Staniątkach** (str. 131, z pięciu tablicami litogr). W roku 1885 ogłosił był prof. Ulanowski podobnego zakresu i rodzaju pracę „O założeniu klasztoru św. Andrzeja w Krakowie i jego najdawniejszych przywilejach; obecna może jeszcze bardziéj, aniżeli tamta, jest dla badacza dziejów średniowiecznych interesująca. Treść jéj podzielił autor na dwie części: w pierwszéj podaje przegląd krytyczny przywilejów staniąteckich, w drugiéj bada: kto był założycielem klasztoru i skład pierwotnego uposażenia. Z wykładu rzeczy, jak powiada autor, wypływają odpowiedzi na pytania: dla czego pewna ilość dokumentów jest podrobiona i w jakich okolicznościach to zaszło. Wykład ten roztacza dr. Ulanowski, swoim zwyczajem, bardzo szeroko, z zasobem wielkiéj erudycyi, która niekiedy w osobnych, rzec

można, ekskursach ujście znajduje; w kombinacyach wspiéra go bystrość spostrzeżeń, wyzyskujących wszelkie wskazówki, rozproszone po tysiącznych dokumentach, a trafne ich zestawienia dają autorowi bogaty plon wniosków. Zawsze są one nauczające, choć nie powiemy, żeby zawsze przekonywały czytelnika. Jest to zwykle wina materyału, który w ułamkowym tylko stanie zdołał się przechować. Iść krok w krok za autorem, rozbiérać każdy punkt jego wywodów— niepodobna: urosłaby z tego rozprawa, dla któréj w sprawozdawczym dziale naszym zabrakłoby miejsca, w przypuszczeniu, że układającemu niniejszą wzmiankę, dopisałyby siły, potrzebne do wykonania takiéj pracy, co szczególniéj pod względem paleograficznym mało jest do prawdy podobne. Nie zapuszczając się zatém bynajmniéj na to śliskie pole, na którém i specyalistom potknąć się czasami zdarza, przytoczę jeno kilka uwag, dotyczących najobszerniejszego rozbioru naszego badacza, rozbioru poświęconego dokumentowi z roku 1228. P. Ulanowski wątpi, żeby fundator Klemens mógł być wojewodą opolskim w r. 1228, dlatego, że ów Klemens w 1234 r. jest dopiéro kasztelanem *de Recen*. Ale starszeństwo hierarchiczne urzędów nie jest w tym czasie rzeczą ostatecznie ustaloną, a w sąsiednim Krakowie zmiana osoby księcia, lub inna przyczyna wywołuje nieraz w owéj epoce zmiany w osobach urzędników i przesadzanie ich z urzędów, które późniéj, lub wtedy już, uchodziły za wyższe, na urzędy niższe. W Opolu zaszła właśnie zmiana osoby panującego, poczém ambitny i potężny Henryk Brodaty mógł uznać za pożyteczne dla siebie osadzenie wojewody opolskiego na grodzie „Recen", a późniéj na krakowskim. Z szczupłéj wiązki dokumentów opolskich nie wiele wiadomości wycisnąć można; pojedyńcza wzmianka o jakim szczególe, niekoniecznie jest podejrzaną dlatego, że osamotniona. Owóż choć Jakóba tylko w akcie r. 1228 spotykamy na kasztelanii raciborskiéj widzimy, wątpić o tém nie mamy potrzeby, skoro w r. 1222, jest Jakób kasztelanem Tostu, a w 1224 okazuje się on jako kasztelan, lubo bez oznaczenia jego grodu; wreszcie i Jaksa, kasztelan siewierski w 1232 i 1234 może być tą samą osobą. Jakkolwiek tam wreszcie jest z Jakóbem, nie można od żadnego dokumentu wymagać, żeby „wykazał niezbicie", iż wszystkie wymienione w nim osoby zajmowały w oznaczonym czasie dane urzędy. — Autor, znajdując w akcie Kazimierza opolskiego 1228 r. wzmiankę o darowiznie przez tego księcia 20 pługów gruntu, należącego do ludzi naroczników, zamieszkałych we wsiach koło Krakowa, stawia pytanie: „jakiém prawem Kazimierz opolski mógł nadawać tego rodzaju grunta klasztorom, lub osobom prywatnym, i na jakiéj podstawie [syn jego] ks. Władysław mógł żą-

dać, aby nadmiar darowanych gruntów powrócił do majątku książąt opolskich, skoro grunta te leżały w ziemi krakowskiéj, stanowiły uposażenie dygnitarzy dworskich [do dworskich nie zaliczyłbym jednak tribuna czyli wojskiego] krakowskich, i o ile rozdarowane nie zostały, niezaprzeczoną były krakowskich książąt własnością“. Klucza do rozwiązania trudności szuka nasz badacz w pobycie Laskonogiego w księstwie opolskiém i mniema, że musiał on prawdopodobnie za doznaną gościnność opłacić się pewnemi ofiarami na rzecz Kazimierza, czyli odstąpić mu grunta naroczników pod Krakowem. Nie zdaje mi się, żeby Laskonogi, który gościł w Opolskiém jako wygnaniec, mógł czynić jakiekolwiek ofiary skuteczne; książę, który w lutym 1231 roku rządzi jeszcze w Wielkopolsce, nie mógł i nie potrzebował chyba okupywać sobie gościny u Kazimierza, który umarł w 1229 lub najpóźniéj w 1230 r. Daléj: z traktatu o podział Wielkopolski 1235 r. dowiadujemy się, że do uposażenia grodów należeli czasem narocznicy, bardzo daleko od nich osiedleni, grody bowiem położone nad Notecią miały swych naroczników aż po lewéj stronie Warty. Jeszcze wydatniéj okazuje się to z aktu Bolesława Wstydliwego 1254 r., aktu którego autentyczność dr. Ulanowski przyznaje (str. 39): „*Apud Dubnic area... et alia area cum edificijs duarum familiarum habentibus inquilinos et terra ad unum bouem sufficiens cum lacu prope Pichouic* [Pychowice w parafii Szczyrzyckiéj] *quondam spectantes ad beneficium Wratizlauie wlgariter* naroch *dictum*“ (Rzyszcz. III. 59). Widzimy tu, że *beneficium* bardziéj jeszcze było od swego uposażenia odległe, i co ważniejsza, że w takich uposażeniach narokowych zachodziły zmiany. Przyczyny tych zmian zwykle trudno, dla niedostatku materyału dyplomatycznego, odszukać. Nie bez zasady zwraca autor uwagę na powołany w nadaniu 1228 roku przywiléj jakiś kościoła Zwierzynieckiego, co w dokumencie, wystawionym dla osoby świeckiéj, słusznie zadziwiać może. Dałby się jednak zarzut ten złagodzić, jeśli nie osłabić, uwagą, że klasztor Zwierzyniecki miał dobra w Siewierskiém, stanowiącém część Księstwa opolskiego i że w r. 1228 o zamiarze Klemensa założenia klasztoru w Staniątkach mogło być ks. Kazimierzowi dobrze wiadomo. Dlatego téż istnienie tego klasztoru za życia Kazimierza, które autor dopuszcza (str. 11), mogło być nie już urzeczywistnionén, lecz dopiéro intencyonalném. Wszystko to przecież nie może kwestyonować wniosku z paleografii wyprowadzonego, że dokument spisano dopiéro w początku XIV wieku. Przy sposobności wspomnę tu, że wyraz *sosthe* w akcie 1254 (Kod. Małop. II. 47) nie jest „zepsutym wyrazem“ i znaczy po prostu szóste koryto, wyrażenie analogiczne z *decima hebdomada*, lub *prima*

sagena. Część druga pracy, o któréj tu mowa, z równą jest starannością wykonana, jak pierwsza. Odznacza się tu korzystnie rozklasyfikowanie osób, należących do rodu Świebodziców.

— **Lites ac Res gestae** inter Polonos Ordinemque Cruciferorum. Editio altera. Tomus I, 4-to, str. VIII i 461. — Biblioteka Kórnicka zmieniała nieraz właścicieli, ale umiała zawsze tradycyą starych zasług podtrzymać, a nowemi ją wzbogacać. Tytuły jéj nakładów nie stanowią długiego szeregu, objętością swą przecież, wielkiém znaczeniem treści i przepychem często zewnętrznym zdobywały sobie powszechne uznanie. Jedno z najznakomitszych wydawnictw téj Biblioteki, obejmujące w trzech wielkich tomach Akta sporów, jakie przodkowie nasi toczyli niegdyś z Krzyżakami, wyszło z druku nakładem Tytusa Działyńskiego w latach 1855—1856, w szczupłéj liczbie egzemplarzy, a niebawem wyczerpane, stanowi obecnie rzadkość bibliograficzną, któréj cena antykwarska 150 marek niemieckich wynosi. Stąd zrodziła się myśl podjęcia nowego wydania tak ważnéj dla historyków publikacyi, zwłaszcza, że po wyjściu na świat pierwszéj edycyi ukazały się dość obficie nowe materyały, do téjże sprawy odnoszące się które zgromadzić w jedném dziele byłoby ze wszech miar pożyteczném. Syn Tytusa, Jan Działyński, powierzył tę pracę zasłużonemu wydawcy „Kodeksu dyplom. Wielkopolskiego“, I. Zakrzewskiemu, który się gorliwie nią zajął, korzystając z uczynnéj pomocy prof. A. Pawińskiego i dra Kohlmanna z Królewca. Na nieszczęście, śmierć zaskoczyła Zakrzewskiego w czasie drukowania tomu drugiego, którego dokończyć nie zdołał. Poucza nas o tém wszystkiém krótka wiadomość na czele dzieła, skreślona piórem znanego zaszczytnie z zasług naukowych dr. Zygmunta Celichowskiego. W roku przeto 1890 ukazał się tylko tom pierwszy edycyi powtórnéj, która, ze względu na zmieniony układ i pomnożoną znacznie treść, za nowe zupełnie dzieło może być uważana. Plan całości obejmuje wszystkie pisma do dziejów owego wiekowego sporu, poczynając od roku 1309, aż do ostatecznego traktatu r. 1464 w Toruniu zawartego. Tom I zawiéra: 1) Sprawę, która się toczyła przed sądem delegatów papieskich w Inowrocławiu r. 1320, obejmującą, oprócz aktów proceduralnych, zeznania 25 świadków; 2) obszerniejsze daleko akta procesu, odbywającego się r. 1339 w Warszawie, gdzie liczba świadków (między nimi wielu najwyższych dostojników państwa) aż 126 dosięgła. Każdą sprawę poprzedził Zakrzewski na wstępie zarysem poprzedzających ją wypadków. Jako dodatek, pomieszczono w końcu tomu 31 dokumentów. Wzorowemu temu wydawnictwu, za które wdzięczność się Bibliotece

Kórnickiéj należy, brakuje tylko Indeksu. Znajdziemy go bezwątpienia w tomie ostatnim. Obyż się to jak najprędzéj stać mogło.

— Fizyografia krajowa wzbogaciła się niedawno nowym, już XI-ym tomem **Pamiętnika** (wydawcy: A. Ślósarski i Br. Znatowicz. Warsz. 1891), który poświęcono pamięci Władysława Taczanowskiego, niegdy współpracownika tego wydawnictwa. W dziale I-ym mamy, jak zwykle, spostrzeżenia meteorologiczne, dokonywane codziennie w r. 1890 na 33 stacyach, urządzonych głównie przy cukrowniach. Obszerny ten materyał (stron 174) streścił w zestawieniu roczném prof. *W. Kwietniewski*. Pora rozkwitania, oraz dojrzewania owocu roślin, ku temu zaleconych, mniéj licznych znajdowały obserwatorów, którzy swe spostrzeżenia fenologiczne nadsyłali do redakcyi „Wszechświata“: było ich tylko dziesięciu, a w śród nich trzy kobiety. Że jednak stanowiska są rozrzucone na wielkiéj przestrzeni, pozwala to wyprowadzać, przez porównanie z latami poprzedniemi, pewien pogląd na klimatyczne właściwości wiosny i lata. Wszystkich obserwacyi rozkwitania było 380, dojrzewania 50. Dział geologii i chemii wypełniają głównie prace pp. *Józefa Siemiradzkiego* i *Emila Dunikowskiego* pod ogólnym tytułem: „Szkic gieologiczny Królestwa Polskiego, Galicyi i krajów przyległych“. Są to, jak się wyrażono skromnie, „Objaśnienia do mapy gieologicznéj“, narysowanéj przez wymienionych badaczy, a którą litografia Główczewskiego bardzo starannie odtworzyła. Prof. Dunikowski opracował wyłącznie Karpaty i Tatry, resztę zaś, to jest całość niemal wskazanego obszaru opisał dr. Siemiradzki. Dzieli on zajmującą go przestrzeń na sześć odrębnych „regionów“, a mianowicie: 1) wyspa paleozoiczna między Kielcami i Chęcinami, Bodzentynem i Sandomierzem; 2) przedgórza Sudetów: *a*) górno-szląskie zagłębie węglowe, *b*) pasmo krakowsko-wieluńskie, *c*) wyniosłość środkowo-polska; 3) region galicyjsko-podolski, 4) region lubelsko-wołyński, 5) granitowa płyta ukraińska, 6) region baltycki. Podawszy na wstępie krótki, lecz interesujący obraz rozwoju fizyczno-geograficznego krain objętych mapą, autor zajmuje się po kolei każdym z wymienionych „regionów“. Na zakończenie zaś dr. Siemiradzki dotyka kwestyi pierwotnego kierunku rzek naszych, oraz zmian, którym te rzeki podlegały w ciągu okresu lodowcowego i po nim. W „Dodatku“ pomieścił autor spis bibliograficzny prac geologicznych, odnoszących się do zakreślonéj przestrzeni; spis ten zawiéra 607 pozycyi i wyczerpuje literaturę z ostatnich lat 20 polską, niemiecką i austryacką. Uzupełniają dział II-gi „Pamiętnika“ dwa, mniéj obszerne, artykuły: 1) pierwszy p. *W. Choroszew-*

skiego o rudzie żelaznéj w Miedniewicach, któréj masę autor oblicza na półosma miliona pudów i wskazuje, że koszta wydobycia jéj i przewozu w okolicę Dąbrowy i Sosnowca opłaciłyby się tamecznym fabrykom żelaznym. 2) P. *J. Morozewicz* podał sprawozdanie „tymczasowe“ o rozmieszczeniu granitów, gnejsów i łupków krystalicznych w Tatrach. Na czele działu III-go mamy „Zasiągi roślin“, pracę p. *Kazimierza Łapczyńskiego*, któréj początek ukazał się w poprzednich tomach „Pamiętnika“. W tomie niniejszym znalazły pomieszczenie rośliny rezedowate, czystkowate, fijołkowate, krzyżownicowate i część goździkowatych, to jest pozycye od 243 do 347. Rzecz tę objaśnia poglądowo pięć tablic i siedm map. P. *Karol Drymmer* w Sprawozdaniu z wycieczek botanicznych do powiatu Tureckiego i Sieradzkiego, wymienia dostrzeżone rośliny, zaznaczając wszystkie miejscowości, w których je obserwował. Do artykułu tego dołączona jest mapa całéj zwiedzonéj krainy. Przyczynek do flory Wołynia stanowi: Spis roślin zebranych w r. 1890 w powiecie Dubieńskim przez p. *Józefa Paczoskiego*. P. *B. Eichlerowi* zawdzięczamy: 1) wykaz wątrobowców (*Haepaticae*) znalezionych w okolicy Międzyrzeca — i 2) Przyczynek do flory mykologicznéj téjże okolicy, a mianowicie spis grzybów rdzawnikowych (*Uredineae*). Do zakresu zoologii należą: 1) badania p. *Romana Dmowskiego*, dokonane w pracowni biologicznéj Warsz. Tow. lekarskiego, „O kilku wymoczkach z rzędu *Holotricha*, spotykanych w nalewkach siana“; autor ozdobił swą pracę dwoma tablicami ładnych rysunków; 2) „Studya nad fauną skąposzczetów (*Oligochaeta*) krajowych“, przez dra *Józefa Nusbauma*: jest to przyczynek do znajomości dżdżownic (*Lumbricidae Vejd.*). Do działu antropologii nikt, wyjątkowo, nie dostarczył żadnéj pracy. Tom XI „Pamiętnika fizyograficznego“ wydany został z zapomogi Kasy dr. Mianowskiego, bez któréj staranne to wydawnictwo ukazaćby się na świat nie mogło, znalazło się bowiem u nas zaledwie 138 przedpłacicieli, a w ich liczbie — dodajmy — wielu współpracowników „Pamiętnika“, którzy poświęcając bezinteresownie swój czas, pracę i naukę, muszą jeszcze dopłacać własnemi pieniędzmi, byle owoc swych trudów uprzystępnić publiczności, która dla rzeczy poważnych okazuje dziwnie wytrwałą obojętność.

= **Faust**, tragedya Goethe'go. Część pierwsza. Przełożył Ludwik Jenike. Wydanie nowe, przejrzane i pomnożone urywkami części drugiéj (Złoczów, O. Zukerkandl, str. 258, z portretem poety). — Czytelnicy „Ateneum“ znają ten przekład, gdyż pierwotnie tu był on drukowany. W niektórych miejscach został on zmieniony, bar-

dziéj jeszcze pod względem wierności i dokładności do oryginału zbliżony i wogóle, można powiedziéć, udoskonalony. Przytém tłómacz dodał do obecnego wydania w małym formacie kilka wybitniejszych ustępów z części drugiéj „Fausta“. Trwa on w przekonaniu, które dawniéj wyraził, że przyswojenie c a ł é j części drugiéj uważa za pracę niewdzięczną i zbyteczną, ale ze względu na wiele „wysokich piękności lirycznych“, w niéj zawartych, dokonał przekładu owych ustępów, starając się zaokrąglić je w pewną całość przez krótkie dopowiedzenie treści. Z aktu pierwszego dał p. Jenike śpiew Ariela i chóru, oraz monolog Fausta, niezbyt szczęśliwie w samym początku przełożony: już brzask eteru g a r n i e n a s w r a m i o n a (*Aetherische Dämmrung m i l d e z u b e g r ü s s e n*). Z aktu drugiego mamy cząstkę „klasycznéj nocy Walpurgi“; z trzeciego scenę, w któréj występuje Helena, chór i strażnik Linceus; z czwartego—rozmowę Mefistofelesa z Faustem; z piątego — ponowną między niemi wymianę myśli, śpiew Linceusa, monolog Fausta przedśmiertny i zakończenie. W tych urywkach z części drugiéj tłómacz trzymał się naturalnie téj saméj metody, co i w przekładzie części pierwszéj, starając się o wierne oddanie zarówno treści, jak i formy oryginału. Nie zawsze mu, co prawda, dopisuje swoboda rymotwórcza, czuć pewien wysiłek w doborze rymów, które nie chciał miéć pospolitemi; w ustępach zaś, wierszem rytmicznym przełożonych możnaby tu i owdzie zakwestyonować użycie niektórych kombinacyi i na ogół wszakże usterki te zdarzają się rzadko, a zaleta jasności i zrozumiałości może być stwierdzoną wszędzie. Ponieważ mamy już dwa całkowite przekłady części drugiéj (Jezierskiego i Paszkowskiego), wymagania nasze względem nowego tłómaczenia wybranych urywków muszą wzrosnąć, a jednak i tym zwiększonym wymaganiom praca p. Jenikego po większéj części czyni zadość. Świetném tłómaczenie to nazwać się zapewne nie może, ale za dobre uznać je wypada.

= *Ksawery Aleksota.* **Moje konkury** (Warszawa, 1892, str. 147). Książka ta, na pięknym welinie wydana, należy do téj literatury zagadkowéj, któréj objawy u nas nie często spotykać się dają. Napisana przez człowieka, nietylko nie mającego rutyny pisarskiéj, ale nie zamierzającego wogóle poświęcić się zawodowi autorskiemu, do czego sam się przyznaje, czyni zadość chyba jakimś specyalnym widokom, nie mającym nic spólnego z życiem publiczném. Nie jest-to ani powieść, ani satyra, ani utwór dydaktyczny; autor sam o niéj powiada, że jako wyjątek z jego pamiętnika nie była przeznaczona do druku, tylko że jakieś „okoliczności zdarzyły“, iż nawet „pewien udział sa-

mokrytyki" nie mógł go „powstrzymać od czynu, który może podoba się; płonne, bo trudno istotnie zrozumiéć cel ogłaszania szeregu refleksyi i listów, w których mężczyzna podobny do „demona czy satyra", niezmiernie wrażliwy, bardzo w zasady swoje ufny, wielki zwolennik konwenansów, pedantyczny do śmieszności, nie bez pretensyi do erudycyi i krytycznego zastanawiania się nad każdym krokiem swoim, przedstawić rozwlekle i nudnie swoje papiérowe zaloty do pięknéj i hożéj, ale zresztą co do duchowéj strony, nieznanéj nam Serafiny. Pretensyonalnie, niezręcznie, często bez należytego zrozumienia wyrazów, któremi się posługuje, wypowiedziane zabiegi i plany mają ten jeden chyba szczegół zastanawiający, że starający się pragnie, ażeby Serafina pierwsza mu wyznała, iż pragnie zostać jego żoną, co téż osiąga, lecz nie kreśli okoliczności, w których to zaszło, ponieważ „dyskrecya i przyzwoitość" nakazują mu milczéć. Autor, pomimo skromnych o pracy swéj wyrażeń, daje przecież dość jasno poznać, że ją za byle jaką nie uważa; każe bowiem pamiętać krytykom, „iż zdarzają się w piśmiennictwie naszém utwory, których obecność bardziéj może zasługuje na politowanie, niż tych kilka wierszy moich, — jednakże tolerowane są, znoszone i aż nazbyt może pochlebnie oceniane." Jeżeli tak bywa, to niewątpliwie źle bywa; to téż nie chcielibyśmy, ażeby ktoś w przyszłości dla powtórzenia téj uwagi mógł się powołać na zdania krytyków o „Moich konkurach". Bezpośrednio szkodliwych zdań książka p. Aleksoty nie zawiera, to prawda; lecz podnoszenie błahostek lub rzeczy płaskich do godności jakichś ważnych i doniosłych pojęć, a to za pomocą szumnéj, napuszonéj frazeologii nie może być poczytywane za czyn pożyteczny.

= Dnia 7-go kwietnia r. b. odbyło się pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego posiedzenie komisyi historyi sztuki. Na wstępie odczytano sprawozdanie z posiedzeń oddziału lwowskiego z d. 1 i 15 marca, na których rozbiérano następujące kwestye: p. Kowalczuk przedłożył zdjęcia rysunkowe z kościoła farnego w Bieczu, wraz ze szczegółami stal, ławek, pulpitów i t. p., wykonanych przez uczniów szkoły politechnicznéj pod kierunkiem prof. Zachariewicza. Nad przedmiotem wywiązała się dyskusya, w któréj wzięli udział pp. Łoziński, Wojciechowski, Skrochowski, Zachariewicz i referent. Dr. Al. Czołowski przedstawił „Inwentarz zamku brzeżańskiego i amunicyi w cekhauzie brzeżańskim znajdującéj się, spisany die 23, 7 bris 1762 przez Aleksandra Daszkiewicza, komendanta"; rękopism inwentarza przechowuje biblioteka Ossolińskich. — Następnie p. M. So-

kołowski mówił o artystach Hansie Langu i Piotrze Rudelstadt z Gotlandyi, którzy koło r. 1596 przenieśli się, jak się zdaje, do Krakowa czy Warszawy i weszli w służbę Zygmunta III-go. Strzelby opatrzone znanym monogramem jednego z tych artystów, tudzież herbami polsko-szwedzkiemi w zbiorach cesarskich w Wiedniu, a pochodzące z daru Zygmunta III-go, dają podstawę do tego przypuszczenia. Dr. Stan. Krzyżanowski złożył Inwentarze skarbca ratusza krakowskiego, a mianowicie srebra, cyny i miedzi z r. 1541 i z r. 1679. W drugim z nich wymieniona „skrzynka srebrna, w któréj jest pierścień złoty *alias* signet szafirowy, na którym rżnięty herb miasta krakowskiego". Daléj komunikował p. Krzyżanowski treść księgi rachunków kościoła N. P. Maryi z r. 1494 z dopiskami, sięgającemi do r. 1509, oraz 18 inwentarzy od r. 1584 do 1691, które ma opracować do publikacyi komisyi z odpowiedniemi skróceniami. — P. M. Sokołowski zawiadomił komisyę, że dr. A. Riegl, docent uniwersytetu wiedeńskiego, autor głośnych prac o dywanach wschodnich w podróży po Galicyi, odnalazł w kościele w Tokach pod Zbarażem dywan wyrobu polskiego z herbami Wiśniowieckich i Potockich, który, wedle jego zdania, jest jedynym znanym nam okazem, dowodzącym, że fabryki dywanów w Polsce kwitły. Dr. Riegl przyrzekł pracę o tym dywanie pomieścić w wydawnictwach komisyi.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Dewastacya. — Dziwne objawy. — Knajpa i „oddziaływanie.“ — Zanik życia towarzyskiego. — Letnie mieszkania. — Szwaczki. — Zapis Kronenberga. — Poranek w teatrze. — Kolonie letnie.

Ponieważ dewastacya, czyli niszczenie przez właścicieli majątków ziemskich, wystawianych na subhastę za zaległości Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, trafia się dotąd i jest zawsze sprawą, domagającą się uregulowania, więc warto posłuchać głosu, który na tę kwestyę albo nowe światło rzuca, albo występuje z propozycyą jéj uregulowania.

Wielce przesadzone wieści o rozmyślném dewastowaniu majątków ziemskich znajdują wiarę wśród publiczności i osłabiają coraz więcéj i tak już słaby kredyt rolny, odstręczając kapitalistów od wszelkich tranzakcyj pożyczkowych z właścicielami ziemskimi i wzbudzając niewiarę w ich rzetelność.

Niedawno jeszcze własność ziemska poczytywana była za interes doskonały, posiadała zaufanie i kredyt prawie nieograniczony, a kapitaliści powierzali jéj najchętniéj swoje kapitały. W krótkim przeciągu czasu ostatnich lat kilku stosunki kredytowe własności ziemskiéj zupełnie się zmieniły. W błędném przekonaniu ogółu kapitalistów i wierzycieli została ona pozbawioną zaufania i na żaden kredyt nie zasługuje. Te krańcowe sądy, oparte na pojedyńczych faktach, wyrządzają jednak wielką krzywdę własności ziemskiéj, bo przyczyniają się do coraz większego zniżenia ceny ziemi i kredytu, bez którego przemysł rolny obejść się nie może.

Tu i owdzie zdarzające się wypadki dewastacyi do tego upadku znakomicie się przyczyniły. Ten smutny i chroniczny już dzisiaj stan rzeczy pobudził zapewne p. L. Łaszcza, dobrego znawcę stosunków wiejskich do skreślenia w „Gazecie Warszawskiéj“ projektu administrowania przez Tow. Kredytowe Ziemskie majątkami ziemskiemi wystawionemi przez nie na sprzedaż, a będącemi w stanie opuszczenia.

P. Łaszcz projekt swój opiéra na praktyce tow. kredytowego ziemskiego w Poznańskiém, instytucyi, jak wiadomo, wzorowo kierowanéj i przynoszącéj wielki pożytek tamtejszéj własności ziemskiéj. Zasadza on się na procedurze następującéj.

W każdym majątku, zalegającym w opłacie rat towarzystwu, zaprowadza się sekwestr. Jeżeli jednak zachodzi obawa niszczenia majątku przez właściciela, albo téż sam właściciel oświadczy towarzystwu, że z powodu braku potrzebnych funduszów prawidłowego gospodarstwa daléj prowadzić nie może, towarzystwo niezwłocznie bierze taki majątek w swój zarząd. W tym celu wyznaczony przez towarzystwo administor zostaje wprowadzony w urzędowanie, zarządza majątkiem pod nadzorem towarzystwa, stosownie do z góry ułożonego planu gospodarczego, i jeżeli okazuje się potrzeba nakładów na utrzymanie należytego gospodarstwa, to Towarzystwo udziela odpowiednich funduszów. Poczynione na majątek zaliczenia razem z zaległemi ratami towarzystwo odbiéra w razie sprzedaży, albo téż pokrywa je z otrzymanego dochodu i zwraca majątek właścicielowi, jeżeli dochód ten przed terminem sprzedaży na spłatę należności towarzystwa wystarcza.

System taki, według zapewnień p. Łaszcza, doskonale funkcyonujący w Poznańskiém, nietylko czyni dewastacyę niemożebną, lecz nawet dla samych stowarzyszonych niepożądaną, bo wyborna administracya zabezpiecza najlepiéj i stowarzyszonego. Inni wierzyciele hypoteczni są także lepiéj, niż w naszych stosunkach, zabezpieczeni, bo trwałe utrzymanie majątku w stanie należytym stanowi najlepszą rękojmię bezpieczeństwa dla każdego wierzyciela hypotecznego.

Gorąco i umiejętnie zalecany przez p. Łaszcza środek, wypróbowany już gdzieindziéj w długoletniéj praktyce, zdaje się posiadać wszystkie strony dobre i życzyć tylko można, ażeby przez władze Towarzystwa przeoczonym nie został. Trudności na pierwszy rzut oka, nastręczają się dwie: najpierw ustawa naszego towarzystwa kredytowego tego rodzaju przymusowéj administracyi nie przewidziała a następnie brak może wzorowych administratorów, z których słyną urzą-

dzenia i rolnictwo pruskie. Lecz korzyści są tak wielkie, że nad projektem interesowani pomyśléć powinni.

W szrankach naszego życia społecznego dzieją się dziwne rzeczy, których przyczyny dokładne wyjaśnienie od osób bliskich i kompetentnych otrzymać powinny. I tak: w Łodzi, dzięki ofiarności pp. Geyerów założono przytułek położniczy dla biednych matek. W ciągu 2-ch czy 3-ch miesięcy do bezpłatnego, wygodnie urządzonego przytułku zgłosiła się jedna, wyraźnie jedna pacyentka. Dzieje się to w tym samym okresie, kiedy odkrycie Bednarkowej, o któréj w zeszycie lutowym obszerniéj pisaliśmy, zgrozą przejmuje mieszkańców miasta i kraju. W Kielcach, w obec ciężkiego położenia ludności ubogiéj i drożyzny produktów żywnościowych założono niedawno kuchnię tanią, która wkrótce została zamkniętą, ponieważ liczyła tylko 12-tu, wyraźnie dwunastu stołowników. Podobny zupełnie wypadek zdarzył się w Warszawie, na ul. Czerniakowskiéj, gdzie kuchnia dla fabrycznéj i wyrobniczéj ludności założona, upadła dla deficytu.

W tych wszystkich wypadkach, w Warszawie, w Łodzi i w Kielcach, uboga ludność nie chciała korzystać z inicyatywy dobroczynnéj. Co do przytułku położniczego w Łodzi, oczekującego daremnie kilka miesięcy na bezpłatne pacyentki, tłómaczono, że akuszerki i inne kobiéty, rzemiosłem *á la* Bednarkowa zajęte, przedstawiły dobroczynny przytułek ciemnemu ogółowi nieszczęśliwych matek, jako czyhający na ich wstyd i zgubę, bo o każdéj, szukającéj tam pomocy kobiécie, jakoby donoszący władzy policyjnéj, i okrywający ją przez to wstydem, którego uniknąć może, oddając dziecko jakiej Bednarkowéj. Naturalnie, że przytułek żadnych niedyskretnych zamiarów z istoty powołania swego mieć nie może, cel jednak został osiągnięty i filantropia w swych zamiarach pobitą.

Po zamknięciu kuchni taniéj na ul. Czerniakowskiéj, słyszeliśmy, że zarząd nie umiał się obliczyć z potrzebami i zwyczajami konsumentów klasy robotniczéj, nie udzielał im kredytu, i dla tego został pobity przez szynkarzów i przekupniów. Nie słyszeliśmy jeszcze opinii o upadku kuchni taniéj w Kielcach; zapewne jednak przypominałaby ona przytoczoną powyżéj.

Fakta te są dosyć wymowne i na uwagę zasługują. Zachodzi tu nieporozumienie między niższą warstwą a tymi, którzy są skłonni do pożytecznych dla niéj usług. Dobroczynność wprawdzie nie znajduje podobno nigdzie należytego uznania u swoich klientów. Nie jeden proletaryusz angielski woli umiérać z głodu, tarzać się po rynsztokach, niż iść do domu roboczego, gdzie mu dają dach i regularne pożywienie.

Wspomniane jednak przez nas zakłady krępującemi dla tych, dla których je przeznaczono, wcale nie były. Czyby do ogłoszonych wyżéj powodów ich niepowodzenia nie można dodać jeszcze tego, że nędza także ma swoją rutynę, z którą się bardzo trudno rozstaje, że nieoświecone warstwy ludności z nieufnością spoglągają nawet na tych, co je chcą z upadku lub niedostatku wyciągnąć i ulżyć ich doli, bo do nieufności przyzwyczajło je długie i trudne życie? Jest to zapewne ogólny fakt socyologiczny, że niższe warstwy społeczne przyjmują nieufnie pomoc od wyższych. Leczjak kolwiek staralibyśmy się wytłómaczyć przytoczone wypadki, pozostaną one wymowną wskazówką, z którą przy nowych usiłowaniach liczyć się trzeba koniecznie, aby dobre chęci i środki nie zmarniały, aby na przyszłość nie zrażać inicyatorów, gotowych do usług dla dobra publicznego.

Dla tego doświadczenie z kilku zaznaczonemi przez nas objawami ujemnemi powinno pozostać w pamięci wszystkich, którzy z dobréj woli lub obowiązku mają do czynienia z życiem zbiorowém.

Obecnie często słyszymy utyskiwania w słowie i piśmie, na zanik życia towarzyskiego w warstwach inteligentnych. Byliśmy przez cudzoziemców długo uważani za naród bardzo towarzyski, co w znacznéj części przypisywano urokowi i wdziękowi obejścia naszych kobiét. Zmieniły się jednak czasy, a widocznie i usposobienia. Starsze pokolenie widzi w młodszém zanik zalet towarzyskich, co może nie jest pozbawionėm słuszności. Dlaczego? To kwestya bardzo złożona i wyświetloną należycie byćby mogła chyba w historyi obyczajów, a nie tutaj.

Przyjrzyjmy się jednak pokrótce temu objawowi.

Specyaliści, a z nich przeważnie się składa inteligentna klasa współczesna, niewątpliwie nie są tak dobrym i giętkim materyałem towarzyskim, jak encyklopedyczni dyletanci. Inżynier, lekarz, technik, kupiec, buchalter, oddani wymiarom, cyfrom, towarom i księgom, zanurzeni w swojéj specyalności, nie mogą i nie chcą wnieść do towarzystwa téj rozmaitości i lekkości wrażeń, téj łatwości dowcipu i wdzięku słowa, co ludzie oddani zajęciom łatwiejszym, lub literaturze i sztukom pięknym. Jeżeli Talleyrand o wyższém towarzystwie zeszłego stulecia powiedział, że „kto go nie znał, ten nie znał prawdziwie powabnego świata,“ jeżeli historycy z takim wdziękiem odtwarzają nam towarzystwa artystów i dyletantów z okresu Odrodzenia — to niewątpliwie ludzie owocześni, nie znużeni jeszcze wyczerpującą i ścisłą pracą fachową, nie wydający całéj energii umysłu na walkę o egzystencyę, posiadali więcéj czasu i chęci na wzajemne uprzyjemnianie sobie pobytu na ziemi, choć, naturalnie, pod temi górnemi piętrami, przybranemi

w kwiaty i dekoracye, sutereny jęczały w niedoli, ucisku i nędzy. Specyalista lub inteligentny wyrobnik dzisiejszy, o usposobieniu częściéj pochmurném, niż pogodném, ciągle z zegarkiem w ręku, bo najczęściéj czas jest jedynym jego kapitałem, nie ma swobody humoru i wyobraźni, koniecznych warunków przyjemnego obcowania towarzyskiego. Jest albo za ciężkim, albo za nerwowym, albo za poważnym, albo za ścisłym, aby rozsiewać lśniące paradoksy, zręczne komplimenty, żywe dowcipy, aby naginać się do ciętego, lekkiego i wykwintnego dyalogu. Czas, od pozytywnych zajęć wolny, hygiena zaleca mu spędzać na świeżém powietrzu, na spacerze i gimnastyce, na wesołéj farsie teatralnéj nareszcie, która śmiechem ułatwia mu trawienie, a hygieny każdy, kto chce żyć i pracować, musi słuchać.

Drugim warunkiem, osłabiającym życie towarzyskie, jak to zdarzyło mi się czytać u poważnego pisarza, ma być pohobno mała inteligencya kobiét w porównaniu z inteligencyą mężczyzn. I w tém może być nieco prawdy. Według Bourget'a „nie ma bólu, któregoby ukoić nie mogła dobra książka lub dobra rozmowa“; lecz zdanie to uzupełnićby jeszcze należało, że do dobréj rozmowy, tak jak do dobréj gry, trzeba miéć dobrego partnera. Otóż wspomniany autor, którego nazwiska nie pamiętam, objaśnia abstynencyę mężczyzn od salonów, ich zamiłowanie w klubach, nierównością inteligencyi dwu płci. Wiadomo przecież, że podstawą życia towarzyskiego jest kobiéta, lecz kobiéta, obdarzona rozumem, dowcipem i wdziękiem. Wprawdzie w krainie naszéj na brak takich uskarżać się jeszcze nie możemy; jeżeli więc i u nas życie towarzyskie słabnie, to skłonni jesteśmy to przypisać płci brzydkiéj, która aniołów ziemi należycie cenić nie umié. Chociaż każdy, umiejący sobie zdać sprawę z warunków bytu współczesnego społeczeństwa wié, że zalety i cnoty towarzyskie zbawić go nie mogą, bo w obec pojedyńczych i zbiorowych wysiłków o egzystencyę kwestya towarzyska staje się drugorzędną, to jednak wolelibyśmy widziéć rozwinięte życie towarzyskie, niż wint i knajpę.

Nad ujemnym wpływem knajpy na warstwy niższe i średnie zastanawiał się niedawno „Wiek.“ Po miastach i miasteczkach prowincyonalnych uderza ciągle rosnąca liczba tak zwanych „bawaryi,“ podlegających mniejszéj opłacie patentowéj niźli szynki, a zakładanych przez osoby, słynące z niezaszczytnéj przeszłości.

Stałymi gośćmi tych zakładów są pokątni doradcy i łapacze, ściągający tam chłopów, celem ich bałamucenia, dymisyonowani pisarze i próżniacy z niższych warstw społecznych, wieczorem zaś przybywają jeszcze robotnicy z warsztatów i fabryk, oraz czeladź rzemieślnicza. Obficie pochłaniane piwo zalewa głowy i popycha do gry

w domino, loteryjkę i t. p. praktykowanéj w głębiéj ukrytych pokoikach albo w mieszkaniach właścicieli.

Widoczne są następstwa dla zdrowia i moralności podobnego sposobu spędzania czasu. Częste odwiedzanie knajpy zawsze staje się nałogiem, któremu człowiek opiérać się nie umié, a nałóg ten prowadzi do zaciągania długów, jak u rzemieślnika i robotnika najprzód u kolegów a późniéj u drobnych lichwiarzy, stopniowo nawet do oszustwa i kradzieży z warsztatów, nareszcie wytwarza zupełny upadek moralny a niekiedy i więzienie.

Kto był uważnym i ciekawym słuchaczem spraw kryminalnych, tego musiał uderzyć ten objaw, że zawiązek bardzo wielu z nich powstał w knajpie, szynku, pod wpływem trunku, w atmosferze, bardzo przestępstwu sprzyjającéj. Jeżeli pod tym względem istnieje jaka statystyka, to byłaby ona bardzo pouczającą.

Zresztą, o demoralizującym wpływie szynków, o ruinie ekonomicznéj, jaką zamiłowanie w trunkach sprowadza dla ludu naszego, wiemy oddawna, Anczyc zaś osnuł na tym temacie swoją do dziś dnia żywotną i barwną „Emigracyę chłopską.“ Złe jest bardzo stare i z pewnością nie mniejsze niż dawniéj.

„Wiek“ w artykule swoim uważa za konieczne, aby nad bawaryami rozciągnąć baczną uwagę policyi, zaglądać do mieszkań prywatnych właścicieli zakładów, na co policya winna posiadać upoważnienie, zachęca nareszcie właścicieli fabryk i przewodników warsztatów, ażeby więcéj wdawali się w życie pozazakładowe swoich współpracowników, i przez możliwie blizkie obcowanie z nimi wywierali wpływ dodatni.

Trudno zrozumiéć, dla czego autor artykułu bawarye uważa za szkodliwsze od szynków, i przeciwko pierwszym tylko i policyę i ludzi dobréj woli chce uzbroić. Czy się nie łudzi co do tego podziału? Następnie, środki przez niego dla tamowania zła zalecane, są albo tylko negacyjnéj natury, jak kontrola policyjna, albo platonicznéj, jak tak zwane oddziaływanie moralne pracodawców na robotników, które, bodajbyśmy się pomylili, mogło być wielkim czynnikiem w wieku patryarchalnym, lecz nie w dzisiejszym. To oddziaływanie moralne, o którém wprawdzie wszyscy wiele mówimy, byłoby pożytecznem wtenczas, gdyby za niém stało coś określonego i pozytywnego. Postawione w gołosłownéj formie, przez wielu bywa wcale niezrozumiane, ani innych do niego nie zobowiązuje. O ile więc można, życzyćby należało, ażebyśmy wskazywali program tego oddziaływania i obcowania moralnego, pamiętając przytém także, że w faktach społecznych

oddziaływanie i obcowanie moralne nie gra takiéj roli, jak w wychowaniu pedagogicznem.

Na zachodzie, jak wiadomo, z demoralizującą plagą pijaństwa, walczą towarzystwa wstrzemięźliwości, kluby, czytelnie i wystawy sztuki dla robotników, choć plaga i tak jest wielką i wcale do dziś dnia nie zmniejszoną. Lecz to się przynajmniéj może nazwać istotném, pozytywném oddziaływaniem. Bez takich faktycznych i trwałych usiłowań sprawa naprzód posunięta wiele być nie może.

W czerwcu zacznie się emigracya warszawiaków na letnie mieszkania. Obok przeprowadzki świętojańskiéj będzie to kwestya długich namysłów, wyborów i kłopotów. Coroczne żale pod adresem letnich mieszkań odezwały się już między interesowanymi i w dziennikach. Jeden z lekarzy słusznie bardzo pisze w „Wieku,“ że „kiedy ruch w kierunku wyjazdów letnich wzmógł się u nas, to z początku brak wygodnych mieszkań był rzeczą naturalną; dziś jest anomalią, źle świadczącą o naszéj przedsiębiorczości.“

Gospodarze letnich mieszkań, wychodząc z założenia, że sama natura wystarczy, że wygody na letnich mieszkaniach są zbytkiem niepotrzebnym, urządzają je w ten sposób, że wyjazd na wieś w pierwszych dniach bawi, przez tydzień jeszcze zajmuje, po tym czasie zaczyna nudzić, a po kilkunastu dniach, z braku najpierwszych potrzeb, staje się niemożliwym.

Tak zapewniają ci, którzy urządzenia mieszkań i wygód dla letników znają. Mieszkania te bywają często przerabiane z zabudowań gospodarskich, z obór, stodół, a nawet chlewów, są ciasne, duszne i dla zdrowia szkodliwe. Letnicy uskarżają się także na brak udogodnień komunikacyjnych: ktoś np. mieszka przy kolejowym przystanku B., a pocztę odbiéra dopiéro na następującéj stacyi C., ponieważ zarząd kolejowy nie postarał się o doręczanie korespondencyi w B. Porządki takie kwitnąć mają zwłaszcza na liniach Terespolskiéj i Nadwiślańskiéj.

Słusznie zwracają uwagę, że osady i miasteczka, które letników u siebie miéć pragną, powinny nadzór nad urządzaniem letnich mieszkań, nad ceną i dobrocią produktów żywności powierzyć komitetom miejscowym, któreby przybywającym dawały niejaką gwarancyę sumienności. Komitety takie, naturalnie, należałoby organizować wcześnie, przynajmniéj na miesiąc przed sezonem letnim, ażeby miały czas rewizyi sanitarnych i innych czynności dokonać. Komitet taki, złożony z właścicieli mieszkań, stałych gości i władz miejscowych, utworzył się już w roku zeszłym w Grodzisku. Przykład do naśladowania dla innych miejscowości bardzo zachęcający i pożyteczny.

W zakresie naszych kłopotów i rozpraw publicznych jest kwestya, zawsze otwarta, którą od czasu do czasu, z tego lub innego punktu widzenia, podnoszą moraliści, statystycy i publicyści, ku małéj, wprawdzie dla niéj pociesze. To sprawa szwaczek warszawskich. O moralności, czy niemoralności, losie i niedostatku tych kobiet napisano tak wiele. Jeżeli zważymy, ile corocznie przybywa nowych szwaczek, szukających zarobku, bo dziewczęta z niższych warstw miejskich przeważnie igłą zaczynają zarabiać na utrzymanie, to nie dziw, że sprawa jest zawsze i pozostanie dopóty otwartą, dopóki nie zmienią się zasadnicze warunki ich pracy: albo popyt będzie większy nad podaż, albo też dla tych pracownic otworzy się nowe pole zarobku, jeżeli potrafią się wykształcić w innym fachu. Dzisiaj sprawa szwaczek naszych jest może jedną z najlepszych ilustracyi do obrazu współczesnych stosunków ekonomicznych, z panującą w nich niestałością i dowolnością: jeżeli sezon zimowy lub wiosenny jest więcéj ożywiony, to i zapotrzebowanie szwaczek, oraz wysokość ich zarobku większa; jeżeli zaś w magazynach i pracowniach brak ruchu — szwaczki, zwłaszcza w miesiącach letnich, zostają bez pracy. I niewątpliwie, że popyt na pracę nie rośnie w prostym stosunku do liczby nowoprzybywających szwaczek. Tym sposobem sprawa z biegiem czasu komplikuje się co raz więcéj.

P. Walerya Marrené, która ma niewątpliwy dar podnoszenia palących spraw, tyczących się kobiét, a zwłaszcza ich ekonomicznego położenia, wystąpiła w „Kuryerze Warszawskim“ z projektem, do ludzi przedsiębiorczych skierowanym, ażeby nadmiar szwaczek warszawskich użyć do wyrobów odzieży dla naszych włościan, zaopatrywanych dziś w tandetę fabryczną. „Ubogie szwaczki — pisze — nie są w stanie zakupować odpowiednich materyałów, nie znają nawyknień i potrzeb ludu w różnych okolicach kraju, nie mogą się starać o rynki zbytu dla swych wyrobów. Obmyślić całe przedsiębiorstwo i pokierować pracownicami jest właśnie rzeczą przemysłowych lub filantropijnych osób, które przy stosunkowo małym kapitale mogłyby wiele dobrego uczynić.“ Obowiązek ten inni chcą włożyć na „Warszawski dom zamówień,“ jako przedstawiciela sklepów wiejskich. Zapewne, że dobry pomysł pani Marrenowéj, mógłby być energiczniéj i praktyczniéj spożytkowany przez grono przedsiębiorców, niż instytucyę filantropijną.

Nasze Towarzystwo dobroczynności zostało obdarzone zapisem 250 tysięcy rubli przez zmarłego niedawno zagranicą Władysława Kronenberga. Zapis ma zostać kapitałem żelaznym, z którego odsetki powinny być obracane na zakup warsztatów i posagi dla sierot, bę-

dących pod opieką Towarzystwa. Jest to jeden z największych zapisów lat ostatnich. O wysokości kwot, przeznaczanych na warstaty i posagi, dotychczas nie wiemy.

Dnia 24-go z. m. odbył się w Teatrze wielkim poranek dramatyczny na korzyść rodziny, pozostałéj po Janie Tatarkiewiczu, artyście i reżyserze sceny warszawskiéj. Odegrano jednoaktówki: „Perłę“ Gawalewicza, „Parawanik“ Wołowskiego i „Schadzkę“ Przybylskiego.

Utwór Gawalewicza, napisany gładkim i płynnym wierwszem, na tle odrodzenia włoskiego, najwięcéj téż dał artystom pola do popisu. Malownicza pracownia Leonarda da Vinci, w któréj odgrywa się dramacik miłosny, pięknie uscenizowana, drgała życiem artystyczném, uczuciem i dowcipem.

Publiczność tym razem zebrawszy się licznie, spłaciła dług wdzięczności względem Tatarkiewicza. Niewątpliwie, że zawdzięczyć to należy zabiegom kolegów i dzienników. Reklama stała się koniecznym warunkiem powodzenia nawet wtedy, kiedy chodzi o wypłatę zasług zmarłym. Gdyby zarówno umiejętne czyniono starania nad niedawnym koncertem dla Junoszy, złożonego chorobą, skutek byłby niezawodnie lepszy. Roztargnionéj i tylko chwilą bieżącą żyjącéj publiczności trzeba systematycznie, a niekiedy nawet lekko i dowcipnie przypominać o obowiązkach, nie posługując się jednak często tym wyrazem. Najlepiéj spełni ona swój obowiązek wtedy właśnie, kiedy przemówimy do jéj wrażeń przyjemnych, kiedy ją odpowiednio podniecimy. Cnota, niezawodnie wtedy najwięcéj miałaby wyznawców, gdyby mogła być strojną, lekką i dowcipną. Odziana w togę lub sutannę, przemawiająca pojęciami ciężkiego kalibru, chybia celu. I cóż tu na to poradzić?

Kolonie letnie dla ubogich dzieci na wzór Warszawy ma zaprowadzić i Łódź. Fundusz na ten cel ofiarowany, wynosi już podobno dwieście kilkadziesiąt rubli, pozwolenie p. gubernatora piotrkowskiego także otrzymano, i sprawa kolonii leży w ręku łódzkiego Towarzystwa dobroczynności, które jednakże, jak donoszą stamtąd dzienniki warszawskie, zajmuje się tą sprawą bardzo opieszale. „Dziennik Łódzki“ skarży się także, że pomimo częstego poruszania sprawy kolonii letnich należytego starania o powołaniu do życia tak pięknéj instytucyi dotychczas się nie doczekał. Czyżby łódzkie Towarzystwo dobroczynności, tamtejsi lekarze i inteligencya tak byli zajęci innemi, wielkiéj doniosłości sprawami, że nie mogą pomyśléć o dzieciach, wołających o zdrowie i życie? Czyż ta sprawa, według nich

nie zasługuje na uwagę i energię? Czy Łódź nie potrafi się zdobyć na swojego Fritschego?

W sposobie przyjmowania, oraz zaopatrywania w odzież dzieci, wysyłanych przez Komitet kolonii letnich w Warszawie zaszły także zmiany, o których w dziennikach niedokładne spotykamy wiadomości. Ponieważ mieliśmy sposobność poznać bliżéj zamiary i dowiedzieć się o przyczynach zmian w postępowaniu komitetu, więc je przytaczamy:

B. Lut.

(A.) Kolonie letnie, wbrew wszelkim obawom, aby nie zanikły wraz ze zgonem nieodżałowanego ś. p. doktora Fritschego, przychodzą do skutku, organizują się i niebawem wejdą w życie w warunkach nie gorszych jak w roku zeszłym i w latach poprzednich, może obecnie nawet z większą siłą rozmachową. Właściwie inaczéj téż być nie mogło. Instytucye dobroczynne, lubo zawdzięczają wiele inicyatywie prywatnéj, stoją dobrą wolą społeczeństwa. Społeczeństwo, ożywione gorącém a szlachetném współczuciem dla niedoli, upaść im nie da: ono potrafi wydać z pośród siebie w każdéj chwili jednostki, które poprowadzą sprawę zaczętą przez poprzedników. Po nich przyjdą inne, staną na czele, wezmą rzecz w swoje ręce i w tym sposobie snuje się nieprzerwany wątek czynów dobrych i szlachetnych. Byle tylko nie zasychało to źródło ożywcze w społeczeństwie, które zwie się zasobem dobréj woli. Koloniom letnim dla biednych, słabowitych dzieci nie grozi pod tym względem żadne niebezpieczeństwo. Cieszą się one żywą sympatyą naszego społeczeństwa. Ta forma dobroczynności publicznéj jak nowa gałązka na pniu zieleni się i bujnie nawet rozrasta. Nasze pisma codzienne dają ustawiczne dowody pamięci, życzliwą opieką i częstém przypominaniem, polecaniem uwadze swych czytelników przyczyniając się do pomyślnego wzrostu kolonii letnich. Ster przewodnictwa w téj instytucyi, która stałą nie jest; rok rocznie bowiem się odnawia, jak feniks z popiołów powstając, objął dr. Stanisław Markiewicz, właściwy inicyator kolonii, pierwszy ich założyciel i współpracownik d-ra Fritschego od czasu pierwszego zawiązania się instytucyi. Kierownictwo spoczęło w rękach fachowo wykształconego w tym względzie lekarza-hygienisty, którego nazwisko zespoliło się u nas we wdzięcznéj pamięci z tylu sprawami użyteczności publicznéj jak kanalizacya, ambulanse prywatne dla chorych, plantacye miejskie, ogrodnictwo i in.

Obok d-ra Markiewicza stanęło grono z kilku osób złożone, które otrzymawszy pozwolenie władzy na zbieranie składek, zarazem zajęło się uorganizowaniem całego zarządu, rachunkowości, gospodarstwa,

dozoru, statystyki i t. d. Ponieważ wysyłanie dzieci biednych i słabowitych na wiejski pobyt jest w znacznéj części sprawą lekarzy, uprosił więc dr. Markiewicz do pomocy kilka osób, które stanowią biuro komitetu kolonii letnich. Chętnie podjęli się téj pracy d-rowie Kosmowski, Natanson i dr. Dobrska. Nie uchylają się także od współdziałania liczni lekarze, do których udaje się biuro z prośbą o zbadanie kandydatów, zgłaszających się do kolonii letnich. Nie można pominąć także i ofiarności naszego społeczeństwa, u którego sprawa „kolonii“ znajduje zawsze sympatyczny odgłos. Dość rzucić okiem na Gaz. Warsz. nr. 118 z dn. 3 maja 1892 r. Jakaż to tam długa lista kupców, którzy do Bazarowéj sprzedaży przed Bożém Narodzeniem ofiarowali znaczny rabat w swoich sklepach, a jakaż lista jeszcze dłuższa pań, które nie szczędziły zabiegów, żeby zebrać trochę grosza, zasilić kasę i miéć tę dobrą otuchę, że za te pieniądze kilkadziesiąt dzieci odzyska zdrowie i siły. Oby tak daléj było, oby to gorące współczucie dla niedoli nie stygło, lecz owszem z dniem każdym wzrastało.

A potrzeby się mnożą. W roku przeszłym kolonie już stanęły na tym najwyższym punkcie, że dostarczyły świeżego powietrza, dobrego pokarmu 500 dzieciom. Założenie w tym roku jest takie samo. Nie ulega wątpliwości, że potrzebny na to fundusz się znajdzie. Ofiary nadpływają. Niezależnie od zwykłych kolonii letnich powstaje pod kierunkiem tegoż komitetu, osobna gałąź dobroczynności z ofiary specyalnéj pana Hipolita W., który dla 120 dzieci zapewnił pobyt kuracyjny w Ciechocinku.

Znajdzie się i w następnych kronikach sposobność powrócenia jeszcze do kolonii letnich, kiedy już w życie wejdą, kiedy obejmą opiekę nad temi wątłemi o bladych twarzach, o niknących mięśniach dziećmi Warszawy, dziećmi z wilgotnych suteren, z dusznych poddaszy, z ciemnych i ciasnych izb stróży, wyrobników, oficyalistów. Tymczasem zaznaczamy, że zgłosiło się z górą 1200 kandydatów w wieku od lat 8-iu do 13-u. Jeżeli połowa po uzyskaniu kwalifikacyi, które dla uniknięcia wszelkich nadużyć, muszą być z właściwą ścisłością wydawane, bo fawor prywatny powinien ustąpić tam, gdzie się szafuje groszem publicznym, — jeżeli połowa t. j. 600 dzieci będzie korzystała z dobrodziejstw letniego leczenia, to i to pociąga za sobą koszt niemały.

W obec znacznego wydatku — jaki czeka kolonie letnie — postanowiono, o ile nam wiadomo, nie zaopatrywać dzieci w obuwie i w ubranka kosztem komitetu, ale żądać od rodziców czy opiekunów, aby tę niezbędną wyprawę sami przygotowali. Słyszeliśmy uwagę, że

nie należałoby takiego ciężaru nakładać na rodziców, którzy są i tak biedni — i dlatego, że są biedni, mogą być pozbawieni możności wysłania dziecka na świeże powietrze, dlatego, że nie mieli za co kupić mu obuwia, wymaganego przez komitet.

Jest to uwaga poniekąd słuszna. Ale na uwzględnienie zasługują także pobudki komitetu. Na każde dziecko podobny sprawuneczek: para nowych bucików czy trzewików, bielizna i ubranko wyniesie najmniéj 5 rubli, na 600 dzieci uczyni 3,000 rubli — a komitet może mieć do swéj dyspozycyi 5,000 rubli. Większą więc część jego funduszów miałyby zjeść buciki?

Dobroczynność prywatna, ofiarność osób najbliższych, mieszkańców danego domu, danéj ulicy, powinna koloniom przyjść w pomoc. Przykład zagranicy jest tu wskazówką. Już i tam w ostatnich latach „Kolonie“ zrzuciły się z obowiązku dostarczania obuwia i ubranka dla swoich wychowańców. Kontrola jest tu niesłychanie trudna, kłopot jeszcze większy. Hurtownie kupowane obuwie często na miarę nie odpowiada, ztąd różne niedogodności. Ponieważ statystyka, która każdéj instytucyi choćby najdrobniejszéj, czy publicznéj czy prywatnéj, towarzyszyć powinna, w koloniach letnich jest już przygotowana co do szematów, rubryk i t. d., jest więc pewność, że po ogłoszeniu jéj rezultatów na jesień, kiedy się skończy pora kolonii letnich, znajdziemy sposobność podzielenia się jéj owocami i wnioskami z czytelnikiem, który nie wątpimy, chętnie udzieli swéj uwagi suchym liczbom, okraszonym rumieńcami uzdrowionych dzieci z pod naszych poddaszy i wilgotnych podziemi.



NEKROLOGIA.

† **Maurycy Karassowski**, urodzony w Warszawie 21 września 1823 r., odbył studya muzyczne pod kierunkiem Walentego Kratzera, a potém Freyera. Młodzieńcze lata przepędzał w domu pp. Orłowskich w Malijowcach, gdzie go poznał Ignacy Feliks Dobrzyński i powołał następnie na stanowisko solisty w orkiestrze operowéj. Przebywając w Warszawie od r. 1852, zajął się dziejami naszéj muzyki, a mianowicie opery. Wstęp historyczny, w którym przedstawił zarys rozwoju opery wogóle, drukował w „Bibliotece Warszawskiéj“, a dzieło samo wydał w r. 1859 p. n. „Rys historyczny opery polskiéj, poprzedzony szczegółowym poglądem na dzieje muzyki dramatycznéj powszechnéj, z pięciu portretami i spisem wszystkich oper, granych w polskim języku na teatrach warszawskich“ (str. 360). W r. 1864 wyjechał do Drezna, gdzie grał w orkiestrze operowéj i otrzymał tytuł muzyka nadwornego. Stąd przesyłał, głównie do „Biblioteki Warszawskiéj“, korespondencye i studya, z których dwa wyszły téż w osobnéj odbitce, mianowicie: „Życie Mozarta, podług najlepszych źródeł“ (1868, str. 80), „Młodość Fryderyka Szopena“ (1869, str. 54). Chopin stał się odtąd głównym przedmiotem jego badań, a wynikiem ich był życiorys mistrza napisany po niemiecku w r. 1877, w następnym już roku powtórnie wydany, w r. 1879 przetłómaczony na angielski przez Edwarda Hill'a, a w r. 1882 ogłoszony po polsku p. t. „Fryderyk Chopin — życie — dzieła—listy“ (2 tomy). — Przed kilku miesiącami tknął go atak paralityczny, a 20 kwietnia r. b. drugi o śmierć go przyprawił w Dreźnie.

† **Maurycy Stankiewicz**, przez znaczny przeciąg czasu współpracownik firmy księgarskiéj Gebethnera i S-ki, potém prokurent Spółki wydawniczéj krakowskiéj, chwilowo zastępujący bibliotekarza Akademii umiejętności, zamiłowany w bibliografii, wydał w r. 1885

„Zestawienie bibliograficzne dzieł Mickiewicza“, a następnie studya nad litewszczyzną (2 ciągi), opracował biografią i bibliografią Wł. Anczyca (1886), ułożył kilka dokładnych katalogów specyalnych i t. d. Zmarł 21 kwietnia r. b. w Krakowie w młodym wieku.

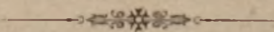
† **Sygurd Wiśniowski**, urodzony r. 1841 w Paniowcach Zielonych nad Zbruczem w Galicyi, nauki gimnazyalne pobiérał we Lwowie i Stanisławowie; w r. 1858 przebywał w Rumunii, Rumelii i Tesalii, dając lekcye francuszczyzny i pracując przy kompanii budującéj telegrafy tureckie; r. 1859 wróciwszy do kraju uczęszczał na wykłady w uniwersytecie lwowskim, lecz już w roku następnym wydalił się znowu, przewędrował Rumunię, Turcyę i Grecyę, w szeregach Garibaldego odbył kampanię sycylijską; należał potém do założycieli szkoły wojskowéj w Genui; w r. 1862-im odwiedził kraj, poczém udał się do Anglii, a następnie do Australii, gdzie przebywał blisko lat dziesięć, zajmując się w kopalniach złota i zwiedzając Nową Zelandyę, wyspy Oceanii i t. d. Przed powrotem do Europy r. 1872 dwukrotnie odbył podróż na około ziemi. W lecie r. 1873 wyjechał do Stanów Zjednoczonych, osiadł w stanie Minnesota i zostawszy tamecznym obywatelem, wybrany był r. 1874 do sejmu. W r. 1876-ym przybył do Warszawy, lecz niebawem znowu wyruszył w podróż po Francyi, Anglii, Ameryce. Do piśmiennictwa wszedł dziełem dwutomowém, wydaném r. 1873 p. t. „Dziesięć lat w Australi“, poczém w licznych korespondencyach i obrazkach, pomieszczanych w czasopismach, głównie warszawskich („Tygodnik ilustrowany“, „Kłosy“, „Gazeta Polska“, „Wędrowiec“, „Bluszcz“ i t. d.), zaznajamiał w sposób żywy, nieraz obrazowy i dowcipny z różnemi stronami życia Australii i Stanów Zjednoczonych. Z osobno wydanych wymieniamy: „Dzieci królowéj Oceanii“ (1878), „Światełka w ciemnym kraju“ (1879), „Powieści: Czarna czy biała, Hidalgo, Odetta“ (1881). W „Ateneum“ pomieścił wspomnienia z życia Drapera i Darwina, oraz zarys społeczny p. t. „Sprawa włościańska w Irlandyi“. Dał nadto bardzo staranny przekład głośnego pamfletu Carlyle'a p. n. „*Sartor Resartus*“ (r. 1882, w „Bibliotece najcelniejszych utworów it. europ.“). Te ostatnie prace przesyłał już z Galicyi ze Stanisławowa, gdzie osiadłszy stale wszedł do wielkiego przedsiębiorstwa eksploatowania nafty i oddał się mu następnie całkowicie. W roku obecnym postawiona była jego kandydatura do parlamentu ze Stanisławowa. Zmarł nagle na paraliż serca 22 kwietnia.

† **Franciszek Ksawery d'Abancourt**, urodzony r. 1815 w Lésku (w Galicyi), nauki pobiérał w Sanoku, Samborze i Przemyślu; następ-

nie w uniwersytecie w Wiedniu i politechnice tamecznéj słuchał wykładów chemii, fizyki, matematyki, oraz agronomii u prof. Steckera, przyczém pracował w laboratoryum chemiczném mennicy wiedeńskiéj. Wróciwszy do kraju, oddał się gospodarstwu rolnemu, a w r. 1856-ym jako członek galicyjskiego Towarzystwa gospodarczego odbył podróż po Czechach, Niemczech, Belgii i Francyi celem zapoznania się z urządzeniem szkół rolniczych; następnie miał sobie poruczoną organizacyę szkoły rolniczéj w Dublanach. Gdy za rządów Schmerlinga Franciszek Smolka i Floryan Ziemiałkowski zamierzyli wydawać organ opozycyjny, d'Abancourt został jego redaktorem odpowiedzialnym i wydawcą. Pisał wiele artykułów treści gospodarczéj, technicznéj i politycznéj. Najważniejszém jego dziełem jest: „Era konstytucyjna austro-węgierskiéj monarchii od roku 1848 do 1881-go.“ Występował też nieraz jako polemista pod pseudonymem „Budnimira Sochy“, „Strażnika“ i t. p. Zmarł w Bolcikowie 24-go kwietnia r. b.

† **Sadok Barącz**, urodzony 29-go kwietnia 1814 r. w Stanisławowie na Pokuciu, z rodziców niezamożnych ormian. Odbywszy nauki szkolne, tamże wstąpił 1831 r. do zakonu Dominikanów we Lwowie i został wyświęcony na kapłana 1838 r. Sprawował następnie obowiązki przeora swego zakonu, w r. 1851 został profesorem pisma ś. we Lwowie; w r. 1855 osiadł w celi klasztornéj w Podkamieniu, prowadząc życie pracowite, ascetyczne, oddane badaniom dziejowym. Najpierwszą jego pracą historyczną, ogłoszoną drukiem, były „Pamiątki miasta Żółkwi“ (r. 1852, 2-gie wyd. 1877), następnie wyszły: „Pamiętnik dziejów polskich“ (1855), „Żywoty sławnych ormian w Polsce“ (1856), „Wiadomość o klasztorze OO. Dominikanów w Podkamieniu“ (1858, 5-te wyd. 1877), „Pamiątki miasta Stanisławowa“ (1858). Najobszerniejszą jego pracą, przedstawiającą pewną całość, jest „Rys dziejów zakonu kaznodziejskiego w Polsce“ (2 tomy, 1851—65). Potém pojawiły się: „Pamiątki jazłowieckie“ (1862), „Wolne miasto Brody“ (1865), „Rys dziejów ormiańskich“ (1869), „Dzieje klasztoru OO. Dominikanów w Podkamieniu“ (1870), „Pamiętnik zakonu OO. Bernardynów w Polsce“ (1874), „Klasztor OO. Dominikanów w Starym Borku“ (1878), „Pamiętnik szlachetnego Ledochowskich domu“ (1879), „Pamiątki buczackie“ (1882), „Archiwum Dominikanów w Jarosławiu“ (1884), „Ponikwica“ (1887), „Klasztor i kościół Dominikanów w Krakowie“ (1888), „Założce“ (1889), „Smotrycki Melecy i Gołogóry“ (1889), „Cudowne obrazy Matki Najśw. w Polsce“ (1891). Prócz tych monografii historycznych, ś. p. Barącz ogło-

sił dwa dziełka odmiennego rodzaju, jedno p. n. „Bajki, fraszki, podan (1866, 2-gie wyd. 1886), drugie p. n. „Badacz, studyum obyczajow (1875, str. 231). W rękopiśmie wiele pozostało nieogłoszonych rzeczy, jak: Kronika klasztorna, Materyały do monografii krajowych, Katalog słynących cnotą i nauką Bazylianów, Rozmaitości naukowe. Niestrudzony poszukiwacz i dziejopis zmarł w końcu kwietnia r. b. w tym Podkamieniu koło Brodów, którego historyą tak szczegółowo obrobił i w którym lat trzydzieści kilka życia swego przebył. Obfita korespondencya prowadzona z uczonemi literatami zasługiwałaby na ogłoszenie.



SPROSTOWANIE.

Str. 222 wiersz 7 od góry: wyraz *stały* opuścić.

Str. 235 wiersz 12 od dołu, przy wyrazie *wcale* należy postawić punkt, resztę zdania aż do wyrazu *Na utwory* opuścić.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Апрѣля 1892 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale I-ym 1892 r.

1. *J. Wł. Dawid.* **Nauka o rzeczach.** Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo, str. 691.
2. **O nawozach „sztucznyoh"** napisał *Wincenty Bielski.* Warsz., 1892, 8-vo, str. 16.
3. **Ziemia** i jej odłużenie w Królestwie Polskiém. Przez *Jana Blocha.* Przedruk z „Biblioteki Warszawskiej" — 1892, 4-to, str. 245, z pięciu tablicami.
4. **Tymko Medier.** Powieść współczesna przez *Kazimierza Rojana.* Główny skład w księgarni T. Paprockiego, 1892, 8-vo, str. 406.
5. **Ljetopis** jugoslavenske akademje znanosti i umjetnosti za godinu 1891. U. Zagrebu. 1891, 8-vo, str. 193.
6. *Benjamin Franklin.* **Droga do majątku** i inne pisma. Złoczów. Warszawa u T. Paprockiego i S-ki, w 16-ce, str. 98 („Biblioteka powszechna" № 2—3, cena 24 centy).
7. *Henryk Ibsen.* **Upiory.** Dramat, tłómacz. *Ignacy Suesser*, str. 80 („Biblioteka powszechna" № 6, cena 12 cent.).
8. *W. Shakespeare.* **Romeo i Julia.** Przekład *Juliana Korsaka*, str. 100 („Biblioteka powszechna" № 8—9, cena 24 cent.).
9. *Juliusz Stinde.* **Mituś i Matuś.** Nowela. Przełożyła M. z N. K.; str. 51 („Biblioteka powszechna" № 10, cena 12 cent.).
10. *Szczęsny Zahajkiewicz.* **Powinszowania** dla dzieci i młodzieży, str. 42 („Biblioteka powszechna" № 11, cena 12 cent.).
11. *Moliera.* **Grzegorz Fafuła** (George Dandin). Komedja, tłómaczył *Franciszek Kowalski;* str. 56 („Biblioteka powszechna" № 12, cena 12 cent.).
12. *Guy de Maupassant.* **Nowele.** Przełożył *Ernest Leon Lilien;* str. 65 („Biblioteka powszechna" № 16, cena 12 cent.).
13. *D-r Franciszek Piekosiński.* **Uwagi** nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiém króla Kazimierza Wielkiego. Kraków, 1891, str. 91.
14. *Czesław Jankowski.* **Z notatek turysty.** Warsz., nak. S. Lewentala, (1892) 8-vo, str. 232.
15. *Antoni Sygietyński.* **Wysadzony z siodła.** Powieść z życia współczesnego. Wydanie drugie. Nakład autora, 1891, 8-vo, 350.
16. **Słownik Geograficzny** pod red. *Br. Chlebowskiego.* Zeszyt 125, tom XIII, str. 161—240.
17. **Kulturni historie.** Popisuje D-r *Čeněk Zíbrt.* Praga, 1892, 8-vo, str. 122.
18. *O. Leixner.* **Wiek XIX.** Tom II, zeszyt 5.
19. **Przyjaciele zbłąkanych.** Napisał *A. Kwiatkowski.* Warszawa, nakład autora, 1892, 8-vo, str. 124.
20. **Dworka.** Powieść ludowa przez *Ludwika Niemojowskiego.* Warszawa, nakład Fr. Czerwińskiego, 1892, 8-vo, str. 66.
21. **Sprawozdanie** Komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych za rok 1891, 4-to, str. 28 i 33.
22. **Jocelin.** Dziennik wiejskiego plebana. Przez *A. de Lamartine'a*, przełożył *A. M-ski.* 1891, 8-vo, str. 319.
23. **Siły przyrody.** Popularny wykład fizyki, podług A. Guillemin'a opracowali *Józefowa Nusbaum* i *Henryk Silberstein.* Warszawa, nakład H. Oławskiego, 1892, zeszyt 30, str. 929 do 960 (cena kop. 20).
24. *Maryan Gawalewicz.* **Z mego albumu.** Zbiór szkiców i obrazków. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo, str. 273.
25. *Maryan Gawalewicz.* **Żona.** Galerya szkiców z natury, Z rysunkami P. Stachiewicza. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo, str. 279.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

